

Macocha, tom trzeci





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Macocha

Z PODAŃ XVIII WIEKU

TOM TRZECI

I

Nieszczęśliwa wycieczka pani Dobkowej, którą ciekawość widzenia mężowskich skarbów o mało życia nie pozbawiła, chociaż winę całego wypadku zrzucano na rotmistrza, który raz jeszcze wygnany został z Borowiec, zostawiła po sobie w stosunkach obojga małżonków niezatarte ślady. Oślepy starzec zaczął jaśniej widzieć swe położenie. Odzyskał wprawdzie klucze, nie poniósł szkody, lecz tajemnica została zdradzona, zapasy jego i rodziny odwieczne obrachowano, obce oko je widziało, wypędzony rotmistrz miał roznieść po świecie wiadomość i złych ludzi łakomstwo rozbudzić. Choć chorej żonie przebaczył pan Salomon chcąc wierzyć, iż niegodziwego czynu dopuściła się za namową, wciągniętą, przez słabość, nie odzyskała ona jego serca, przywiązania i już nabytego zaufania; dostrzegł w niej nieprzyjaciela, którego się potrzeba było obawiać, strzedz i walczyć z nim nieustannie. Namiętność wystygła, został żal, zgryzoty i namysły jak znośnem przynajmniej uczynić życie. W niedostatku rotmistrza zjawił się ze Smołochowa przystojny oficyalista Będziewicz, który tu ciągle miał interessa, przesiadywał po całych dniach i z panią konferował. Przyjeżdżały z powodu tej dzierzawy smołochowskiej, do jejmości i różne inne podejrzane figury, na jakies narady.

Dobek obawiał się wszystkiego, miał przeczucie jakichś nieszczęść nowych. Sabina wprawdzie wszelkiemi sposoby starała się go udobruchać, ugłaskać i na nowo panowanie odzyskać, lecz się to tylko chwilowo udawało. Dobek jak skoro po miłych pieszczotach odzyskał panowanie nad sobą, stawał się niedowierzającym i dzikim. Nawet już (czego nigdy wprzód nie bywało) objawy czułości z pewnym czasem wstrętem i niechęcią odpychał.

Wypadek w skarbcu choć zapomniany na pozór dawał się czuć w skutkach; większa część winy spadła na Porębę, choć cząstka jej na jejmości pozostała. Odpokutowała ona ją ciężką chorobą, lecz Dobkowi snadź i to nie zdawało się dostatecznem. Życie z dnia na dzień było nieznośniejsze. Salomon zamykał się z Eljaszem na długie godziny w swem mieszkaniu, przychodził znowu powoływany Aron, interesa pochłaniały starego.

Z jejmością widywali się ceremonialnie u obiadów, wieczorami, a o niczem ważniejszym mowy nie było, bo Dobek mieszać się do niczego jejmości nie dopuszczał. Bolała go i bezskuteczność poszukiwań dziecięcia, o którego los coraz więcej się niepokoił, a błąd popełniony codziennie mu więcej dolegał.

Jejmość też ze swej strony nie zasypiała. Bądź co bądź czuła, że nie powinna poprzestać na tem co zdobyła, bo zdobycz była omylna. Ani serca męża, ani rządu majątku i interesów, ani ogromnych skarbów nie miała w ręku; w dobry czy zły sposób potrzeba to było pochwycić.

Małżonkowie, jakby przeczuwali bliźką wojnę, chodzili około siebie badając się wzajemnie. Pan Salomon czynny był znowu bardzo. Zawieszenie broni byłoby jednak potrwało jeszcze długo, gdyby nie szczególne okoliczności.

Gdy pan Salomon chował ciało ojcowskie w grobach, wypadły papiery z trumny, które on zabrał z sobą. Nie miał ich ani czasu, ani ochoty odczytywać; rzucił je więc na jednym z kufrów w skarbczyku, mając zamiar później przepatrzeć.

W czasie bytności swej z rotmistrem w podziemiach, Dobkowa pochwyciła do kieszeni zwitki te w nadziei, że to są rejestra, mogące jej do obliczenia pieniędzy mężowskich posłużyć. Zapomniała o nich w chorobie i nierychło Rózia znalazłszy w kieszeni sukni, odniosła, ostrzegając, że może się one na co przydać mogą. Pani Dobkowa niedosyć wprawna w decyfrowaniu takich notat, nie chcąc sobie pracy zadawać nad niemi, odniosła je, polecając wielką tajemnicę, księdzu kanonikowi Żagłowi.

W kilka tygodni potem, widząc się z nim zapytała o nie, i otrzymała odpowiedź, że w istocie papiery są ważne bardzo, lecz do pomówienia o nich czas jeszcze nie przyszedł.

Od niepamiętnych lat, mimo odosobnienia Borowiec, co rok, czasem raz we dwa lata, potajemnie i jak najmniej robiąc rozgłosu przybywało tu kilka osób, mianowanych familią i jakby do rodziny należących, które zatrzymywały się dni kilka we dworze, były

przyjmowane skromnie bez występu, i odjeżdżały niewiadomo dokąd, jak niewiadomo też było, zkad przyjechały.

W roku przeszłym zjazdu tego czy odwiedzin niebyło. Zazwyczaj, gdy ci panowie przyjeżdżali, Eljasz i drugi stary sługa sami tylko przypuszczani bywali do posługiwania im, odbywały się ciche jakieś narady, żadnych uroczystych biesiad ani przyjęć nie było. Szeptano więcej niż mówiono; przyjeżdżający mieli pozór cudzoziemców.

Wśród nieszczęść, jakie spadły na Borowce, Dobek musiał o tych zjazdach zapomnieć, gdy jednego dnia przyniósł mu kartę Eljasz, która go mocno zafrasowała.

Po odebraniu jej, poszedł pan Salomon na górę do żony.

— Moja jejmość, rzekł sucho: przybywają tu do mnie co lat kilka dla narady w interesach familijnych, krewni dalecy, babki i prababki: z okolic Gdańska i Pruss... Są to ludzie na pół obcy, do rozmowy nieskłonni, ja mam z nimi co do naradzenia się, lubimy być sami...

— A to sobie siedźcie sami! zawołała Dobkowa... kiedym ja waszego towarzysza nie godna...

Dobek nie zważał na kwaśną odpowiedź, jakby jej nie słyszał.

— Jejmość sobie na parę dni pojedziesz do Smołochowa — rzekł.

— A to co ma znaczyć? ofuknęła się Dobkowa. Coż to? ja nawet z daleka na ichmościów patrzeć nie jestem godna, a jegomość się wstydzisz żony?

— Moja jejmość, odparł Salomon: tu nie o to idzie; u mnie taki zwyczaj był, jest i będzie, że się naówczas kobiety nie pokazują... Jedź najlepiej do Smołochowa; wszak oprócz tego lubisz się radzić tego gołowasa Będziewicza..

— A to znowu coś innego? już ci Będziewicz szkodzi?

— Ani on mi śmierdzi, ani pachnie, zimno odezwał się Dobek; ale go nie lubię... Z tem jednak mniejsza; trzeba, żebyś jejmość pojechała.

— Ja się ani ruszę! zawołała Dobkowa. Po co? czego? nie pokąsam was! A! to mi piękna rzecz żonę z domu wypędzać!

— Nie wypędzam, lecz jeśli jejmość się uprzesz zostać, będziesz musiała się zamknąć i nie wychodzić.

— Cóż to ja niewolnica jestem czy sługa?

— To obyczaj domowy, do którego się trzeba zastosować.

Sabina się rozśmiała.

— Co mi tam do waszych obyczajów! poczęła jejmość, żywo chodząc po pokoju... Ślicznąbym żoną była i gospodynią, gdybym się dla gości dała z domu wypędzić! Nie pojedę do Smołochowa... a gdy przybędą, zrobię co mi należy...

— Zamkniesz się waćpani w swoich pokojach...

Dobkowa zaczęła się śmiać, a na twarz starego wystąpiła czerwoność, zsiniał potem niemal z gniewu, drzwiami za sobą rzucił i wyszedł.

Nazajutrz z okien swoich zobaczyła Sabina przybywającą brykę, z której wysiadło trzech mężczyzn z cudzoziemska ubranych. Ci weszli na dół do pana Dobka i drzwi się za nimi zamknęły. Na obiad ani gospodarz, ani oni nie stawili się, kazano go znieść na dół; wieczorem toż samo. Zanocowali w pokoju przy mieszkaniu gospodarza. Drugiego dnia toż samo było; powtórzyło się to i ostatniego, poczem czarno ubrani panowie odjechali jak przybyli.

Niezmiernie ciekawa tych ludzi i co oni tu robić mogli, podglądać się starała i podsłuchiwać jejmość, lecz nic a nic nie doszła. Chodząc po zamku i do koła komnat męża, w pewnych godzinach dosłyszała jakby szmer modlitw lub cichy śpiew dochodzący ją od tego mieszkania, lecz nie mogła dobrze rozpoznać co to było.

Przez całą tę trzydniówkę nie mogła też się ani razu widzieć z mężem, choć po kilkakroć do niego posyłała. Gniew jej doszedł do wysokiego stopnia... Po wyjeździe tych tajemniczych gości, gdy Dobek przyszedł błądy przywitać się z nią, prawie doń mówić nie chciała...

— Gdybym była mogła przewidzieć co mnie tu czeka, rzekła — i to utrapione życie pustelnicze, na jakie jestem skazana, bądź waćpan pewien, że wolałabym była pozostać na dzierzawie w Smołochowie.

— I toby bodaj było najlepiej! mruknął Dobek.

— Ale cóż to za życie! co to za życie! poczęła wołać, to nie do zniesienia.

— Mogłaś się, moja jejmość, z góry na nie przygotować, bom sobie wyraźnie zastrzegł, że obyczajów moich zmienić nie myślę — odparł Dobek. To darmo!

Z tej i następnych rozmów przekonała się Sabina, że wiele władzy straciła... i że myśleć o jej odzyskaniu teraz nie było można. Zajęła więc mężnie stanowisko nieprzyjazne. Dwór jej ode dworu mężowskiego, jak zawsze się dzielił, tak teraz też począł występować z otwartą niechęcią. Ażeby się obronić od nieprzyjemności, potrzeba go było zwiększać. Będziewicz nieustannie na narady był wzywany. Przyjęła jejmość służącego osobnego dla siebie z ręki Będziewiczazarekomendowanego. Był to młody szlachcic, nie osobliwszej powierzchowności, blady, ospowaty, nie patrzący nikomu prosto w oczy, chodzący pod murami i chowający się po kątach, ale niezmiernie przebiegły, chłodny, wytrzymały i domyślny. On się przynajmniej za szlachcica miał i kazał się tak zwać, chociaż nazwisko nie obiecywało nic — nazywał się bowiem Przepiórka. Dworscy miejscowi w kilka dni po zainstalowaniu się jego we dworze, nazywali go — Psiepiórko.

Jak służył pani, niewiadomo, lecz że umiał się znaleźć z ludźmi, to pewna. Nie zważał na nieprzyjemności, kłótni unikał, milczał, patrzył, słuchał, podglądał, po trosze głupek, a w tydzień może tak znał wszystkich obyczaje, godziny i całą miejscowość w Borowcach, jakby tam był od dzieciństwa. Udało mu się nawet potajemnie pozawiazywać stosunki na folwarku, między służbą, i mimo okazywanych niechęci zupełnie był swobodny.

Przepiórka głównie się temu snadź poświęcił, ażeby przez skaptowanie sobie jednego z pańskich faworytów, uczynić wyłom w ściśniętej dotąd falandze. Zdawał się najprzód wypatrywać kogoby sobie miał obrać, potem rozpoczął oblężenie formalne około niejakiego Walentego zwanego Walem, starego człowieka, rówieśnika Eliasza, który skutkiem starości trochę był zdzieciniał. Miał on niegdy zaufanie pańskie i zajmował na przemiany z Eljaszem miejsce przy jegomości lecz podupadłszy na umyśle i na siłach, pozostał teraz bez zajęcia, po całych dniach odczytywał Biblię i odgadywał Apokalipsę. Ten popęd ku ascetyzmowi zwrócił nań oczy ks. kanonika, który usiłował korzystać, dla nawrócenia go, z tego usposobienia. Chociaż Wal bowiem liczył się za katolika, jak inni we dworze, był nim tylko z imienia. Ks. kanonik zwabił go na rozprawy o Apokalipsie, a powoli znalazłszy umysł chciwy pociechy duchownej, pracować nad nim zaczął. Przepiórka pomagał ku temu i działał też w sprawie nawrócenia. Wal niepostrzeżenie dla innych, znikł prawie ze dworu, na co nikt jeszcze nie zwracał uwagi, a począł kręcić się coraz więcej około plebanii.

Jednego dnia ks. kanonik przez Przepiórkę dał znać jejmości, iż ma z nią do rozmówienia. Dobkowa po obiedzie poszła na probostwo. Zastała kanonika jakby przygotowującego się do jakiegoś ważnego kroku. Poprosił ją uroczyście do pokoju dalszego, i polecił, ażeby nikogo nie wpuszczano.

Tu, gdy pani Dobkowa usiadła, ksiądz poszedł po papiery do szafy, przyniósł je, położył na stole, a sam namyśliwszy się tak mówić począł:

— Najprzód waćpani dobrodziejce objawiam to, że rozmowa nasza ma być rodzajem spowiedzi, o której ani ja nikomu, ani też pani mówić nie powinnaś. Tycze się ona zbyt ważnych przedmiotów, interesów kościoła, kraju i moralności publicznej. Zdradzić to, co się tu mówić będzie, byłoby śmiertelnym grzechem...

Sabina trochę się złękła.

— Niech ksiądz kanonik będzie spokojny — rzekła — ja pewnie nie wydam.

— Muszę tedy asińdźce tę smutną zwiastować nowinę, że się tu na dom, do którego asińdźka weszłaś, srogie gotują burze. Od tej roli, jaką odegrać w nich zechcesz, zależy albo bardzo świetny rezultat dla pani, lub srogie próby... Jesteśmy na tropie popełnionego tu przed wielu laty kryminału... i drugiego podobnego przed niedawnym czasem... Odpowiedzialność za nie spada na pana Dobka, który o nich wiedział, skrywał, a do jednego z nich sam się przykładał. Oprócz tego ciąży na domu gorszy zarzut zdrady i kacerstwa...

— Ale cóż ja, nieszczęśliwa!... poczęła Dobkowa.

— Ani pani, ani ja się do tego nie mieszam... zaskarżenia poszły z innego źródła do sądu. Ja waćpani dobrodziejce po przyjacielsku o tem oznajmuję, ażebyś wiedziała co czynić, jak sobie postąpić. Dobkowie są pod strasznymi zarzutami; naznaczona komis-

sja sekretna zjedzie lada chwila... umyjże ręce, moja dobrodziejko, od tych brudów, nie mieszaj się — a co wiesz, to szczerze wyznaj.

Przestrzegam z dobrego serca — a we dworze o tem ani wiedzieć, ani się domyślać nie powinni.

Dobkowa przelękła — zaczęła drzeć.

— Ale cóż to mój ojczek? jak się to odkryło?

— Opatrzność Boża, która nie daje zbrodni bezkarnie ujść nigdy, wybrała za narzędzie starca, który o wszystkim wiedząc, tając do tego czasu, ruszony sumieniem, poszedł to podać sądowi, pod przysięgą dobrowolną.

— Cóż takiego? co? na Boga! podnosząc się z siedzenia odezwała się wylękła Dobkowa.

— Są to po trosze stare dzieje... ale się z nowemi wiązą — mówił ksiądz. Ojciec pana Salomona ożenił się jak oni wszyscy po za krajem, z kobietą swojej wiary, heretyczką.

— Alboż nie są katolikami?

— Tylko pozornie — mówił kanonik. Kobietę snadź wziął mimo jej woli — nie kochającą go; przybył tuz nią a potajemnie pono i pierwszy amant za nią podążył. Nie wiadomo jeszcze czyli dowody zdrady jakie miał mąż, lecz człowiek go własny wydał, że żonę, a bodaj i gacha — zamordował.

Dobkowa krzyknęła:

— Jaktó zamordował?

— Tak jest — mówił kanonik dalej. Sługa go wydał i miano pochwycić winowajcę, gdy — znikł nagle. Zamalowano sprawę pieniędzmi, podano go za umarłego...

Zduszono wszystko... Tymczasem okazuje się; że syn Salomon ojca tego, mężobójce, trzymał w lochu zamkniętym lat kilkadziesiąt...

— Salomon! powtórzyla Dobkowa — mój mąż?

— Tak jest... stary niedawno czy zmarł, czy niewiadomo jaką śmiercią skończył, a nie pogrzebione jego ciało złożono w grobach.

Zakryła sobie oczy pani Dobkowa, przypominając ów loszek, który widziała po nocy, i ślad na podłodze, jakby nim coś świeżo do grobów wciągano.

— Oprócz tego — dodał ks. Żagiel — są inne okropniejsze zarzuty. Pod pozorem katolicyzmu kryła się tu od wieków herezyza przeciwko Trójcy Św., szkaradny brud ary-anizmu, którego zwolennicy sekretni co rok się tu na radę zjeżdżali... mieli tu swe skarby, swe sejmy i obrzydłe obrzędy w kapliczce jakiejś pod ziemią odbywali.

Sąd świecki i duchowny już ma wskazówki dostateczne do poszukiwania występków i ukarania ohydneho kacerstwa.

Wytrwała na wszystko i nieulekła pani Dobkowa, słysząc jednak tak groźne zarzuty i oznajmienie o tem co się na męża jej gotowało, przeraziła się straszliwie... Zakryła oczy... na płacz się jej zbierało. Nie szło jej ani o dom, ani o męża, lecz o te skarby, których ogrom nie wychodził z jej pamięci; przewidywała że jako arjanom wszelka majątność Dobkom odjęta zostanie.

— Mój ojczek! zawołała: a cóż się stanie zemną?

— W żadnym razie jejmość ucierpieć nie możesz, owszem swą schedę i poszkodowanie z fortuny ogólnej musisz mieć wydzielone; lecz — moja dobrodziejko, zakończył ksiądz Żagiel: musisz z kacerstwem tem piekielnem rzec się wszelkiego stosunku.

— Ja o tem nie wiedziałam! jam żadnego nie miała! okrzyknęła, ręce składając, Dobkowa.

— Ostrzegam też waćpanią, abyś się na bacności miała, gdyż lada chwila przyjdzie do porachunku kilkasetletniego z tą rodziną. Utajony arjanizm wiadomo co ciągnie za sobą...

Ja się w to mieszać nie chcę i nie będę, dodał z westchnieniem ksiądz Żagiel. Siedziałem na ich ziemi długo, nienajlepiej mi było, alem krzywdy nie miał, życzyłem... przecież pomsta Boża przychodzi... czas było!

— Mój ojczek! zawołała Dobkowa składając ręce: weźże mnie obcą i niewinną w opiekę swoją... Za cóżbym ja pokutować miała?.. Wszak ci to ich majątności na skarb pójdą?

— Takby powinno być!

— A skarby i kapitały?

— Myślę, że także...

— I uratowałyby nie można? ogniście odezwała się pani Dobkowa... Przecież mnie się coś z tego należeć powinno.

— Nic nie wiem, i to są rzeczy mi obce, rzekł ksiądz Żagiel. Jejmościbym dla jej spokoju życzył wcześniej się może do Smołochowa cofnąć i tam burzę przesiedzieć...

— A tu wszystko na skarb zabiorą! lamentując krzyknęła jejmość. Nie, ja tu muszę być, aby choć w części ratować...

Ksiądz kanonik milczał.

— Po heretykach, którzy kościołowi szkodliwymi byli, toby się spadek nie komu, tylko jemu należał... rzekł ciszej; ale teraz tam te prawa poprzerał! Siedźże jejmość cicho... dodał: zjedzie komissya, mów prawdę, trzeba, aby ona wyszła na jaw... aby się stała sprawiedliwość, a winni ukarani byli.

Po naradzie przerywanej westchnieniami i wykrzykami, która jeszcze czas jakiś trwała, pani Dobkowa powróciła ostrożnie do domu, mocno zatrwożona o siebie. Przechodząc około mieszkania mężowskiego, dostrzegła, iż tam z wielkim pośpiechem wpadł Aron najprzód, potem zaraz Eliasza zawołano i drzwi się zatrzasnęły. Narada trwała ze dwie godziny, poczem Aron odszedł do domu i późno w noc raz jeszcze zawrócił... Dobek od wieczery się wymówił.

Na dole ruch jakiś był niezwykajny, i pani Dobkowa domyślała się, że tam już coś o niebezpieczeństwie wiedzieć muszą.

Następny dzień zszedł jednak cały spokojnie, Wal tylko zniknął był i o to mocno się kłopotano, domyślając się, iż mógł z jakimiś doniesieniami... udać się do sądu. Dobek przy obiedzie zaczął mówić otwarcie.

— Choćby się człowiek najlepiej z ludźmi obchodził, odezwał się, choćby ich dobrodziejstwa osypywał, zawsze sobie nieprzyjaciół zrobić musi. Tego nie można uniknąć.

Jejmość słuchała, milczała i udawała obojętną...

Dzień zbiegł tak do wieczoru bez żadnego wypadku; w nocy już do drzwi jejmości zapukał Przepiórka i oznajmił, iż komissya do miasteczka zjechała i główną kwaterę zajęła na probostwie. We dworze tak było cicho i spokojnie, jakby się wcale ni czego nie domyślano i nieobawiano.

Z północy, gdy wszystko zdawało się uspione, urząd z małą siłą zbrojną, którą był otoczony, zszedł z probostwa ku dworowi. Pan Dobek nocował na dole, a przy nim Eljasz... Zastukano do drzwi lecz musiano długo kołatać nim otwarte zostały...

Ponieważ sprawa miała się wytoczyć z rejestru arianizmu, szczególne środki ostre dla dobadania się prawdy przedsięwzięte zostały, a mianowicie: opieczętowanie całego domu, skarbcza, lochów, kryjówek i wszelkiego domostwa, w którym dowody herezyi potajemnej, schadzek i t. p. znaleźć się mogły. Gdy urzędnicy ukazali się u wnijscia, pan Dobek przyjmujący ich wcale się nie zdawał zmieszany. Objawiono mu akt oskarżenia i winy, jakie przypisywano; ruszył ramionami tylko i wskazał ręką, aby spełniano co prawo rozporządzało. Urzędnicy mieli widać dokładną informację o miejscowości, gdyż komissarz pan Żółtuchowski zażądał najprzód klucza od lochów, zalecając gospodarzowi, aby szedł z nimi razem. Eljasz też stary został pod straż wzięty i u pierwszych drzwi pacholków postawiono.

Nie stawiając najmniejszego oporu, Dobek, gdy mu drzwi żelazne wskazano, dał klucz od nich, sam pan Żółtuchowski otworzył zamki, i wszyscy wiodąc ze sobą gospodarza weszli... Jak wiemy, za drugimi drzwiami był skarbczyk... Znaleziono go wedle wskazówek, jakie miano, w stanie, w jakim być powinien. Kufry stały na swoich miejscach, kartek tylko na nich z liczbami nie było... Pan Żółtuchowski zapytał o klucze, które Dobek wskazał pod misternie odwracającym się w ścianie kamieniem. Ponieważ nimby przyłożono pieczęcie, należało sprawdzić co się w kufrach znajduje, otwarto zaraz pierwszy...

Na dnie jego była kupka bibuły i trochę sznurków — więcej nic. Poszedł zatem pan komisarz do drugiego, w którym nie znalazł nic oprócz śladów myszy, w trzecim było trochę pleśni, w czwartym na dnie piasek i t. d.

Ogarnęło wszystkich zdumienie wielkie, gdyż opieczętowywać nie było czego...

Następnie szli drzwiami wiodącymi do dawnego mieszkania pokutnika. Tu zmieniła się zupełnie fizjonomia lochu: nie było najmniejszych śladów pobytu niedawnego gościa,

loszek stał pusty... i trocha w nim w piasku butelek. Stary kominek, który miał służyć do oblewania smołą korków przy ściąganiu win, od dawna pono był zamurowany. W szafkach nie znaleziono nic, oprócz resztek owoców, które tu snadź na zimę składane były...

Komissarze domagali się otwarcia grobów, aby je z wewnątrz mogli opieczętować... i mimo wrażenia, jakie te nocne odwiedziny na nich czyniły, weszli w milczeniu. Tu, widok monumentów, trumien, szczątków ludzkich, powietrze przejęte wonią śmiertelną... marmurowe w świetle lamp połyskujące grobowce... napełniły nawet najśmielszych grozą śmierci. Wszystko tu było w porządku i jak najstaranniej utrzymywane... Na trumnie matki pana Salomona, wyrwany kawał aksamitu snadź pobożna ręka nazad przylepiła, gdyż uszkodzenia tego znać nie było. Trumny też starego Adama, ze źle przymkniętym wiekiem, której pono oczyma szukano, nie dostrzeżono.

Tu stanąwszy pan Żółtuchowski, który z widocznym wstrętem przystępował do *scrutinium*, kazał u drzwi wychodowych (tych które Eljasz tu wprowadzał Laurę) położyć pierwsze pieczęci... Szukał potem w papierach długo, czytał, i obróciwszy się do pana Dobka, zapytał go, kędyby był wchód do kaplicy... Na co dosyć osłabłym głosem stary odrzekł: iż o żadnym nie wiedział, ani też o kaplicy.

— Być bardzo może, dodał, iż za dawnych czasów w obszernych podziemiach istniała gdzie jaka grobowa kaplica, ale ta zapewne albo zniszczona być mogła, albo stawszy się nieużyteczną, zamurowana została.

— Ja się pytam o miejsce zboru, które jeszcze i w tym roku współwyznawcom pańskim, arjanom z Rutowa i Andreaswaldu tu przybyłym do narad i ich świętokradzkich nabożeństw służyły? rzekł Żółtuchowski.

— O żadnych arjanach z Rutowa... i w ogóle o z dawna wygasłym u nas arjanizmie ja nic nie wiem, odparł Dobek obojętnie.

W lochach nie było najmniejszego śladu, żadnego wyjścia... Przy ścianach stały grobowce i trumny... Obszedłszy nie bez trwogi te katakumby, komissja powróciła, wszystkie ich drzwi pieczętując za sobą. Toż samo dopełniono i przy skarbcu, i na mieszkaniu pana Dobka, którego, kazawszy mu się ubrać i dozwoliwszy z sobą wziąć co do jego osobistego użytku służyć mogło, — zabrali panowie komissarze dla dalszego oglądania zamku... Z kolei pokoje Laury dotąd nietknięte, parlatorjum, wszystkie izby i komory opieczętowano. Naostatek przybyli do dawnego mieszkania córki, dziś zajmowanego przez macochę.

Ta od dawna już przebudzona i jako tako przyodziana, w chwili, gdy się pan Żółtuchowski ukazał w progu, rzuciła się ku niemu z płaczem, padając przed nim na kolana, załamując ręce i wywracając piękne oczy czarne.

— Panie komissarzu!... wołała — błagam cię, nie mieszaj sprawy mojej, nieszczęśliwej, uwiedzionej, nieświadomej niczego kobiety z tymi ludźmi, którzy się tu jakichś ohydnych praktyk dopuszczali. Ja o niczem nie wiem... mnie ten starzec wciągnął w swe sieci... zrujnował... ja z heretykiem tym nic nie chcę mieć wspólnego... Żądam tylko słusznego udziału w majątku... który mi się należy...

— Niech się jejmość dobrodziejka uspokoi, rzekł Żółtuchowski, który był człek wystały i poważny: nic tu się strasznego stać nie może...

— Ja tylko sekwestr kładę w imię moich praw do gotowizny zawołała pani Dobkowa.

— Z żadnąśmy się jeszcze tu nie spotkali, rzekł komisarz...

— A na dole skarbiec?...

— Kufry są, mościa dobrodziejko, ale puste...

— Puste? puste? łamiąc ręce krzyknęła jejmość; ale to nie może być!

Później się to wszystko wyklaruje! rzekł komisarz... A że jejmość o nic obwiniona nie jesteś i pewnie żadnych dowodów winy tu nie ukrywasz... zatem i mieszkania jej obsigillowywać niebędziemy mieli potrzeby...

Na tem się odwiedziny skończyły. W parlatorjum po szafach zabrano i opieczętowano znaczną ilość ksiąg arjańskich, całą bibliotekę Fratrum Polonorum i wielu pisarzy XVI i XVII wieku.

Pan Dobek utrzymywał, że to są pamiątki po pradziadach, które tylko jako drogie cenne zabytki przechowywano.

Nim się pracowite obchodzenie domu całego skończyło, już się niemal na dzień zbierało; wszyscy byli pomęczeni, lecz w tym domu ani pić, ani jeść nic nie chcieli. Posta-

wiono straż, i biorąc z sobą Dobka, komissja udała się na probostwo najprzód, gdzie też miejsca dla wszystkich szczipło było, więc pan Żółtuchowski, zostawując pisarza i kancelistę, sam ze swym więźniem udał się do najporządniejszego domu w miasteczku, należącego do Arona. Tu sam zajmując jedną izbę, drugą ostawić kazał strażą, i w niej pana Dobka umieścił. Na dworze szarżec zaczynało, wszyscy byli pomordowani i znużeni nad wyraz, Dobek też prosił, by mógł spocząć, na co mu pozwolono... Komissarz nawet był do tego stopnia dlań powolny, chociaż dla kacerza, iż mu pacholców w izbie nie postawił, tylko pod oknem i drzwiami.

Alkierzyk, w którym dziedzic miasteczka nigdy się pono nocy spędzać nie spodziewał, jak w wielu domach żydowskich, tarciami był na pół przeforsztowany, — ścianka ta przedzielająca pierwszą połowę izby od drugiej przez familię gospodarza zajmowanej, nie dochodziła do samego pułapu.

Przy niej to właśnie na sianem i kilimkiem ladajakim pokrytym tarczanie położył się Dobek, stękając, gdyż cała ta nocna scena sił go pozbawiła... Okiennica od podwórza była zamknięta i wycięty w niej tylko otwór nakształt serca przepuszczał słabe ranne z podwórza światelko.... Stary położywszy się, z oczyma otwartymi czuwał a myślał, nie zdając się zbyt przerażonym tem, co go spotkało...

W sąsiedniej izbie pan Żółtuchowski głośno odmawiał pacierze i bił się zapalczywie w piersi, potem obalił się całym ciężarem na łóżko, westchnął, i jako człek prawy, w kwadrans począł chrapać...

Chrapanie pana Żółtuchowskiego nie w jednym powiecie, ale w całej tej ziemi sławne było.

Często psy w sieniach śpiące posłyszawszy je najprzód szczebrać, a na ostatek wyc zaczynały. W chrapaniu tem była cała orkiestra różnych instrumentów: gardło, krtań, nos, grały każde swoją partję z dziwną różnaitością intonacyi. Odzywało się w niem świstanie, gruchanie, burczenie, kwiczenie, klaskanie, a kończył każdy taki frazes muzykalny okrutny zgrzyt zębów, jakby kto szkło piłował. Spać w jednym pokoju z Żółtuchowskim było szczerem niepodobieństwem, w sąsiednim męczarnią, a nawet w jednym domu z nim, zadaniem problematycznym.

Gdy się ten koncert rozpoczął, można było też śmiało bodaj głośną bawić rozmową, nie lękając podsłuchania.

Grzmoty rozlegały się, gdy po nad przeforsztowaniem z tarcic, tuż prawie u głowy pana Dobka w górze ukazała się znana mu twarz z brodą pocziwego Arona Lewiego. Stary przechylił się o ile mógł, zbliżając do więźnia. Mogli z sobą wyśmienicie rozmawiać, nie lękając się, by ich pacholcy podsłuchali. Miał też tę ostrożność Aron, że znużonym ludziom obficie dał wódki, i oba oni oparli się plecami jeden o ścianę pod oknem, drugi o drzwi, posnęli.

— Mów jegomość, co robić? do kogo posyłać? co chować? zawołał Aron. Mów jegomość prędko, póki te zbóje śpią i nie słyszą.

— Nic, nic, mój Aronie, poszlej do Konopnicy, daj znać tamtym...

— A co znaleźli? spytał ciszej Aron.

— Cóż oni mogli znaleźć? uśmiechnął się stary.

— A..? Tu nie śmiejąc wyrzec o co mu chodziło, Aron wydobyl ręce i w dłoni pokazał, jakby liczył.

Dobek pokiwał głową przecząco — i uśmiechnął się smutnie.

— Nic? powtórzył.

Więzień powtórnie dał ten sam znak.

— Czy mam gadać z komissarzem? mówił dalej stary, wskazując znowu na dłoń i licząc niby...

— Dać pokój! na co? to się ułatwi inaczej, nie znajdą nic.

— A to co Wał pogadał?

— Wał cierpi od dawna... Dobek wskazał czoło...

— A papiery te jakieś?...

— Nie wiem o żadnych... dodał więzień; nie trzeba się bardzo starać... aż do ostatka zobaczymy jak pójdzie sprawa.

— A jejmość? co jejmość?

Stary Dobek namarszczył się.

— Za grzech mój kara przyjść musiała. Za dziecko moje Pan Bóg mnie dotknął sprawiedliwie, i cierpieć powinienem... bom zasłużył.

Gdzie ono teraz to biedactwo blakające się może bez przytułku? dodał po cichu... i łza puściła mu się z pod powiek...

Żyd usłyszawszy szelest jakiś nagle za przeforsztowaniem zniknął.

Chrapanie pana Żółtuchowskiego przeciągało się tak skutecznie do dnia, iż Dobek zaczął dopiero usypiać, gdy woźny pana komissarza przebudził.

Zanosilo się na nadzwyczaj zawikłane scrutinyumw miejscu, poczem sprawa dopiero sądom przekazana być miała. Obwinienie o potajemny arjanizm, zatem o świętokradztwo, stanowiło główną istotę procesu, do której łączyła się nieco zawikłana historia Adama, *de noviter repertis*, i jego pośmiertnego życia w areszcie u syna...

Tu wszystko oparte było na papierach starca, który w samotności swej zapisywał na kartach luźnych przypomnienia własne, dawniejsze przygody, wrażenia i myśli. Z notat pochwyconych przez panią Dobkową, a wręczonych ks. kanonikowi okazywało się, iż stary żył w lochu zamknięty aż do wiosny przeszłej... Gdzie się później podział... kiedy zmarł, kto go pochował i gdzie? dojsć było potrzeba.

Sprawa już przed laty *per non sunt* puszczona z powodu prawdopodobnej śmierci obwinionego, odżywała znowu razem z infamią i wszelkimi następstwami...

Dowody arjanizmu były w głuchych zaskarżeniach i powieściach, w zeznaniach starego Wala — a mniej dobitne w znalezionych księgach. Wal, który sam zeznawał, że do arjan należał i z nimi do niedawnego jeszcze czasu trzymał, wskazywał całą rodzinę jako w herezji pogrążoną, mówił o zjazdach z Pruss i Niderlandów przybywających kacerzy, odbywanych w podziemiach zamkowych, o kaplicy arjańskiej, sali, zborze i archiwach. Opowiadał on, iż wnijsćia oznaczyć dokładnie nie mógł, gdyż zwykle po nocy korytarzami ich tam wpuszczano; lecz twierdził, że kaplica i zbór do grobów przytykać gdzieś musiały.

Komissarz Żółtuchowski udał się tam razem z nim po dniu białym, obesli podziemie, szukano, usuwano grobowce, kopano, świdrowano w ścianach i nigdzie żadnego śladu znaleźć się nie udało. Groźbami zmuszany stary Elias... milczał jak kamień, i wprost dawnego towarzysza obrzucał tem, że mu się w głowie pomieszało.

Ponieważ najpilniej szło o ten *corpus delicti*, o wyszukanie owej kaplicy i archiwum, starego Wala postawiono tegoż dnia przed panem Dobkiem, by wyznanie swe powtórzył.

Wprowadzony do izby pana komissarza Wal, w progu już drzeć zaczął, zobaczywszy swego dawnego pana, który w powszednich chwilach był niepozornym człowieczkiem skurczonym, twarzy bez wyrazu, a teraz wydawał się jakby odmłodzony i nową siłą natchniony. W istocie Dobka w nim owego poznać było trudno, tak urósł w nieszczęściu. Wal spojrział nań i sumienie mu się poruszyło, stanął w progu z załamanymi rękami.

— Mówże, mów, podzegli pan Żółtuchowski!..

Wal głowę ku ziemi spuścił, oczy w posadzkę wlepił — milczał posępny. Dobek widząc, iż stary odwagi nie ma, odezwał się:

— Kończże jakieś rozpoczął, mów... Jadłeś chleb mój od kolebki do starości, a nigdy ci go nie zabrakło; dzieliłem z tobą nietylko chleb ten, lecz i serce moje — byłem ci ojcem i bratem. Chciałeś mi za to wywdziżyć się jako Judasz Chrystusowi Panu; dla czegożbym ja skarżył się na mój los miał, i żądać, abym lepszym był od Zbawiciela? Mów, mój Walenty, mów co ci sumienie podyktuje, obwiniaj, dowódź, prowadź może pod pręgierz, czy na stos, ja ci wzorem mistrza naszego za winę nie poczytam słabości twej, ani zdrady twej, jeśli w sumieniu czułeś się obowiązany to uczynić. Mów a obwiniaj...

Stary padł na kolana, rozszołchał się.

— Ja nic nie wiem! mnie się w głowie pomieszało... Plotłem... winienem...

Komissarz się obruszył — i obracając do Dobka, prosił go, by się więcej nie odzywał. Dobek więc zamilkł i siadł. Z Wala wszakże nic wydobyć nie potrafil.

Ta nagła zmiana pomieszała szyki. Przepiórka, który miał czas na miejscu rzeczy wybadać, a z Walem nieraz o tem mówił, jął przed urzędem dowodzić, iż lochy pod starym zamkiem są nadzwyczajnej rozległości, że należy je wskroś przejść z końca w koniec szukając wnijsć; dowodził też, że tajemnicze drzwi mogły być zamurowane... gdyż, wedle wszelkiego podobieństwa, przed przybyciem urzędu pan Dobek wiedzieć musiał co mu grozi i do tego się przygotował...

Przepiórka mówił, że ostatniej i przedostatniej nocy w zamku był ruch i krzątania niezwykajna.

Wszystko to jednak nie starczyło, dopókiby się owa skryta kaplica nie znalazła.

Scrutinium toczyło się tak dalej, obiecując długo się przeciągnąć.

II

Położenie pani Dobkowej po uwięzieniu jej męża, gdy się spodziewała, że chwilowo tu zapanuje i obejmie rządy, stało się w istocie nieznośniejszym niż było. Z wyjątkiem probostwa nieprzyjaznego dworowi, co żyło po wsiach, w miasteczku, na zamku, przywiązane było do starych panów; przypisywano wszystkim tych nieszczęść przyczynę macosze, która się tu wkręciła, niosąc za sobą niepokój, intrygi i cały szereg utrapień. Znienawidzona przez wszystkich, odstąpiona — znalazła się pani Dobkowa jawnymi otoczona nieprzyjaciółmi i zniewolona posługiwać własnymi ludźmi ze Smołochowa, bo jej nikt słuchać nie chciał i nic jej wydawać. Przyszło do tego drugiego dnia, iż trzeba było posyłać po żywność, a nieprzyjazne i chmurne spotykając twarze, obawiać się jakiej napaści nawet i zemsty. Jawne wystąpienie Przepiórki w sprawie przeciwko panu, nie dozwalało jemu już na krok odejść od pachółków, bo mu się kijami odgrazano.

Sam pan Żółtuchowski postrzegł wkrótce, iż ogólne usposobienie ludności na żądnię z jej strony pomoc rachować nie dozwala. Zamiast mu posiłkować, służyło co żyło obwinionemu. Jako człek rozumny, komisarz poszedł się o tem we cztery oczy rozmówić z Aronem.

Starego Żyda powszechnie szanowano, trochę dla jego rozumu, wiele dla jego piędzy.

— Jakże to będzie, mospanie kupiec? zapytał Żółtuchowski. Wszyscyście tu widzę spiknęli się trzymać z dziedzicem i bronić go...

— A czemu by tak nie miało być? spytał Aron — a jak ma być inaczej? My znamy tych naszych panów od lat bardzo wielu... my ich kochamy, myśmy im wdzięczni... to są ludzie poczciwi! Że kilku łajdaków, z pozwoleniem jaśnie wielmożnego pana, związało się przeciw nim, aby ich zgubić — co za dziw? Czy pan, pan taki rozumny... pan co słyca jak trawa rośnie... nie widzisz kto tu tego wszystkiego przyczyną i instrumentem?...

Aron spojrział mu w oczy, komisarz się frasobliwie uśmiechał.

— Pan ją widziałeś wczoraj? westchnął Izraelita. Ta kobieta przyniosła nam tu nieszczęście... Od niej nasza śliczna panienska musiała uciec... od niej kto tylko mógł uciekałby... Jej to ludzie świadczą, z niej wszystko.

Pokiwał głową Aron.

— Ale w tem wszystkim jest jednak prawda. Są dowody... czarno na białem — rzekł Żółtuchowski.

— Albo to tego czarnego na białem nie można wymyślić tak samo jak innych rzeczy! Jaśnie panie dodał — izraelita — kiedy tysiąc ludzi płacze po kim, a dwóch się śmieje, niech pan będzie pewien, iż ci dwaj łotry są.

Komisarz odszedł zamyślony... Wszelako musiano dalej owe lochy prześledzać i kaplicy szukać...

Wół wezwany na przewodnika, złożył się od starości zabałamuconą głową i iść nie chciał. Zagrożono mu — zawołał, że go rozsiekają, ale nie pójdzie.

Tępo jakoś sprawa się posuwała, a raczej cofała niż rozwijała. Nie miała jednak powodu komisja, której dostarczano wszystkiego obficie, zbytecznie spieszyć do końca. Grzebano się powoli prawie tylko, aby coś robić pozornie, w istocie niewiele lub nic nie czyniąc.

Dobkowa na zamku chodziła jak opętana po swych izbach, nie wiedząc co począć? Widziała się codzień, zapraszając do siebie Żółtuchowskiego i usiłując go wdziękami akceptować; lecz pan komisarz człek był stateczny, dla kobiet z respektem, a do obalamucenia jakoś trudny. Wymagało to czasu, bo się nie zaraz rozgrzewał.

Nie znajdując rady u niego jejmość szła do kanonika na probostwo. Ks. Żagiel był milczący. Dawał jej tylko jedną radę, iż mogłaby z więzów małżeńskich się uwolnić tem, iż ślubując małżonkowi, katolikiem go sądziła, więc odkrywszy herezję, ma prawo prosić o skruszenie podstępnie zawartego związku.

Panią Sabinę skłaniało ku rozwodowi szczególnie to, iż kufry okazały się pustymi, a Borowce mogły być skonfiskowane; z drugiej jednak strony obawiała się oszukać, gdyby Dobek od obwinień się oczyścił, a pieniądze (o czym mówiono) ukrył tylko. W niepewności wielkiej, postanowiła czekać końca procesu. Nie upominała się wcale o widzenie się z mężem, ani też on się dopraszał, żeby się z nią mógł zobaczyć.

Na wypadek oczyszczenia nie frasowała się o pojednanie i wytłómaczenie, była bowiem pewna, że Dobkowi oczy zapruszy czem zechce i pociągnie ku sobie... Gdy wieść o sprawie arjańskiej rozeszła się wprędcepo kraju, bo register ten już prawie był zapomniany, więc wiele o Dobku mówiono — bardzo fortunnym trafem dobiegła ona do uszu rotmistrza Poręby, wygnanego z Borowiec za owo wtargnięcie się do skarbcza. Rotmistrz, któremu ex-kuzynka pomagała, posiłkując mu małemi przesyłkami, pomimo to był w dosyć przykrem położeniu i tęsknił do szczęśliwych dni w Borowcach — dowiedziawszy się więc, iż Dobek został inkarcerowany, że się tam scrutiny nań o kryminaly toczy, a jejmość osamotniona bez opieki, oprócz Będziewicza nie ma nikogo, kazał konie zaprzęgać i śpiesznie w pomoc jej podążyć.

Właśnie gdy największe ogarniało ją strapienie, Poręba się zjawił. Chciał wprost zjechać do dworu, ale tu pozostawiony ekonom i człowiek do zarządu, odmówili przyjęcia. Zmuszony więc został umieścić się w gospodzie, a osobą swą stawił się zaraz u Sabiny.

Czule było powitanie... Jejmość rozplakała się.

— Prawdziwa kara Boża! zawołała witając go — patrz, mój rotmistrzu, do czego to przyszło. Wiesz... te kufry... *puste!* majątek skonfiskują... a ja pójdę ztąd z torbami...

— A któż to, moja jejmość, tak głupio tego piwa nawarzył? poczał rotmistrz; toć przewidzieć było łatwo, co z tego wyniknie?

Jejmość nie przyznała się wcale, że się przyczyniła znacznie przez nieszczęsnego Przepiórkę do wywołania oskarżeń Wala, a przez papiery wyniesione ze skarbczyka do uregulowania obwinień.

— Proszę cię — wtrąciła znowu — no, ktoby się był spodziewał, że te kufki próżne będą?

— One chyba są teraz próżne, odezwał się rotmistrz, kiwając głową; ale że nie były próżne, za to ja jejmości ręczę. Nie przypominasz sobie tego, że ja niemal każdy sepet za ucho brałem i próbowałem go podźwignąć, a żadnego z miejsca nie poruszył?

— Ale czyż tak było? pewnie? spytała Sabina.

— Ja jestem człowiek gruntowny, odezwał się rotmistrz, i kiedy co robię, to porządnie. Co mi znaczyły nalepione kartki... Mogło być bałamuctwo, macałem dobrze... a i brzęczało we środku.

Głową pokręcił...

— Więc to gdzieś zawczasu pochowali, — pochowali, dodała Dobkowa, — a już do rozwodu iść chciałam.

— Nie; bo ty Sabciu — odezwał się Poręba, rozsiadając w krześle wygodnie — ty nie masz cierpliwości, wszystko tu popsulaś tą swoją gorączką. A było nam całę nieźle... Wódka starka, którą teraz slysze opieczętowano, paradna! jeść było w bród... trzeba było siedzieć i pomaleńku sobie iść krok za kroczkiem. Jejmości się zachciało nagle, a co nagle to po djable. Otóż wszystkiego utrapienia przyczyna.

Dobkowa odwróciła się gniewna.

— A co ja się z łaski waszej napokutowałem — dodał rotmistrz, — na wołowej nie spisać skórze... Ile razy wygnany byłem i głodny, co pieniędzy straciłem!

— Nie swoich...

— Już jak tylko traciłem, tom miał do nich prawo, i byłbym je sobie mógł na stare lata zaoszczędzić...

W dalszym ciągu rozmowy okazało się, że ze Smołochowa trzeba było nosić prowiant do Borowiec, i że życie w na pół opieczętowanym zamku stawało się nieznośnem.

Drugiego dnia Poręba ruszył rozumem, — spotwarzony przed Dobkiem jako podszuwacz do złego, chciał, na wszelki wypadek, w oczach się jego oczyścić, — bo mówił sobie w duchu, że człowiek mający pieniądze zawsze się jakoś z najgorszego procesu wyскоrać potrafi. Nie mówiąc nic jejmości, poszedł zabrać znajomość z Żółtuchowskim. Przypomniał sobie nawet, iż za dziadkiem jego była Petronella de Żółtuchow Żółtuchowska... Z pomocą tej nieboszczki Petronelli zaintrydukował się do pana komisarza, który

nudził się okrutnie, mając za całe towarzystwo tylko księdza Żagła i Arona, obaj zaś oni nie mieli czasu do gawędy. Poręba był mu wielce pożądanym, w godzinę się pokumali.

Rotmistrz opowiedział, że jejmość była jego krewną, i że przybył jej w pomoc, aby choć *alimenta* wyrobić, póki się sprawa nie rozstrzygnęła.

Siedli tedy w marjasza grać, już jako koligaci i przyjaciele. Do obłania pierwszej dubli przysła butelczyna. Humory poróżniewały.

— Co wy tam z tym nieszczęśliwym Dobkiem robicie? spytał rotmistrz.

— A cóż? siedzi w alkierzu, nic mu się złego nie dzieje, odparł komissarz.

— Jaby się z nim nie mógł też widzieć?

— Przy mnie, dla czegoż nie?

— Chciałbym mu moją kondolencję wyrazić, rzekł Poręba. Ludzie mnie ogadali przed nim, z domu mnie przepędził, wszystko to przebaczam wspaniałomyślnie — żal mi go...

Cóż myślicie będzie z tej sprawy? dodał rotmistrz.

— Albo ja wiem? Dotąd mi idzie jak z kamienia to arjaństwo.

— E! co to wam się wdawać w sądenie sumienia ludzkiego, — zawołał Poręba; on o to z Panem Bogiem mieć będzie sprawę... Arjanin? a wiesz asińdziej co arjanie byli?

— Straszliwe kacerstwo! zawołał komissarz.

— No, ja tam tego nie wiem i nie potrafię rozróżnić co arjanie a co ormianie... mnie to wszystko jedno, mówił Poręba, i zbliżył się do ucha Żółtuchowskiemu — ale że ten arjanin grosza miał!! a! a! a!

— A gdzie go podział?...

— Któż to może wiedzieć! Ja wam ręczę, że te kufry były pełne, bom ich próbowałem.

— Istotnie!

— Żołnierskim słowem ręczę. Słuchajże kochany Żółtuchowski... co ty, co wy zrobicie człowiekowi, który ma czem ozłocić wszystkie trybunały?

— Tylko nie tam gdzie o arjanizm sprawa, odezwał się Żółtuchowski: ho! ho!

— Arjanin! ormianin! dodał Poręba, kto ich tam rozróżni! At! bałamuctwo... Chodźmy do Dobka...

Poszli tedy... W progu Poręba począł nagotowaną orację.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Widzi pan — przybywam... Choć oczerniony, choć wypędzony, choć z błotem zmieszany a za wroga poczytywany, stawię się w złej godzinie z kondolencją. Widzi pan! A co? Łotr Poręba? Oto to tak ludzi sądzą. Dzień i noc pędziłem, aby wam w złym razie usłużyć.

Dobek, który siedział w kożusku na tarczanie i nawet się nie podniósł, popatrzał nań, ledwie głową kiwnąwszy.

— A widzę, widzę — odezwał się — żeś jegomość przybył pocieszać nie mnie ale zapewne jejmość. No to samże sobie do niej ruszaj, a mniebyś dał święty pokój.

— Pan jesteś niewdzięczny! zawołał Poręba.

— To rzecz wiadoma — rzekł Dobek. Ja jestem heretyk, zbójca, niewdzięcznik i co acaństwo chcecie. Cóż robić? nie każdemu Bóg dał być takim rotmistrzem Porębą — to darmo!!

Skrzywił się gość. Dobek zwrócił się do Żółtuchowskiego.

— A co tam dziś znaleźliście panie komissarzu na moje potępienie? Odkopaliście kaplicę... zbór i co?

— Dotąd nic — rzekł Żółtuchowski.

— A co mi napsujecie ziemi i muru, niech wam Pan Bóg nie pamięta — dodał Dobek.

Popatrzał się na nich obu, kiwnął głową i pożegnał, dając znać, że radby ich widział za drzwiami — Poręba szasnęła nogą... Żółtuchowski odchrząknął — wyszli.

— Zacięty stary!! odezwał się komissarz...

Tegoż samego dnia gdy rotmistrz podążył do zamku i miłą zrobił znajomość z Żółtuchowskim, umawiając się z nim o marjasika... późno w noc dwóch podróżnych zajęchało na drugą połowę domu Arona Lewiego.

Gospoda to była murowana, jedna z największych w mieście i miała w pośrodku bardzo obszerną stajnię, a po obu końcach mieszkalne izby. Tych jedną część od rynku zajęła komissja z p. Żółtuchowskim, druga pozostała Aronowi i jego licznej rodzinie. Podróżnych oprócz wieśniaków z przysiółków i agentów Arona z różnych świata stron,

niegdy tu prawie nie widywano. Osobliwością też było, że się tu jacyś zjawili i pewnie, gdyby przejechali we dnie, połowa Żydów z miasteczka, wyszłaby na ich spotkanie... Ci zaś przyjechali późno, w noc ciemną i dżdżystą, a nim im otworzono, musieli się umawiać z gospodarzem, gdyż wrota otwarto po cichu i wpuszczono ich bez światła, ostrożnie, jakby się lękano zwrócić na nich uwagę. Była już prawie północ, Aron sam tylko nie spał jeszcze i modlił się, chłopak go wywołał i po dość długiej naradzie dopiero, nie budząc pacholków, wóz wtoczono, podnosząc koła na progę, aby stukotu uniknąć.

I zamętu żadnego przybyciem swoim nie sprawili w domu, gdyż natychmiast po tem ucichło. A że Żółtuchowski po swojemu już chrapał, jego tylko na całą gospodę słychać było.

Aron miał w tym drugim końcu domu, do którego wpuścił podróżnych, prywatne swoje i rodziny mieszkanie, do którego nie rad obcych wpuszczał. Tu mieszkała żona jego i córki, tu znajdowała się izba paradna, w której się cała familja w wielkie uroczystości zgromadzała. Gdyby Żółtuchowski nie chrapał tak głośno, a służba nie była jak zawsze podpojona musiałoby to uderzyć ich, że tajemniczo wprowadzono przybyłych, pozamykano drzwi, a z końmi po ciemku się tak uwinęto i brykę zasunęli ludzie za przegrodę w stajni, że nazajutrz nikt się domyślać nie mógł przybyłych gości. Aron który i od czasu uwięzienia, pana Dobka sypiał zawsze w alkierzu obok niego, aby mieć sposobność z nim się rozmówić i naradzić — tej nocy wyszedłszy do podróżnych, już nazad nie powrócił.

Wszystko to przeszło niepostrzeżenie dla p. komisarza, pisarza i kancelarji, gdyż ci nie nazbyt się gorliwie brali do scrutiny, a radziby je tylko byli przedłużyć, aby jeść i pić cudzym kosztem.

Wykrycie owych szczątków arjan od przeszło stu lat z kraju wywołanych i ściganych, nie tak bardzo komu na sercu leżało, oprócz może ks. kanonika, który z gorliwości swej religijnej byłby gotów najostrzejszych użyć przeciw nim środków. Ten jeden gniewał się na opieszałych i o ostygnięcie w sprawie wiary obwiniał cały świat; lecz mu nikt nie wtórował. W ten arjanizm skryty nie bardzo na prawdę wierzone, i po cichu pytano się, co owi arjanie, utajeni przez sto kilkadziesiąt lat, krajowi złego uczynili, żeby ich tak niszczyć i tępić miano? Wiek to już był w którym tolerancja wchodziła w prawa i zwyczaje, chociaż massy jeszcze nie rozumiały jej, a duchowieństwo przeciwko temu prawu gorszenia, jak go zwało, występowało.

Dla tego, za głównego winowajcę, jeśli jaki miał być, uważając pana Dobka, którego w ściślejszym trzymano areszcie, komissja nie uznała za potrzebne ludzi dworskich, obwinionych też o skryte kacerstwo, zakuwać i zamykać. Puszczono ich prawie wolno, wiedząc że od rodzin i domów nie zbiegną.

Wypuszczając też z razu uwięzionego Eliasza, który chodził wolno, a innych jego współtowarzyszów ledwie na chwilę do badania wezwawszy, z warunkiem stawienia się na rozkaz, do domów odesłano. Nie miała z tego pociechy pani Dobkowa, bo jej nikt a nikt służyć nie poszedł; wszystko się to rozbiegło, pochowało i pokąta nad losem swym i pana płakało. Eliasz może ze wszystkich najczynniej się i najśmielej krzątał, ale tylko około interesów pana swego, pilnując, aby mu nie zbywało na niczem. Aron i cała można powiedzieć ludność miejscowa stała na straży swego pana, nader nieprzyjazne objawiając usposobienia dla pani Dobkowej i jej dworu, dla komissji, Żółtuchowskiego, a po części nawet dla kanonika.

Węzeł, który łączył ów stary dwór z ludnością, daleko silniejszy okazywał się teraz niż zdawał kiedykolwiek. Trzeba też wyznać, iż Dobkowie ludzko obchodzili się zawsze z całą włością, że nastręczali zarobki, nie wymagali posług daremnych, opłacali należności regularnie, a handel drzewny pana Salomona nie tylko jego, ale i mnogich robotników bogacił.

Wszelkie więc żywioły obce, które wносиły z sobą niepokój, groziły zmianą starego porządku i występowały przeciwko Dobkom, znajdowały w Borowiczanach nieprzyjaciół. Pani Dobkowa co chwila o tem mocniej przekonywając się, w nocy musiała się barykadować ze strachu, aby jej się co złego nie stało; rotmistrz trzymał przy sobie nabite pistolety — reszta ludzi niechętnie za pokoje wychodziła... W oczach i wejrzeniach spotykali wyraz nienawiści i groźby, na którym omylić się nie było podobna. Położenie ich stawało się coraz nieznośniejsze na zamku, którego Dobkowa dla tego tylko opuścić nie chciała,

że jej się zdawało, iż prawo powrotu doń utracić może. Najnieprawiejsze oko uderzać to musiało, że ludzie kręcili się jakoś, chodzili, patrzali, przynosili różne drobnostki, spotykając się z sobą szeptali coś na ucho, dawali sobie jakieś znaki... słowem zajęci czemś byli pilno — takim, o czym przybysze nie wiedzieli. Dobkowa te ruchy postrzegła, i jako niewiasta ostrożna, poszła zaraz na probostwo do ks. kanonika, który jeden gorliwiej przeciw arjanom był usposobiony.

— Księżę kanoniku — odezwała się ręce łamiąc — wszystko to, co ta komissja tu robi, na nic się nie przyda! Nic nie dojdą, oni na swoim postawią, i — jak pochowali skarby, tak skryją papiery i dowody wszelkie. Jakże może być? ludzi dworskich puścili wolno, ci się znają jak łyse konie, na zamku ciągle konszachty, Eliaz do pana Dobka się suwa. Niby to do Arona za czemś chodzi, a ja przysięgnę, że i Żyd i wszyscy Żydzi w spisku, i ludzie wiejscy, i ile ich tu jest... a potem jeszcze mścić się będą.

— A cóż tu poradzić z nimi? zawołał kanonik. Czy asińdźka myślisz, że ich w najmniejszej rzeczy sprawa religii i obraza Pana Boga obchodzi? Tacy to pono wszyscy oni katolicy, jak Dobkowie... im aby siedzieć, jeść i pić...

Ręką rzucił ks. Żagiel i począł się po izbie przechadzać.

— Mój ojczu, a cóż z tego wszystkiego będzie? spytała Dobkowa.

— Albo ja wiem! albo ja wiem!...

Odwrócił się ku jejności nagle.

— To, co asińdźka mi powiadasz, niczem jest jeszcze; ja gorszą rzecz mam... na nich, dowodzącą, że tu nas spisek otacza. Pamiętasz pani te papiery, które złożyłaś w moich rękach, wyniosłszy je z owego loszku? Zawierały one dowody najdobitniejszej winy; całe życie Adama, zeznania jego zabójstwa, nauki dla syna i współwyznawców. Sam przecież papiery te czytałem i złożyłem komissji. Otóż tych papierów, nie ma.

— Jakto nie ma? a cóż z niemi się stało?

— Niewiadomo! rzekł śmiejąc się ks. Żagiel ponuro i ironicznie. W komissji są jakieś papiery niby przezemnie złożone, ale których ja nie poznaję... Regestra... modlitewki, bałamuctwa, całe co innego... gdzie się rzeczywiste podziały nikt nie wie. Mówią, że innych nie było...

Na oko, patrząc z dala, sambym przysiągł, że to te same... tak zręcznie podsunięto podobne, tymczasem pierwszych ani śladu... Oburzyłem się... narobiłem hałasu... przewróciłem kancelarję... zbiegli się pisarze, skrybenci... wszystko było pod kluczem, nikt o niczem nie wie... Przepadło!!! Żółtuchowski się na mnie oburza, że mi się przewidziało... pisarz się gniewa, inni krzywo patrzą... no coż tu począć?

Przecież, mówił ciągle ks. Żagiel — nikt obcy do kancelarji nie miał przystępu, nikt z kancelarzystami stosunku... nikt tu na probostwo nie przychodził... klucze i zamki całe...

Ruszył ramionami ks. Żagiel.

— A papiery z dowodami przepadły!

— Otóż tak jest i w innych rzeczach, mój księżu kanoniku — ozwała się Dobkowa. Ja tu nieszczęśliwa nie wiem jak wytrwam. Boję się, żeby mi czego w jedzeniu nie podano, taką to wszystko pała nienawiścią do nas... Przepiórka taki bystry i przebiegły, od kilku dni jak święty — chce uchodzić, powiada, że się czuje źle i że mu coś w wódce zadano. Rotmistrz tem się pociesza, że z Żółtuchowskim żyje i za niego się chowa. Jak mi ks. kanonik radzisz? siedzieć czy do Smołochowa jechać?

Nic asińdźce nie radzę, bom sam ze smutku i strapienia głowę stracił, rzekł kanonik. Żyjemy w wieku bezbożności i indyfferencji, masoni wymyślili tolerancję, nikt religii nie broni, nikt w sprawie jej nie staje... Dyssydenci panami będą, nie my... to darmo. Jezuitów skassowano... otóż skutki...

Dopóki oni tu byli, nigdyby do takich bezkarnych ekscessów nie przyszło. Któż wie? jutro może arjanom też na publiczne wyznawanie ich wiary dozwolą...

Kanonik westchnął.

— Koniec świata! Antychryst niedaleko!

Dobkowa, której pono więcej o nią samą szło, niż o bliskie zjawienie się Antychrysta, powtórzyła pytanie:

— Cóż mam robić?

Ale tak płacziwym głosem, że ks. Żagiel aż się ku niej zwrócił.

— Nie pytaj mnie pani, nic nie wiem; przewiduję, że źle będzie... jeśli się rzeczy skończą oczyszczeniem ich z zarzutów, bo i papiery znikły, i Wal się zapiera tego co zeznawał, podobno i ja będę musiał prosić o zmianę probostwa, bo i mnie tu nie bardzo będzie wygodnie.

Dobkowa załamawszy ręce, pożegnania nawet zapominając, wyszła z probostwa wprost do rotmistrza, który w swej izdebce z kraciastem oknem siedział przy butelce, grając na gitarze dla rozerwania smutnych myśli. Zamiast butów miał futrzane zimowe berlacje na nogach i strój wielce zaniedbany, tak, że w każdym innym razie byłyby się jejmość cofnęła.

— Rotmistrzu, zawołała wchodząc, wiesz co się święci? wiesz? Cóż ten twój Żółtuchowski robi, na miłość Boga! Papiery z pod rąk mu wykradli, Dobki te przekłete wszystkiego dokażą czego zechcą...

— Któż to asińdźce powiedział? zapytał niewzruszony rotmistrz, kładąc gitarę... i śmiejąc się wesoło. Ja lepiej wiem trochę... jak rzeczy stoją. Pana Dobka pozajutrz ztąd wywożą, i sądzić będą z rejestru arjaniami, a potem albo go na stosie spalą, albo go kołem będą tłuc, lub na cztery części go rozerwą... Już bardzo będzie szczęśliwy, jeśli się skończy na mieczu lub stryczku... Są dowody, że arjanie skryci byli... zatem nie ma pardonu! Jejmości oddadzą jeśli nie całe Borowce, to pół przynajmniej, za co mi Żółtuchowski ręczył, prawda podchmielony, ale co u trzeźwego na myśli, u pijanego na języku. Ja o asińdźki interesach nie zapominam... a jak tylko tego Dobka sprzątną, pobierzemy się...

Pani Dobkowa spojrzała na wypróżnioną prawie butelkę, i zrozumiała fantazję pana Poręby z niej zaczerpniętą.

— Bredzisz! odparła krótko.

— Bądź Sabciu spokojna! stryczek starego nie minie, jejmościne prawa wdowie zostaną uznane, ja się z tobą ożenię jak należy... i...

Porwawszy gitarę rotmistrz, począł przy niej zawodzić głosem ochryplym:

Moja kochana
Czarne oczki ma,
A jak spojrzy temi oczy,
Mało serce nie wyskoczy,
Takie oczka ma!
Takie oczka ma!

I już rozpoczynać miał strofę drugą, gdy pani Dobkowa drzwi zatrzasnąwszy wyszła...

Było to nazajutrz po nocnym przybyciu owych dwóchpodróżnych do Arona, o których nikt nie wiedział, bo ich nikt nie widział, a nawet żyd zagadnięty przez jednego z pacholków, który ocknąwszy się, słyszał, jak wóz wciągano i przeciw światła cienie jakichś ludzi miał dostrzedz... zaczął się z niego śmiać, że chyba we śnie mu się to marzyło... nazajutrz tedy żadna zmiana w położeniu nie zaszła, Eliasza kilka razy tylko to z bielizną, to z różnemi rzeczami chodził do pana Dobka... Wieczorem Aron, nie sam, ale przez poczciwego rotmistrza zaofiarował panu Żółtuchowskiemu antalek wina, żeby sobie choć jeden dzień mogli po trudach wypocząć i podochocić. Żółtuchowski też zaraz do siebie wszystkich na wieczrę kazał prosić, indyka upiec, jajecznicę smażyć, i postanowił mały luszyk sprawić. Rotmistrz podejmował się to urządzić. Żeby zaś pacholków i gawieź sądową zbyt oskoma nie brała, polykając ślinkę, a patrząc na hulającą starszyzną, dano dla czeladzi baryłkę jarzębinówki, nad którą zdrowszej rzeczy, jak wiadomo, nie ma na świecie...

Grano tedy w marjasza, śmiano się, opowiadano anegdotki, facecje, zapijano z antalką postawioną pod oknem, na którym sam Żółtuchowski kredą napisał:

„*Usui publico patens.*”

Ochota była taka, iż o godzinie pono czwartej, po drugich kurach, rozeszli się jedni do plebanii, drudzy po kwaterach, i to nie o własnych siłach, ale *junctis viribus* się wspierając... kreśląc po błocie gzyguzagi... Czego nigdy jeszcze w Borowcach nie bywało, w rynku nocą słyhać było chórem nucone pieśni... Zgorszenie wielkie. Nad ranem wszystko ucichło.

Rozumie się, że nazajutrz do roboty około godziny dwunastej jeszcze nikt nie był gotów. Rozbijano się o kwaśne ogórki. Pan Żółtuchowski chciał w południe dowiedzieć się, co z Dobkiem się dzieje i dobre słowo mu powiedzieć z powodu, że w nocy mu spać nie dali. Na progu jak zwykle stał pacholek, ale tym razem zamiast stać na straży, siedział i spał plecami oparty o drzwi.

Ledwie się go komisarz dobudzić potrafił. Ocknąwszy się, oczy przetarłszy, chciał wnijsia bronić, ale go, śmiejąc się z tej gorliwości, odepchnął Żółtuchowski, w izbie jeszcze okiennica była zamknięta, i z tego powodu ciemno było zupełnie. Na tapczanie leżał pan Dobek owinięty kołdrą i tak śpiący twardo, że go wnijsie komisarza nie przebudziło. Czując się do winy, nie myślał go też komisarz ze snu wyrwać i powrócił do siebie.

W kancelarji tego dnia, z wielkiem zgorzeniem ks. Żagła, same kwaśne rzeczy jedli i pili, a o robocie mowy nie było. Rotmistrzowi głowa bolała i leżał u siebie. Słowem wieczór z antalkiem dał się czuć wszystkim, co w nim udział mieli. Wino było doskonale, piło się smaczno, gładko, ale zamiast do żołądka szło do głowy.

Są jak wiadomo, różne wina po świecie — i takie, co do nóg tylko idą, i takie, co do głowy, i takie, które bezkarnie się pije, jak wodę prawie. Żółtuchowski utrzymywał, że antalek ten bodaj czemś był zaprawny...

Przechorowali po nim, kto się go tylko dotknął. Cały tak dzień zmarnowali... trzeciego chcieli to sobie wielką gorliwością wynagrodzić... posłano na zamek badać lochy... wyprowadzono Wala do protokołu... na ostatek i pana Dobka chciano wezwać... gdy — nagle — sądny dzień! hałas! krzyk!..

Pana Dobka ani śladu nie było. Leżał wprawdzie na posłaniu kul słomy zawinięty w kołdrę, ale więcej — nic...

Gdzie, kiedy, jak zniknął — niepodobieństwem było dośledzić... Eliasza także znaleźć nigdzie nie było można... a co najokropniejsza, że i Wól z więzienia i z pod ścisłej straży uszedł. Starzec, niedołęga jakim sposobem mógł się wymknąć, nikt nie pojmował. Dosyć, że i jego nie było...

Pan komissarz piorunami ciskając, chciał wszystkich wiązać, łapać... brać na pytki, — a no pozostali tylko dzieci i zgrzybiali starce...

Popędził na probostwo do kanonika. Ten już o wszystkim wiedział i w oczy się komisarzowi śmiał.

— Musiało tak być, rzekł, do tego szło... waćpaństwoście winni sami.

Komisarz włosy niemal byłby sobie z głowy rwał, gdyby je miał — ale ich niewiele zostało i to tylko za uszami. Targał za to wąsy i kłął siarczyście. W ogóle jednak niewiele to pomagać zwykło.

Ks. Żagiel sfukał go jeszcze za obojętność dla sprawy religji, i powiedział, że sam świadczyć gotów, jak tu się owo scrutiny odbywało niedbale. Z odrobiną pacholek, których przy sobie miał komisarz, nic poradzić nie mógł. Arona chciał kazać uwięzić, ale ten wczoraj o południu spokojniuteńko sobie wyruszył na jarmark do Berdyczowa.

Gdy wieść o zniknięciu Dobka doszła do zamku, jejmość plasnęła w ręce i krzyknęła tylko.

— A! ja nieszczęśliwa! teraześmy wszyscy zginęli...

Posłała po rotmistrza, a ten leżał chory po winie kurował się wódką z pieprzem, ale i to tak dzielne lekarstwo nic nie pomagało — nie mógł nawet przyjść na zawołanie. Pobiegnęła do niego...

— Wiesz co się stało! zawołała od progu.

— A no, wiem! wiem... Dobek *fugas chrustas* wykonał... bardzo zęczenie, nigdybym się tego po nim był nie spodziewał... teraz trzeba pono i nam się ztąd wynosić...

— Któż temu winien! krzyknęła Dobkowa, kto? wy! opoje! bibuły przekłete! Dał wam Aron dyweldreku w winie i piliście go aż wam rozum odebrało, a oni tymczasem sobie spokojnie w drogę się pakowali.

— Moja Sabciu, odparł rotmistrz, bądźże sprawiedliwa. Jam nie sprawiał luszytku, tylko Żółtuchowski, a gdzie inni piją, żeby znowu nie pić... to nadludzka rzecz!... Cóż asindzka chciałaś! żebyś ja sobie dał łać za kołnierz... i żebyś innym despekt czynił, a sobie mortyfikację?... Wino było dobre, ale w niego spirytusu namieszali, może być, nie

co innego, tylko jakiegoś spirytusu... Że Aron antałek ten dał umyślnie, aby nas popoić... może być, trzeba go okuć.

— Nie ma go dawno... I Wał z więzienia wykradziony.

— Ej! ej! i papiery zginęły, i Wał zniknął! rzekł Poręba; *casus fatalis!* Jedź jejmość zawczasu do Smołochowa, a i ja się zapakuję, nie mamy tu co dłużej popasać.

Mężniejsza od Poręby pani Dobkowa, poradziła sobie inaczej; wszystek ten sprzęt, jaki jej w nieopieczętowanym mieszkaniu Laury pozostawiono, kazała nawszelki wypadek wywieźć do Smołochowa. Oprócz tego co tylko się gdzie kosztowniejszego znalazło, zabrała tak dalece, że z sypialni dawnej Lorki, gdzie ściany były obite materją jedwabną, i tę z ram wykroić kazała.

Rabunek ten poddał myśl rotmistrzowi pochodzenia po zamku, czyby się też i jemu co nie udało na rachunek jejmości zdobyć. Jakoż gdzie pieczęci nie było, a sprzęt lepszy stał, odesłano go zaraz.

Dobkowa zaś sama nie chciała się ruszyć, trwając w miejscu do ostatka, i rotmistrza nie puszczając.

Komisja przesłedziwszy lochy, groby, mury, naświdrowawszy dziur, nakopawszy dołów, narozbijawszy ścian, zabierała się opuścić Borowce, które jednak sekwestrem obłożone i w administrację skarbową oddane być miały. Dobkowa postarała się, aby ta jej powierzona była. Jakim sposobem do tego dojść potrafiła po kilkakrotnem widzeniu się z Żółtuchowskim, nawet rotmistrz nie wiedział i mocno się temu dziwował.

Gdy mu się z tem przysłała pochwalić Dobkowa z radością wielką, Poręba rzekł połowę przysłowia tylko:

— Nie miała baba kłopotu... kupiła sobie Borowce.

Miłośnik świętego pokoju i wczasu, rotmistrz nie miał tego ducha przedsiębiorczego, który chwilami panią Dobkową ożywiał. Dziwił się nieraz jej determinacji. Otrzymanie administracji dóbr natchnęło ją mężstwem nadzwyczajnem i przywróciło postradaną ruchawość gorączkową. Nie mogąc do niczego użyć rotmistrza z gitarą, posłała po Będziewiczza, po ludzi do Smołochowa, ekonomia ze swojej ręki ustanowiła, objęła magazyny, słowem zaczęła się rządzić, wedle wyrażenia Poręby, jak szara gęś. Ludzie dworscy, dawniejsza służba w większej części pochowała się, rozbiegła i na nic nie była przydatna; pani Dobkowa Przepiórkę naznaczywszy niby marszałkiem, postarała się o nowych ludzi.

W całej tej czynności nikt jej na pozór nie przeszkadzał, lecz jak dawniej tak teraz opór bierny spotykała wszędzie. Słuchano, gdy musiano, lecz rozkazy się nie spełniały lub opornie i opieszale.

Na samym zamku komisja pozdejmowała pieczęci, tu więc mogła jejmość królować jak się podobało. Rotmistrz kilku ludzi wzięwszy, bo się obawiał przypadku, poszedł się jeszcze raz skarbowi przypatrzeć...

Niezmiernie mu żal było uronionych summ neapolitańskich, a że je ztąd uniesiono znalazł później śledząc najwyraźniejsze poszlaki. W kątku nawet pod piaskiem zgubionego dukata węgierskiego odkrył. Macając cegły po ścianach, bo pamiętał, że pod jedną z nich były klucze ukryte, dopytał się nawet do pustej kryjówki w murze, gdzie było kilka worków, sznurków i kilka kartek z cyframi, ile dukatów zawierały...

Dalsze pukania i roboty do niczego nie doprowadziły, oprócz srogiego serca ucisku.

Tak wcale niespodzianie Sabina choć w części osiągnęła upragniony cel, stając się panią Borowiec, a obiecując sobie wszelkimi środkami przy nich się utrzymać. Miała nadzieję i grosza jeszcze sporo pochwyć za przygotowany materiał leśny, potasze, klepkę, smołę i bale, które na wodę iść miały, lecz Żydzi złożyli się formalnemi przy świadkach wydanemi kwitami, iż wszystko to było ich własnością od dawna zapłaconą. Zabiegli też zawczasu w urzędzie, iż na to sekwestru nie nałożono.

Rotmistrzowi powoli dobra myśl wróciła; inaczej się teraz na obrót rzeczy zapatrywał, rozumiejąc, iż Dobek o arjanizm obwiniony powrócić nie będzie śmiał nigdy, a jejmość powoli kaduka na dobre otrzyma.

— Żeby zkąd sepulture jeszcze tego starego wydostać, mógłbym się już z nią ożenić, dodawał po cichu; nie mam nic lepszego pono na widoku.

Objąwszy zarząd piwnicy, jako tako opatrzonej, wybrałszy sobie pokoje Laury na mieszkanie, rotmistrz był dosyć z losu zadowolony. Będziewiczowi powierzono gospodarstwo.

Znając powolność, z jaką naówczas sprawy wszelkie się odbywały, mogła pani Dobkowa rachować na to, że będzie mogła w Warszawie, korzystając z przewłoki, wyrobić owego kaduka. Zbierała więc tylko potrzebny zapas, ażeby w podróż się puścić.

III

Wiadomość o położeniu ojca, którą Honory przywiózł Laurze do Warszawy, przeraziła ją z razu — ale w tejże chwili postanowiła natychmiast lecieć mu pomódz do Boro-wiec... Rachowała na to, że tam ją kochali wszyscy, że podadzą jej rękę chętnie, aby p. Salomona wyrwać bodaj siłą z więzienia. Zdawało jej się to najpierwszą do wykonania, najpilniejszą rzeczą, aby mu oszczędzić cierpienia... potem, gotowa była w Warszawie poruszyć wszystkich znajomych i niezajomych, trafić do króla, zaofiarować się sama... byle ojca wyzwolić... a z ojcem ocalić pamiątki, do których była przywiązana... Wprzód- dy jednak, nimby się te kroki ostateczne przedsięwzięć mogły, potrzeba było p. Dobka w bezpiecznym ukryć miejscu, aby w razie jakich przeciwności i niebezpieczeństwa mógł ująć za granicę i czekać tam póki się sprawa nie rozwiąże. P. Honory zgodził się na ten plan Laury, której serce i głowa płonęły... Chciała jechać natychmiast, i ledwie do jutra wstrzymać potrafił ją brat tą uwagą, że należałoby pożegnać znajomych i im się wcześniej polecić. Laura wybrała tylko jedną kasztelanową, więcej nie chciała się widzieć z nikim. Nazajutrz wybór w drogę, poszukiwanie towarzyszy, którą wziąć z sobą chciała, zabra- ły czas do wieczoru. Późno już, namyśliwszy się zrzucić strój męzki, ubrana czarno jak zawsze, podała rękę Honoremu i razem pojechali do pani Wiskiej.

Nieszczęśliwym czy też pomyślnym trafem, w przedpokoju na zapytanie czy jest sa- ma, odpowiedziano im, że ma u siebie osób kilka, a między innemi i hr. Artura. Laura ani mówić przy obcych, ani czekać ażby się rozeszli nie mogła — wyjazd naglił; posłała więc kamerdynera, prosząc kasztelanowej o kwadrans rozmowy na osobności. W chwilę potem grzeczny Francuz wprowadził ich do małego pokoiku przy sypialni pani... któremu mieli się czas przypatrzeć. Było to caceczko, pałac pamiątek świeckich i świętych, dosyć dziwnie zmieszanych z sobą, jak w rozmowie kasztelanowej mieszały się wciąż *sacra cum profanis*, bez zlej woli — ot tak — przez wrodzoną jej żywość i poplątanie tego czem była dawniej, z tem, czem świat ją uczynił. Obrazki religijne i miniatury dobrych przyjaciół, relikwie z Rzymu i zeschnięte kwiaty — rozstania pamiątki (*adieu! à jamais!*) — modli- tewki z błogosławieństwem i wiersze miłosne stały obok siebie w ramach... na książce od nabożeństwa leżała Heloiza...

Kasztelanowa uwolniwszy się od rozmowy, wtoczyła się zadyszana, oglądając ciekawie, poznała Laurę, a oczyma mierzyła Honorego, którego jej ona zaprezentowała...

— Brat mój stryjeczny, rzekła, mam honor przedstawić go pani i razem z nim ją pożegnać... Zabiera mnie z sobą, jechać musimy natychmiast, nie chciałam jednak uciec ztąd nie ucałowawszy rączek pani... Wiele w tem egoizmu, bo się muszę jej łasce polecić i prosić zawczasu o protekcję.

— A i cóż się wam stało... moja piękna, czy — mój piękny! odezwała się śmiejąc kasztelanowa...

— Nie piękna, ale wielce jej wdzięczna za dobroć, za niezasłużone dowody życzliwo- ści, nieszczęśliwa kobieta, przychodzę z prośbą!... Dowiedz się pani o smutnych naszych tajemnicach — a jestem pewna — dopomożesz!

— O! jeśli to tylko w mej mocy! ściskając jej rękę, rzekła gospodyni.

— Zaopiekuj się mną pani! przerwało jej dziewczę; wszakże niedarmo Opatrzność mnie rzuciła na drogę... pod nogi tobie, musisz podnieść!

— A! podniosę, utulę i zrobię co chcesz... jeśli mogę... ale o co idzie? siadajcie! może... poczęła pani Wiska. Moi goście, choćby się trochę zniknięciu memu dziwowali — niech poczekają.. Artur mnie zastąpi... Słucham.

Laura westchnęła i poczęła z cicha:

— Zda się pani ta cała historia dziwną jak moje postępowanie, ale ja skazana jestem na losu dziwactwa. Rodzina nasza należała do tych, które niegdyś przyjęły — nazwij to pani jak chcesz — czy... czystą wiarą Chrystusa, czy błędy arjańskimi... Arjanie byliśmy... a może jeszcze jesteśmy trochę... W godzinie prześladowania ojcowie nie mieli odwagi jak inni wynieść się z kraju... woleli ukryć swe przekonania, taić się z niemi i wyznanie swe

w sercu dla przekazania dzieciom przechować. Nazwij to pani słabością — ja uniewinniać nie będę — tak było... Dawne to dzieje, zapomniane dzisiaj, pleśnią okryte... Wszyscy o arjanach zapomnieli; my w kątku... zachowaliśmy cześć dla wyznania dziadów — nikt nas o to ani obwiniać, ani sięgłby serca mógł domyślać... Wiara nasza jeśli szkodziła komu, to tylko nam samym.

— Arjanie? arjanie? ale proszę cię, przerwała kasztelanowa, coś ja o nich słyszałam... a doprawdy nie wiem dla czego arjan prześladowano!

— Może dla tego, cicho szepnęła Laura, że chcieli iść własną drogą, nie idąc ślepo z drugimi; może dla tego, że z nauki Chrystusa brali miłość — moralność jej, ofiarność, a zaniedbywali obrządków... ja nie wiem... dość, że arjan jako niebezpiecznych kacerzy wygnano, a kogoby z nich odkryto... zagrożono karą najsroźszymi...

Ojciec mój i ja — jesteśmy ostatni z rodziny, skrycie naukę tę przechowującej... Niktby nie wiedział o tem i nie ścigał nas... bośmy nie sprzeciwiali się zewnętrznym cechom katolickiego kościoła, w sercu chowając naukę — gdy nieszczęście chciało, by w dom nasz weszła zła kobieta, macocha — ta, od której ja uciekać musiałam... Jej to sprawa; ojca mojego uwięziono, zagrożono mu sądem i karą, jaka dotąd arjan z prawa dotyka...

— Ale moja droga, przerwała uśmiechając się kasztelanowa, to coś niepojętego! Mnie się zdaje, że dziś, gdy ateizm głośno się przyznaje a nikt mu nic nie mówi, gdy teizm jest w modzie, jakieś tam smażone kacerstwo nie podobna by karane było! Dziś! za panowania naszego króla!

— Tak pani, pod jego boki, w stolicy, byłoby to może niepodobieństwem, zawołała Laura; na prowincji i pojęcia są inne... i duchowieństwo wpływ ma większy... Nie wiem, tak mi się to zdaje, lecz faktem jest, że jakieś prawo istnieje... że ojca obwiniono... że przetrzęsiono dom szukając dowodów winy, że nieznaleziono nic, oprócz książek naszych... że go uwięziono...

— Uwięziono!

— Ja jadę natychmiast, dodała Laura, wykradnę go, odbiję, ukryję w miejscu bezpiecznym, — ale któż się mną i sprawą zaopiekuje tu — u króla, u trybunałów, u duchownych? Ja liczę na panią kasztelanową...

Gospodyni zmieszała się trochę, snadź jej to nie było tam miłe, jak się spodziewała Laura; pośpieszyła jednak odpowiedzieć grzecznie:

— Zrobię co tylko będę umiała i mogła, choć doprawdy nie mieści mi się to w głowie!... Czyżby to groźnem być mogło?

— Wszystko się staje groźnem, gdy się u nas nie ma opieki... rzekła Laura; ja czepiam się pani i nie puszczam!

Pani Wiska wstała.

— Bądźże tylko spokojna, rzekła żegnając zakłopotana. Zdaje mi się, że twa gorąca imaginacja tworzy ci niepotrzebne postrachy...

— Ale ojca uwięziono!

— A! to go uwolnić muszą!

To mówiąc pokłoniła się kasztelanowa, tłumacząc, że musiała pośpieszać do gości. Honory i Laura już wychodzić mieli, gdy w progu ukazał się siostrzeniec hr. Artur, a zobaczywszy Laurę, prawie gwałtem przebił się przeze drzwi....

— Pani nie wejdiesz do salonu? zapytał, spoglądając na Honorego i na nią.

— Nie mogę, panie hrabio, ja i mój brat (wskazała chorążycy), wyjeżdżamy na wieś... Przybyliśmy pożegnać tylko panią kasztelanową... a ponieważ szczęśliwym trafem pana tu widzę, dodała chwytając go za rękę i wlepiając w niego śmiało niebieskie swe oczy, pozwól panie hrabio, bym się twej poleciła pamięci. Jestem w położeniu przykrem, z którego tłumaczyć się nie mogę; jestem zagrożona boleścią tem większą, że nie mnie, ale najdroższego mi ojca dotyka; będę potrzebowała protekcji, pomocy, opieki, — nie odmówisz mi jej pan!

— Nie pytając o co idzie, gorąco odparł hrabia, nie chcąc nawet wiedzieć o tem... oświadczam się cały, *corps et âme* na usługi pani!

— Pamiętaj hrabio — i jeśli się do tego słowa odwołam... powtórzyła Laura.

— Dotrzymam go święcie! żywo rzekł hrabia, mimo znaków, jakie mu bojaźliwa dawała kasztelanowa.

— Rachuję na pana...

— Jak na najwierniejszego sługę! To mówiąc hrabia, przycisnął rękę jej do ust; Laura się zarumieniła.

— Pamiętaj, dodała raz jeszcze, i wybiegła.

Honoremu to pożegnanie uczyniło wrażenie przykre... Laura postrzegła to, i smutny uśmiech przebiegł po jej ustach.

— Cóżes ty zazdrosny? spytała.

— Może, odparł cicho zawstydzony Honory.

— Nie masz do tego prawa! odrzekło dziewczę... a ja cię z góry ostrzegam... że gdy będzie szło o ojca... gotowam najstraszliwiej *udawać* że ciebie zdradzam! Cóż chcesz? jestem aktorką! Sztuką posługiwać się będę w życiu!

Westchnęła, i lzy potoczyły się po jej twarzy...

— Trzeba ojca ratować! najprzód ratować ojca! dodała.

Wróciwszy do mieszkania, zastali już wszystko gotowem, nawet panią Słomińską, którą Laura chciała mieć za towarzyszkę podróży... Była to dawna pańskich dworów służka, poczciwa kobiecina, która bywała wiele po świecie i doświadczyła niemało — żadna też podróż, choćby w najdziwaczniejszych warunkach nie zastraszała jej, a każda była pożądana, bo ją od pracy siedzącej odrywała... Słomińska upakowana już była, gotowa. Objęła rzeczy swej pani i nie wykrzykiwała nawet, widząc ją przebierającą się po mężku... Wszystko troje razem siedli na brykę, a pani Słomińska byle jechać, nie bardzo nawet pono dopytywała dokąd jedzie. Podróż odbywali jak można najspieszniej, jednak zawsze jeszcze za powolnie dla Laury, i czwartego dnia stanęli w najbliższym od Borowiec miasteczku, w którym zięć Arona miał sklep korzenny i dom zajezdny. Była to stacja konieczna dla wywiedzenia się o stanie rzeczy w Borowcach i narady co czynić wypadnie. Mordko, Arona zięć, równie jak teść był cały na Dobków usługi, wiedział przynajmniej co przed kilku dniami działo się w Borowcach, i po godzinnej rozmowie i odebraniu instrukcji, na całą noc ruszył do Arona, by od niego dostać świeżego języka i obmyślić, jakby tam oczu nie zwracając, dojechać było można. Aron dowiedziawszy się o przybyciu Laury, zamiast listu lub rady, sam przyjechał z zięciem do kochanej panienki. Gdy wszedłszy do izby w której siedziała z Honorym, zobaczył ją w tem ubraniu mężkiem, ogorzałą, zmęczoną, z włosami obciętymi, zmienioną smutkiem, niepokojem i niewywcześnie — załamał ręce i rozplakał się.

Potem zaczęło się rozciągle, nieskończone, przerywane wykrzyknikami opowiadanie o sprawach pani Dobkowej, pana rotmistrza Poręby i filuta Przepiórki, o zdradzie starego Wala, o uwięzieniu Dobka i daremnych dotąd na zamku poszukiwaniach — Aron pochwalał wielce myśl wykradzenia p. Salomona.

— Niech panienka przyjedzie, to jemu serca doda, rzekł, niebezpieczeństwa nie ma, bo ja nie dwie, nie trzy, ale piętnaście osób schowałbym w domu, a w miasteczku choć sto, gdyby była potrzeba. — Niech państwo zawiozą jegomością gdzie na bezpieczne miejsce i starać się rozpoczną, to się pieniędzmi o wszystko wystarają. A jeżeli rozwody są... niechaj sobie jejność wraca do Smołochowa, choćby jej za to płacić przyszło... Ona wszystkiego nam nieszczęścia naniósła.

Honory był za tem, aby p. Salomon schronił się do Konopnicy, czemu Laura zrazu była przeciwna, potem spojrzała nań i zamilkła. — Zobaczemy, rzekła, ale trzeba w takim razie żebyś waszmość był grzeczny.

Aron ledwie posiliwszy się u zięcia, gdy Laura nagliła, natychmiast z powrotem wyruszył, aby tam co można nieznacznie do ucieczki przygotować... Świeże konie musiano na kilku miejscach rozstawić dla pośpiechu, i o kołach i osiach zapaśnych myśleć, żeby przypadek nie wstrzymał w ucieczce, choć pogoni nie przewidywano. Mogła ją wszakże Dobkowa z rotmistrem urządzić. Stary żyd miał wszystko w dobrej pamięci.

Przybywszy do Borowiec, poszedł do przepierzenia najprzód oznajmić p. Salomonowi, iż córka do niego i po niego przybywa... Stary nie wierząc uszom zrazu, rozplakał się z radości... Ucieczka była mu wstrętliwą, lecz z Laurą gotów był do niej. Zdało się, iż w jednej chwili zapomniał o wszystkim co ucierpiał... Więcej odzyskanie córki cieszyło go niż zapowiedziana swoboda... Pytał tylko po kilkakroć kiedy przyjedzie? Aron kazał mu oczekiwać rychło, oznajmił, że sam ją widział, że mówił z nią, że co chwila z Honorym razem nadjechać może. Przybycie podróżnych, ucieczka starego Dobka, nie mogły

przejsć niepostrzeżone w zwykłych warunkach życia p. komissarza i jego podwładnych. Aron też znając ich, przygotował wina antałek, do którego czy w istocie przymieszał jakiego ziela, Panu Bogu tylko wiadomo. I bez tego napój mocny, niepomiernie użyty, mógł poskutkować. Żółtuchowski tak był pewien swojego więźnia, że od początku osadzenia go, drzwi nawet w przeforsztowaniu znajdujących się opatrywać nie kazał, raz ich poprobował, że były zamknięte. O wieczornej godzinie, gdy obok rotmistrz Poręba razem z Żółtuchowskim i pisarzem Kamińskim, pieśń o chmielu śpiewali na całe gardło, Aron otworzył drzwi te Dobkowi, który już od dawna był gotów. Na tarczanie ułożono obwinięty w kapotę skręcony kul słomy, z butami w jednym końcu, a chustką w drugim, który śpiącego człowieka o zmroku wcale nieźle przedstawiał... Stary wyszedł przez cały szereg izdebek aż do drzwi ostatnich; tu nałożył żydowski płaszcz i kapelusz, i razem z Aronem przesunął się na drugi koniec karczmy... gdzie nań Laura i Honory oczekiwali... Elias miał dla niego przygotowane ubranie, a na dworze stała bryka zaprzężona, która wszystkich zabrać miała... Gdy Laura upadła mu do nóg, Dobek o mało z płaczu nie dostał serdecznego śmiechu... i nie rychło mógł oprzytomnieć.

Po tem wzruszeniu musiał wypocząć, by myśli zebrać co mu czynić należało. Nie nagłono o wyjazd, gdyż komissja piła, śpiewała, a obawy o odkrycie spisku nie było najmniejszej.

Gdy już sądzono, że się da zabrać, p. Dobek odezwał się dopiero z żądaniem, trochę dziwnem i bardzo niebezpiecznem, że wprzód na zamek koniecznie pójść musi, aby papiery niektóre poniszczyć, inne zabrać i w grosz na wszelki wypadek się zaopatrzyć. Pomimo najusilniejszych prośb i zaklęć Laury i Honorego — uparł się przy swoim, zaręczając, że im z Eliaszem nic się tam złego stać nie może.

Laurze, która mu towarzyszyć chciała, iść nie pozwolił. Musiano się zgodzić na tę wycieczkę, która wyjazd o parę godzin odraczała. Wyszli więc po ciemnej nocy sami jedni.

W miasteczku pusto było, a po drodze i koło zamku, Elias już ludzi rozstawił dla bezpieczeństwa, nim pana wypuścił. Do bramy dostali się nie spotkawszy nikogo, oprócz z dala snujących się straży. Tu pieczęcie były pozdejmowane, a dwa klucze, które mieli z sobą, wszystkie zamki otwierały, nie było więc najmniejszej trudności dostać się przez przedsień do dawnego mieszkania Dobka, które wszedłszy natychmiast za sobą Elias zarygłował. W zamku wszystko było uśpione. Przepiórkę trzymał ktoś zasadzony na niego, aby mu nie dać się włóczyć. Zaparto ze środka okiennice żelazne, aby bezpiecznie światło rozniecić. Drzwi wiodące do skarbcza stały od ostatnich odwiedzin rotmistrza otworem, nie potrzebowali więc pracować nad zamkiem, spuścili się wschodkami w dół do lochu, w którym stały opróżnione kufarki.

Tu, pomimo odbytych już troskliwych poszukiwań, po których ślady pozostały w ceglach pokruszonych, poświdrowanych ścianach i porytej podłodze, pan Dobek z Eliaszem usunąwszy kufer przytwierdzony do posadzki — odjęli pod nim znajdującą się płytę... Loszek, który się tam znajdował, był pusty, tak, że gdyby go nawet znalezione, jeszczeby to nie groziło niczem... Trzeba było zstąpić w ten dół, boczną ścianę nacisnąć, by się dostać do drugiego wydrążenia, w którym bezpiecznie spoczywały worki ze złotem i srebrem pana Salomona... Tu nietknięty zastali skarb... Dobek niespokojnie mu się przypatrzywszy, pochylony nad nim, wskazał Eliaszowi jakie worki miał zabrać z sobą. Sam obładował kieszenie, i co najprędzej znowu ścianę zastawił, płytę założyć i kufer umocować dopomógł, aby śladu nie było. Wszystko to odbyło się dosyć prędko przy pozamykanych drzwiach i słabem świetelku małej latarenki. Elias dzwigał ile mógł unieść, w pole szerokiej kapoty.

Czynność zdawała się skończoną... lecz Dobek dał znak głową i ręką, iż jeszcze coś muszą dopełnić. Wyszli więc dalej znanymi nam już podziemiami, do tej izby, którą stary pokutnik zajmował. Tu pan Salomon szafę, w której ojciec jego trzymał swój sprzęt, dziś już pustą, otworzył, tak, że im do nowych lochów przejście się ukazało. Wschodkami ciemnymi i ciasnymi spuścili się w korytarze tak pokrzyżowane i splątane, że tylko znający doskonale miejscowość, mógł tu nie zabłądzić. Jedne z nich szły do góry, drugie spuszczały się na dół... a rozgałęzienia były niezliczone, umyślnie zapewne powikłane, by obcych nie dopuścić. P. Salomon, wiodąc Eliasa za sobą, szedł z taką pewnością nie oglądając się na ściany, jakby ze storazy wprzód już bywał. Mokremi a ciasnymi jakby szyje lochów przepokami w ziemi, popodpieranymi gdzie niegdzie, dostali się do drzwi — a przez

nie do wielkiej dosyć, sklepionej sali. Przy ścianach jej na półkach ułożone były książki i papiery, zawierające zapewne celniejsze dzieła, akta i dokumenta rodzin i dawnych gmin arjańskich... Po chwili namysłu Salomon niektóre z nich zabrał z sobą... inne na stos w pośrodku rzuciwszy, od latarni ją zapalił. — Stali tam w dymie, nad kupą żarzących się papierów, dopóki ostatki ich nie spłonęły i nie zgasły... Weszli potem do małej, z salą połączonej kapliczki, w której prosty krzyż czarny stał na drewnianym ołtarzu.

Z tarcic wyciosana kazalnica i dwie ławy, na ołtarzu Biblia i kielich zaśnieżone... wszystko grubą warstwą pyłu pokryte — cały przybór kapliczny składały. Stańli obaj z Eliaszem w progu, jak gdyby duszną odbywając modlitwę...

Dwa czarne wizerunki, z których jeden Secyna z księgą w ręku wyobrażał... zerwane ze świeków i oparte o ławę, patrzyły na ostatnich nauki swej wyznawców... Salomon głowę schylił przed krzyżem wychodząc... starą Biblię z pyłu otarł i ucałował... Chciał ją może zabrać z sobą, lecz ogrom i ciężar unieść jej nie dozwalały. Znowu więc postawił na niej kielich... i wyszli.

W świetle latarni, naderzwiami kaplicy, widać było w owalu obraz Chrystusa i napis u dołu:

Scio cui credidi.

To wszystko zabrało prawie dwie godziny czasu, które Laura spędziła w śmiertelnej trwodze... Wyszli z zamku uspiętego niepostrzeżeni, przebrnęli rynekmiasteczka i wrócili do gospody z Eliaszem, zmęczeni lecz cali. Laura rzuciła się do ojca, nagłąc i błagając, by jechać co najprędzej... Niebezpieczeństwa nie było, krzyki biesiadujących najlepszą stanowiły rękojmię, że ani zobaczą, ani usłyszą, ani się nie zafrasują o uchodzącego im więźnia.

Bryki ruszyły powoli. — Po rogach ulic, na drodze którą jechać mieli, Aron porostawiał strażę piesze i konne, w razie najmniejszego niebezpieczeństwa mające oznajmić o niem. Ale komisja jeszcze się krzątała opróżniając antałek i o wszystkim w świecie zapomniiała.

Trzy bryki po ciemku przeszły pod oknami, w których rześiste światło i okrutna buchała wrzawa... Kiedy niekiedy jak wystrzał, wylatywał z niej vivat! głośny. Dobek obejrzał się ku czerniejącym na tle nocy murom zamku... w których już światła żadnego nie było...

Zamiast zwykłego gościńca wiodącego do miasta, poprowadzono bryki uboczną małą drożyną, którą przejechali na trakt lasami, prowadząc do osady o kilka mil odległej. Tu się prawie pogoni obawiać nie było podobna, a gdyby nawet trafiła okólnym zwyczajnym gościńcem, nadeszłaby dopiero w kilkanaście godzin. Spoczęli więc wszyscy po znużeniu i trwodze... odetchnąwszy swobodniej. Nazajutrz, ciągle przerywając gościńce byli na trakcie do Konopnicy — i Honory sam ich już przodem jadąc prowadził.

Przez pierwszy dzień, stary Dobek siedział ponury i milczący, niekiedy wpatrując się w Laureę, czasem całując ją w głowę — ale nie mówiąc ani słowa. Córka, która go długo nie widziała, o dniu białym przeraziła się oznakami nagle występującej starości. Znikły z twarzy rumieńce, pofałdowało się czoło, oczy wpadły, wyraz się zmienił... mowa stała się zająkliwą i trudną, jakby myśli pochwycić nie mógł. Widać było po nim, że rozpamiętywał przeszłość, że własna wina ciążyła mu wstydem i upokarzała go. Córka nieśmiała go o nic zapytać, aby niemiłych wspomnień nie budzić. Do Honorego tylko jakby z obowiązku przemówił niekiedy Dobek, dziękując mu czule, potem znowu wpadał w milczenie i rozmyślanie... Tak dowieźli starego do najbliższego miasteczka, o mil tylko trzy od Konopnicy odległego. Honory chcąc przygotować przyjęcie ojca Laury, i oznajmić o gościach, pośpieszył ztąd przodem do domu.

Nazajutrz dopiero, Laura, która zrzuciła znowu strój mężki, ruszyła z ojcem za przysłanym im przewodnikiem do Konopnicy. Chorąży list przysłał zapraszający od serca. Było około południa, gdy stary dwór nad jeziorciem za wierzbami się ukazał. — Dwoma ramionami z obu stron obejmowała go wioska, położona w równinie, nad brzegami rzeczki, wśród gęstych sadów i drzew. W jednym jej końcu, z po za gałęzi, sterczała stara kościółka wieżyczka. Gdzieniedzie nad drogą gęsto rozsypane krzyże z daszkami, o pobożności mieszkańców świadczyły. Sam dom pański, dosyć obszerny, niczem się nie odznaczał, chyba prostotą budowy. Była to powiększona tylko i ulepszona chata... Nieotynkowane

drzewo ścian jego, przybrało tę barwę popielatą, przy której białe okiennice i kawałki muru żywo i pstro odbijały. Każda też wstawka świeższej belki świeciła na niej złocisto. Wysoki dach z oknami poddaszów, liczne przybudówki, galeryjki, wschodki od podwórza, przystawki — mimo nieforemności budowy — czyniły ją malowniczą.

Znać było, że się tu nikt o pozór zewnętrzny nie starał, ani pomyślał o wdzięku. Jeśli jaki był, sam się znalazł i wyrósł nieposiany. Lata długie składały się na uczynienie domu wygodnym, starczącym dla rodziny i zacisznym. Wysokie płoty z bramami, szosy, stodoły, świrny, serniki, gołębniki kryte gontami i słomą, otaczały jak baszty warowne poważny dwór do koła. Po nad nim górowały konary odwiecznych drzew, których gałęzie obnażone z liścia, rysowały się na szarem niebie siecią brunatną. Ze wszystkich kominów wznosiły się kłęby dymu.

W ganku otoczonym słupami i balasami, wszyscy już stali, oczekując na powitanie kochanych gości, jak skoro zdala ukazał się przewodnik, stary pan chorąży o kuli i kij, z obwiązaną nogą, Honory i jego Zosia, kobiecina rumiana, okrągłutka, z twarzyczką młodą, ani ładną ani szpetną, w której rysach mało odznaczających się, powszedniego typu, panował spokój i łagodność ujmująca.

Nie była piękną, lecz nad wyraz miłą, jakąś cichą a skromną dobrocią. Ubrana niewykwintnie, z fartuszkim za pasem, trzymała w ręku oznakę swojego dostojęstwa, spory pęk kluczyków.

Pierwsze wejście Laury padło na nią, na tę niewinną istotę, która jej, nie wiedząc o tem, całe szczęście życia zabrała... Łagodne, serdeczne, nieśmiałe wejście Zofji, biegnące naprzeciwko niej, rozbroiło Laurę, nim jeszcze przemówiły do siebie...

Chorąży był człek otyły, ciężki, postawy marsowej, twarzy rozlanej o trzech podbródkach, z podgoloną głową i podstrzyżonym wąsem. O ile mu jego kula i kij dozwalały, rozciągnął ręce, by krewnego uściskać, przypatrując mu się ciekawie, a wedle starych podań, szukając w nim wspólnych jednej krwi znamion. Ale te się zatarły, nie było podobieństwa żadnego między dwoma Dobkami, ani w twarzy ani w charakterach. Chorąży otwarty był, wielomówny, towarzyski, potrzebujący ludzi... namiętny, gdera, czasem facetus; Salomon bojaźliwy, milczący, zamknięty w sobie, rzadko wybuchający tylko gwałtownie.

Oczy starego ojca Honorego Dobka pobiegły też z ciekawością przypatrzeć się Laurze, o której piękności i rozumie tyle mu syn opowiadał — wlepił je w dziewczę i zdumiony oderwać nie mógł. Sam później mówił, że jak żyw podobnej kobiety nie widział — nawet malowanej. Wśród tej kupki ludzi ona twarzą, pięknnością, rozumem a śmiałością wejrzeniem królowała — wszystko się przed nią, samo o tem nie wiedząc, ugięło i od pierwszej chwili wpływowi jej czarownemu uległo.

Laura ucałowała rękę Chorążego, który ją nieśmiało w głowę pocałował, zwróciła się i pobięła do Zosi, ściskając ją jak stara znajoma z siostrzynem uczuciem.

— Winnam ci wiele, moja droga siostrzyczko, rzekła na pół żartem, ty musisz gniewać się na mnie, bom ci nielitościwie męża twego zabierała, trzymała, a teraz jeszcze sama z ojcem przyjeżdżam cię objadać. Za to, o ile potrafię, gotowam ci w gospodarstwie pomagać i pełnić służbę klucznicy — dopóki nas tu los na załodze u was trzymać będzie.

Zosia słuchając tego tak łatwo płynącego potoku słów — zarumieniła się skłopotana i ledwie odpowiedzieć umiała. Uśmiechnęła się, spłonęła jak różyczka, lży jej w oczach stanęły, zaczęła ściskać Laurę, przy pierwszych niemal wyrazach powitania nie mogąc się wstrzymać od wykrzyknika:

— Jakaż ty jesteś śliczna! mój Boże! jakaś ty śliczna!

Była w tem, jakby wymówka skryta, że jej tej piękności Nieba nie dały.

Honory patrzył z dala na obie, z jak rozdarciem sercem na poły, któż zgadnie?

Z tą starą gościnnością, która znamionowała wiele okolic, wyszczególniających się nią, choć ona była w obyczaju powszechnym, chorąży zaraz poprowadził Salomona po dworze, aby on sobie sam wybrał, gdzieby mu było najwygodniej, gdzieby sobie podobał najlepiej. Izby były dosyć przestronne, kafłowe w nich piece ogromne, niepięknie może, ale zaciszno i wygodnie, choć zamiast sufitów widać było belki, a zamiast posadzek tarcice. Wiele pokoleń przeszło przez to domostwo, wiele ich tu rozpoczęło i skończyło życie — ślady tych żywotów poczęły się wszędzie tysiącem drobnych pamiątek. Tam to było ulubione miejsce dziada, który w krześle u okna na dziedziniec wychodzącego siadywał i w szyby stukał na służbę... dalej stały krośna babki... a ścieżkę na podłodze modląc się wychodziła

stara prababuniu. Skazy na kaflach porobił sam pan chorąży będąc dzieckiem, za co od ojca plagi dostał, o czym zawsze opowiadał. Pająk stary przywieziony był z Gdańska w tym roku, gdy jegomość się miał żenić — sprzęt najmłodszy sprowadzono z Kolbuszowej także na wesele... Alkierz zbudował nieboszczyk, jadalnię dla zapust dziadek...

W ogrodzie każde drzewko miało swą genealogię.

Chorąży, gaduła wielki, idąc po domu mało co pominął, o czymby kilku słów nie rzekł... P. Salomon zaturbowany nie bardzo słuchał, dziękował po cichu, prosił o jakikolwiek kąteczek, gdzieby nie zawadzając nikomu, mógł spocząć i namyśleć się co czynić dalej...

Ponieważ pobyt p. Salomona ukrywać było potrzeba dla ludzi, dano im nazwiska inne, — krewnych jakoby z Sandomierskiego przybyłych... Lecz Laura do zbytku zwracała oczy, obudzała ciekawość; studzy nawet wpatrywali się w nią z podziwieniem i obawą jakąś razem, czując w niej istotę wybraną; mówiono aż na wsi i w okolicy o tym gościu, jakby z niebios spadłym, któremu skrzydeł tylko zdawało się braknąć, aby tam nazad odleciał. Zosia także w początkach wpatrywała się w nią z jakąś obawą i poszanowaniem, dopóki ośmielona jej szczerością i dobrocią, jak dziecię się nie rozswawoliła. A widząc smutną, zamykającą się w swej izdebce, rozmyślającą nad Biblią, starała się ją wyciągnąć, zabawić, zająć jedną z tych tysiąca drobnostek, które dla jej własnej starczyły rozrywki.

Zosia była tem prawdziwem wsi dziecięciem, po za horyzont opasany lasami patrzącem z trwogą i wstrętem. Żyła całem sercem w małym swym świątku, po za którym obawiała się więcej nieprzyjaciela niż szukała zakazanych owoców. Modlitwa, kwiatek, krosienka, ogródek... gospodarstwo, tak jej dni całe zajmowały, iż myślą nawet nie wybiegała za nie. Wesoła była i szczęśliwa, ale zwarzona śmietanka i splątany motek łatwo lży wywoływały na powieki. Dziecinna w dwudziestu latach, taką dobrą i miłą dzieciną miała pozostać na zawsze... Trzeba ją widzieć było na modlitwie przejętej, strzelistej, gdy za ojca i męża słała do Niebios pacierze, lub wśród utrapień gospodarskich, poważniejącą, niespokojną, biegającą, albo śpiewającą u krosien, gdy nikt a nikt słyszeć jej nie mógł... wówczas wielką miłością, jaką cała była przejęta, stawała się piękną, i nie można jej było nie pokochać.

Laura umiłowała ją jak dziecko, a po kilku dniach nie patrzyła na Honorego, aby mu szczęścia nie zakłócać, aby myślą nawet nie zamącić go. Powiedziała sobie: Niech zapomni, ja będę pamiętała za dwoje!

Dni schodziły cicho a jednostajnie, biciem godzin podzielone na perjody codzien powracające... Chorąży, gaduła, bawił zbyt milczącego kuzyna, nie mogąc zrozumieć, dla czego się on nigdy rozgadać nie umiał, a serca mu nie otworzył, trwając w jakichś rozmyślaniach chmurnych. Tłómaczyło się to po części położeniem, co charakterem dla chorążego wytłómaczyć nie mogło. Większą część dnia Laura unikając Zosi i Honorego, siadywała przy ojcu, któremu Biblię czytała lub jaką poważną księgę. Kilka ich Eliasz potrafił wykraść i zabrać z sobą.

Dalsze kroki — podróż, starania, zależały od wiadomości, jaką z Borowiec odebrać miano. Czekano i spodziewano się jej ciągle... Sam Aron przyrzekł był przywieźć złe czy dobre, jakie się z czynności komisji wywiąże... Kilkanaście dni upłynęło jednakże, nim bryka wtoczyła się na dziedziniec i po głądzeniu długiej brody poznano Arona, który się jeszcze z pyłu otrząsał, nim się miał swemu staremu panu przedstawić. Dobek nawet odżył zobaczywszy go.

— Z Borowiec jedziesz! zawołał wychodząc przeciwko niemu. Mówże mi o moich Borowcach... Ja tamtylko żyć mogę... Tak mi tu dobrze, a usycham tęskniąc do nich. Gdzieś tam dusza moja do tego gniazda przykuta. Mów, co tam u was w Borowcach?

Aron z razu nie bardzo chciał mówić — głową pokręcił, brodę ciągnął i wzdychał.

— Cóż tam może być teraz dobrego, rzekł w końcu, kiedy jasnego pana nie ma? Komisja nic nie zrobiwszy dała się czy kupić, czy... ogłaszać przez jejmość... Zrobiła co chciała — dali jej administrację. Zniszczą tam teraz wszystko, że kamień na kamieniu nie zostanie. Sprzedają wszystko, byle pieniędzy dostać, las, zboże... co gdzie jest! Gospodarstwo nowe, ludzie nowi, starych powypędzono...

— A komisja? spytał Dobek niespokojnie.

— Komisja? pokopała, poorala, popsula co mogła, a nie znalazłszy nic, pojechała zkąd przybyła, mówił Aron... Najedli się, napili, nabrali co wlażło... a czego nie wzięli, zostawili jejmości... Ona tam z Będziewiczem i rotmistrzem króluje.

Salomon spuścił głowę na piersi — poczęli coś szeptać cicho...

Laura słuchała stojąc z boku. Po długim milczeniu i odrętwieniu ojca, chwilowe jego odzicie, zagrzanie się choćby gniewem — zdawało się jej szczęśliwym wypadkiem. Powracał trochę do tego czem był... obchodziło go coś — myślał, gdy pierwszych dni jakby uśpiony siadywał.

Narady z Aronem trwały dosyć długo, później Salomon chodził żywo, rozbierając co ma począć, a wieczorem, kiedy Laura przyszła mu oddać dobranoc, oświadczył, że radby sam jechać do Warszawy, by jakieś starania rozpocząć.

Chciał z sobą wziąć bodaj Arona i Eliasza; o Laurze mowy nie było.

— Bezemnie nie pojedziesz tatku, odezwała się Laura — ja muszę być z tobą, mam stosunki, znajomych, mogę się pokazać, gdy ty ukrywać się musisz... Będziemy pracowali razem. Samego cię nie puszcze.

— Ty chcesz jechać? zapytał Dobek.

— Chcę i muszę! zawołała córka, i pochlebiam sobie, że się tam na coś przydać mogę... W potrzebie udam się nawet do pana hetmana, na którego dworze przez kilka dni odpoczywałam, mam ludzi co mi pomoc przyrzekli, co ją dać muszą... Pójdę, choćby do króla samego... Więcej ci powiem ojcie: gdybym miała kogo do boku, zostawiłabym tu ciebie, a jechałabym sama.

— Tak, mnie zostawując, żebym się tu jadł myślami, rzekł Dobek.

— Nie chcesz mi dać jechać samej, a ja ciebie samego też nie puszcze; jedziemy więc oboje, a starania ja biorę na siebie.

IV

Podróż więc postanowiona została, a nazajutrz wybór się rozpoczął. Z gościnnego domu inaczej niż obładowanym wyruszyć nie można, a w tamtych czasach zabierano wszystko czego dusza zapragnąć mogła, bo po drodze nad jajecznicę i rybę żydowską nic dostać nie było można. Zosia związała się, wymyślając coby jeszcze dać więcej, Laura broniąc się od tego zbytku wygódek.

Chorąży mruzczał sam do siebie przechadzając się, narzekał na nogę, która mu nie dopuszczała ruszyć z nimi i sprawę wymową obfitą popierać we właściwych miejscach.

— Ale ja to was tak samych puścić nie mogę, odezwał się w końcu, z pozwoleniem Zosi, dam wam Honorego, będzie się kim posłużyć.

Zarumieniła się Zosia, spuściła oczy, a potem podniosła je na męża ze smutkiem i trwogą. Snadź nie bardzo była podróży tej rada, lecz jakże się jej sprzeciwić? Honory poczerwieniał cały, Laura pobladła i zagryzła usta.

— Waszmość bo, mówił chorąży do Salomona, jesteś człowiek, daruj mi co powiem, zardzewiały. Ruszać ci się, mówić za sobą, biegać nieładno, zresztą nosa pokazać ci nie wolno... bo mogą pochwycić. Kochanej Laurze także będzie trudno, cudzych bogów prosić i opłacać, po co? kiedy Honorego macie? Niech Honory jedzie, ja go tu, choć kulawy, w gospodarstwie zastąpię. A od czegoż moja Zosia?

Zosia pokazała w smętnym uśmiechu ząbki białe, ale dwie łzy jak perełki ześliznęły się niepostrzeżenie po krągłej jej twarzyczce... Jedną Laura je widziała, i zbladła mocniej jeszcze. Zosia zlekła się zaraz, by jej nie posądzono o sprzeciwianie się choćby myślą woli ojca, i już chciała bardzo żywo go popierać, gdy Laura jej przerwała.

— Przepraszam kochanego chorążego, rzekła: Honory nie pojedzie, bo choćby nam bardzo był miłym towarzyszem, my się doskonale bez niego obejść możemy a nie należy go od gospodarstwa i żony odrywać.

— Dajże mi asińdzka pokój ze swemi skrupułami... to obowiązek familijny.

— Gdyby nam był koniecznie potrzebny, odparła Laura, prosilibyśmy o pomoc; ale tak jak stoją sprawy nasze, ja się podejmuję im wydołać... Wreszcie, możemy napisać później, dodała, nie chcąc zbyt stanowczo odpychać ofiary, Laura, chociaż najmocniej postanowiła, nie dopuścić Honoremu tej podróży. Teraz, niepowinien jechać... mielibyśmy to na sumieniu.

Spojrzała pobieżnie na Honorego, który zmieszany oczy spuścił. Zosia jej wejrzenie wdzięcznym niewymownie płaciła.

Pan Salomon, któryby był może rad pomocy krewnego, słowami córki został wstrzymany, i z razu milczał, a potem szepnął:

— Po co? po co się ma odrywać? będzie nas tam dosyć bez niego.

— A nie byłoby też z nim za wiele, wierzcie mi, dodał chorąży, po co te ceremonie! Honory więcejby wam pomódz potrafił, niż kto inny, obcy, boć kogoś użyć musicie.

— Ja już gotowego mam, wtrąciła Laura, niech mi pan chorąży wierzy.

— Ja przy swoim stoję, Honoryby się zdał...

— Honory się wszędzie przydać potrafi i miły jest, rzekła Laura, ale na ten raz, powiem szczerze, byłabym tak zgryziona, żem go ztąd wzięła od Zosi, iżby mi to wszystko psuło.

Spojrzała znowu, Zosia promieniała, Honory patrzył na ojca, chorąży zdziwiony oporem chciał niby przyczynę jego odgadnąć i nie umiał. Dobek już milczał. Rozmowa więc się na tem przerwała... Wstali, a Laura poszła za Zosią, która kryjąc łzy trochę, wysunęła się i uciekła.

Złapała ją na uczynku.

— Zosiu, ty płaczesz?

— Ja! a nie, nie!

— Wiem i widzę, żeś płakała; żalby ci było Honorego, ja to pojmuję... lękasz się o niego, lecz... my ci go nie zabierzemy, bądź spokojna, ja nie pozwolę na to...

— A! nie! nie! mylisz się... nie płakałam... a jeśli mi łza zbiegła, to chyba, że ty mi, dobra siostrzyczko, uciekasz.

Uśmiechnęła się Laura i pocałowała ją.

— Kiedyś się jeszcze może spotkamy znowu, w życiu... szepnęła, przyjeździecie do nas oboje... Leczprzyznaj mi się... te łzy? jak na spowiedzi, jak siostrze rodzonej, wszak ci o Honorka twojego strach było...

Zosia zapłoniła się, i jak proste dziewczeczki, chwyciła rąbek fartuszka.

— Jakże to może być inaczej? ozwała się. Zawsze mi przykro gdy mąż odjeżdża, choć grzechem jest zabierać go tak dla mnie jednej, gdy ludziom potrzebny być może... Trudno go tak trzymać przyszytym do mego fartuszka! Wiem, że mnie troszkę kocha... a boję się go utracić... Tyle on tam po świecie piękniejszych zobaczy... a ja, ja jestem taki prosty kopciuszek tylko, który go bardzo kocha... Boję się!

— Możesz się lękać o niego? spytała Laura. Ty go krzywdzisz.

— Sama nie wiem, niepowinnabym... szeptała Zosia, to prawda! on taki pocziwy, że mnie wziął i że mnie kocha... a jabym mu mogła nie wierzyć? Cóż ty chcesz, Lauro, wiem to, i boję się... Ja go tak kocham... wierzę w jego przysięgę, a w moją siłę nie wierzę. Nie mam nic... prócz serca za sobą.

Spojrzała ośmielając się na Laurę.

— Ja ci coś jeszcze powiem... dodała cichutko. Ty, taka jesteś piękna i rozumna, ja i ciebie się nawet boję... choć wiem, że ty byś cudzą krzywdą nie chciała być nawet szczęśliwą!

Laura rzuciła się ku niej, ściskając ją.

— Co też ci za myśli przychodzą, dziecię moje! rozśmiała się. Nie znasz sama siebie, jak drogą jesteś perełką, a ja przy tobie, moja Zosiu, jak kozak się wydaję. Nie masz się obawiać czego.

W uścisku jeszcze szepnęła jej Zosia:

— A! Lauro, on mężczyzna, a tyś czarownica!

— Czarownica! o nie! dziecko moje, jam liść, którym burza miota... No! pocałuj mnie i bądź spokojna. Honory nie pojedzie, rozumiem cię Zosiu, nie pozwolę na to... Nie masz się mnie co lękać, ale na cóż cierpieć? dla czego my go wam odbierać mamy?

Zośka rzuciła się ku niej.

— A! nie! nie! proszę cię, nie wstrzymuj go od podróży, będą się śmieli zemnie i mego niepokoju, gdy się, uchowaj Boże, dowiedzą. Niech jedzie, jeśli ojciec każe... a odsyłajcie nam go prędko — prędko!

— Nietrzeba żeby jechał, powtórzyła Laura, żegnając się i wychodząc z pokoiku, nie pojedzie.

W salce, przez którą przechodziła, nastroczył się jakby umyślnie Honory, który chodził tam, niespokojny i zamyślony. Sam on wstrzymał Laurę pytaniem:

— A więc mnie nie chcecie i gardzicie naszą ofiarą?

— Mój Honory, odwracając się doń odezwało dziewczę, idę od Zosi, która płacze na samą myśl twojego wyjazdu. Nie powinienes, nie możesz jechać z nami. Sama dla siebie tego nie życzę, aby się nie karmić próżnemi marzeniami... Mam przed sobą obowiązki do spełnienia, sercu mojemu teraz już niewolno nic więcej, tylko ci zachować uczucie czyste, wierne i ciche. Bądź mężczyzną, a mnie pomóż być pocziwą dla was siostrą. Nie jedź. Zosia płacze, ja nie chcę.

— Zosia, dziecko! przerwał nieśmiało chorążyc...

— Ale ja nie jestem dziecięciem, poczęła Laura brew marszcząc, przestałam niem być, dotknięta nieszczęściem... Ono mnie uczyniło dojrzałą. Zosia ma słusność, broniąc swojego skarbu i nie chcąc go narażać, ja byłabym niepocziwa chcąc choć cząstkę jej go wydrzeć. Byłabym szczęśliwa przeżywszy z tobą jeszcze dni kilka... ale to owoc zakazany nam obojgu... Dość tych marzeń, Honory mój... Pamiętaj o mnie, ja cię nie zapomnę nigdy... więcej nam nadto — niewolno.

Podawała mu rękę, chorążyc ją pochwycił namiętnie.

— Zmieniłaś się, rzekł z wymówką.

— W istocie, nie przeczę temu, smutnie odparła Laura, ostygłam, przyszedł mi rozum za późno, by zagoił ranę, ale w czas, by jej nie dać powiększyć. Dla twojego, dla jej szczęścia, powinniśmy się rozstać... Widok tej dobrej Zosi, jej przywiązanie do ciebie, wróciły mi pojęcie obowiązku... Bądź zdrow mój Honory...

Chciała odejść, chorążyc powstrzymał ją gwałtownie.

— Gardzisz mną, rzekł, masz słusność, wydaję ci się nikczemnym i samemu sobie także, aleś we mnie obudziła uczucie niepohamowane... Wszakże innej pociechy dlań nie żądam, tylko widzenia, słyszenia, kochania ciebie!!

— Nie mów nic więcej, przerwała Laura. Ja może cierpię mocniej, a milczę. Skargi są rzeczą słabych istot... mężczy poddają się losom i milczą... Bądź zdrow Honory...

Spojrzeni sobie w oczy... Honory zadrżał i pobladł, Laura uśmiech obojętny...

— Uzdrowię cię, rzekła, zobaczysz... rozczaruję... potrzebujesz tego, byś się nie ludził, bo nieumiesz kochać bez nadziei!

— Nawet bez nadziei! odparł Honory.

Laura odbiegła żywo.

Stanowczo więc podziękowano chorążemu za jego troskliwość, i odrzucono ofiarę. Dobkowie wybrali się sami, z Eliaszem tylko i panią Słomińską.

Nazajutrz rano bryki ładowano do drogi, a pan Salomon chodził niecierpliwy, jakby ta podróż do Borowiec zbliżyć go miała. Zosia i Honory zajmowali się wyborem, którym chorążyc sam kierował, przy zdarzonej zręczności gderając na kogo tylko mógł, co go zwykle w wysmienity humor wprawiało. O kuli i kiju włócząc się, był pono najczynniejszym ze wszystkich... Laura patrzyła obojętnie, lub taką się obcy przynajmniej wydawać mogła, choć niepostrzeżonemi znaki przebłyskiwało po twarzy jej uczucie jakiegoś tajone umiętnie. Niekiedy wejrzenie na to szczęście domowe, na cichy kąt ów, w którym Honorego zostawiała, budziło w niej zazdrość, którą oczy chwilowo ożywiały się i gasły. Wszystko było gotowe, nastąpiły pożegnania, które Laura starała się znowu uczynić jak najkrótszem i wlać w nie prawie nienaturalną wesołość. Dobek też spieszył, i w milczeniu uściskawszy się, uciekli od gościnnego ganku, na którym Honory długo z Zosią pozostał.

Zosia badała twarz męża niespokojnie, lecz chorążyc przerwał tę kontemplację niebezpieczną znakiem krzyża świętego i wykrzyknikiem:

— W drogę pokoju i szczęśliwości!!

Ani jednego ani drugiego Laura się już nigdy w życiu niespodziewała.

Śpiesznie kazał pan Salomon zdążyć do stolicy, choć nie wiedział co go tam czekało... Zdało mu się, że potrafi sobie wyrobić bezkarny powrót do Borowiec a nadzieję opierał szczególnie na jednym człowieku, o którego położeniu na dworze wiedział, a miał go za współwynawcę. O nim nie wspominał nigdy, bo stosunki ich były tajemnicą, lecz rachował na węzły, jakie ich rodziny łączyły od dawna.

Po wyjeździe Laury, o którego prawdziwym powodzie jedna tylko wiedziała kasztelanova, co żyło wielbicieli jej, wieścią o nagłym zniknięciu poruszone zostało. Kasztelano-

wa nie zwierzyła się nikomu, zamilczała o tem nawet przed dopytującym siostrzeńcem, który tajemniczego pożegnania Laury chciał mieć klucz jakiś, nie przyznała mu się do świadomości przyczyny... Niepokoiło ją zajęcie tą nieznaną piękną, nie należącą do świata, w którym żyli, a miała właśnie ułożone małżeństwo, któremu ten niepotrzebny sentyment stawał na przeszkodzie. Hrabia Artur domyślając się o co ciotce chodziło, nie nalegał; spodziewał się potrzebne objaśnienia znaleźć na innej drodze... Utkwiło w jego pamięci pożegnanie, będące razem obietnicą powrotu...

Rozpacz młodziuchnego kawalera Georges'a, który jakkolwiek płochy i trochę zepsuty, dziwnym sposobem Laurą był zajęty, byłaby go może popchnęła w jaką awanturniczą podróż i pogoń za ideałem jego marzeń, gdyby nie nagły przyjazd hetmana do Warszawy. Biedny sybaryta z najśłodszych marzeń swych przy flecie wiejskim wezwany został niespodzianie w sprawach publicznych do stolicy, a wezwanie to nie cierpiało ani wymówki, ani zwłoki. Rzuciwszy więc z żalem *otia* emilopolskie i kończący się Castel-bianco, musiał z częstką tylko dworu wędrować co najprędzej do Warszawy, do zimnego pałacu, którego nie lubił, bo mu w nim było ciasno, niewygodnie a kosztownie. Kapeli nawet nie wziął z sobą, a w Warszawie wiedział z góry, że go kuzynki znowu żenić zechcą, z czego zawsze wynikały utrapienia wielkie, bo hetman dla płci pięknej był słaby, a sakramentu niezmiernie się obawiał. Z jednego tylko rad był, że tego zbiegautrapionego, Georges'a, za kark pochwyli i dalsze jego bałamuctwa powstrzyma. Donoszono mu ciągle o nim, pisał on do wychowawca coraz groźniejsze listy, Georges odpowiadał na nie grzecznie i pokornie, obiecywał nawet powrót, ale zawsze mu coś przeszkadzało i — nie wracał. Raz więc koniec temu położyć trzeba było. Hetman przyaresztował Georges'a odmawiając mu pieniędzy, lecz uczynił to z właściwym sobie pobłażaniem i wyrozumiałością na błędy młodości płynące z sentymentu. W tym wieku miano dla sentymentów w ogólności wielki szacunek; tkliwość i czułość były tarczą, po za którą kryło się coś więcej nad to, co one wyrażały. Georges, który już zabierał się do ucieczki, został. Hetman nie groził, nie fukał, dawał nawet do zrozumienia, że uczucia serca miał w wielkiej estymie... i kazał czekać szczęśliwszych okoliczności.

Książe Andrzej, który przez Lassy dowiedział się o katastrofie, pomścił się na niej i nie kazał jej więcej wpuszczać do pałacu, pańska fantazja zwróciła się w inną stronę. Daleko boleśniej zniknięcie Laury dotknęło Bogusławskiego, który wiele na pomoc jej talentu rachował. Rzadko spotykając takie zamilowanie sztuki, umiał je cenić, a wiedział, że nie łatwo znajdzie, szczególnie kobietę, któraby mu to genialne zastąpiła zjawisko. W pierwszej rozmowie z królem o nowym teatrze, wyraził przed nim nawet żal nad tą stratą.

Król wysłuchał go uważnie.

— Wierź mi, mości panie Bogusławski, że kobieta co tak gra jak ta wasza nieznajoma, niełatwo się zręcznie powołania.

— Na nieszczęście, N. Panie, ma to być pono bogata dziedziczka, którą tylko jakiś wypadek dla mnie szczęśliwy, wywiódł chwilowo na scenę.

— A inny wypadek może ci ją przywrócić. Bądź asindziej dobrej myśli, dodał król, ciesz się raczej, że się już u nas takie talenta znaleźć mogą. Wybornie grała Paulinę w *Polyeukcie!*

Bogusławski na drugi przypadek taki nie wiele rachując wyszedł niepocieszony, szukać sobie towarzyszków, uczyć ich i uprawiać do sceny, która wkrótce otworzyć się miała.

Wściekając się z bezsilnej złości, Lassy latała wszędzie z wiadomością, iż kuzyn tej panienki, człek żonaty, trzpiota i bałamutkę pochwylił i uwiózł. Chodziła nawet z tem do kasztelanowej, która uroczyście ją zburczawszy, precz wyprawiała. Nie szczęściło się biednej kobiecie. Mściła się jednak, roznosząc plotkę gdzie mogła, i w pewnych kołach, do których doszła wprzód wiadomość o tryumfalnym występie Laury, potrafiła jej wcale nieszczęśliwą wyrobić reputację, do historii prawdziwej domieszawszy obficie rozmaitych dodatków własnego wymysłu.

Napisała o tem i do pani Dobkowej, ale list ten wśród mnóstwa zaprzętnień, jakie teraz zajmowały piękną Sabinę — rzucony w kąt, ręką Rózi został na papiloty obrócony.

Nowa administratorka Borowiec, dosyć praktyczna gdy chodziło o jej interesa, zbierała pieniądze jak mogła, ze Smołochowa i z nowych dóbr swoich, aby mieć z czem wystąpić w Warszawie. Znała ona dobrze stolicę, miała w niej mnóstwo znajomości, do których

liczył się i księżę Andrzej, za młodszych lat adorator wielki czarnych oczek jejmości — wiedziała też, że tuwysztyko zrobić potrafi co zechce złotem i uśmiechem, jeżeli użyć ich i wystąpić z nimi będzie umiała. Musiała teraz zdumieć swym nowym blaskiem, pokazać się tu jako bogata pani, zwabić do domu ludzi wpływ mających u dworu, przyjmować zbytkownie i grosza nie żałować.

Pieniądze więc garnęła, znajdując, że zawsze ich jeszcze było mało, a nie mniej nad nie kłopotu było z urządzeniem ekwipażów, służby, stosownego dworu i przyboru, bez których pokazać się nie mogła. Rotmistrz, który ze wszystkich, jeśli nie najlepiej się na tem znał, to przynajmniej widział najwięcej, wysłany został przodem z instrukcją, miał nająć dom, kucharza, mieszkanie umeblować, zaopatrzyć spiżarnię i piwnicę (co mu wielką sprawiało przyjemność) i wyjechać potem na pół drogi oczekiwać dla przeprowadzenia pani, której do tego miejsca Będziewicz miał towarzyszyć. Oprócz Poręby zabrała z sobą niepotrzebnych sług jak najwięcej pani Dobkowa, Rózię i Przepiórkę i mnogą czeladź nie najszcześliwiej dobraną.

Stajnie i wozownie pana Dobka nie dostarczyły porządných powozów ani paradnych koni, o które Poręba się wystarał, z małym dla siebie zarobkiem. W chwili prawie gdy Salomon opuszczał Konopnicę, pani Dobkowa wyjeżdżała solennie z Borowiec, po błogosławieństwie, którego ks. kanonik udzielił. W duszy wzdychał on życząc jej zwycięstwa, bo dla kościoła dogodniejsza była Dobkowa niż Dobek... i razby się od tych heretyków ks. Żagiel mógł uwolnić.

Prędzej wszakże dojechała Laura z ojcem, niż Dobkowa ze swym rotmistrzem i czeredą... Znalaziono mieszkanie skromne na przedmieściu w domu nowymi porządnym, niezbyt na widoku... Pan Dobek zajął pokój od ogrodu, mając udawać chorego i nie wychodzić wcale... Laura potrzebowała namysłu od kogo począć i od czego wypadało. O przyjacielu ojca nie wiedziała wcale, tego adres miał Elias, a widzenie się miało być okryte tajemnicą.

Właśnie rozpakowywano, gdy Elias z miasta powróciwszy, podszedł do Laury nie spokojny i rzekł biorąc ją na stronę:

— A wie panienka kogo ja tu widziałem?

— Kogoż, proszę? spytała Laura.

— To szczęście, że oni mnie nie zobaczyli, dodał stary — ale trzeba być ostrożnym, wszak to już upiór tu jest?

Upiorem zwano Dobkową. Laura przestraszyła się.

— Ona? tu? jesteś pewien?

— Ale najpewniejszy! — rzekł Elias smutnie: na moje oczy cały obóz ich widziałem, rotmistrza, pannę Rózę, Przepiórkę... wielkim taborem przybyli widać swoją sprawę popierać. Łaska boża, żem ja ich wprzódę aniżeli oni mnie zobaczyli. Trzeba się mieć na ostrożności, i strażę bodaj u drzwi postawić. A nuż się jejmość dowie? A nuż się jej tu nie powiedzie? gotowa na wszystko, nawet przyjść jegomości starego kusić — od czego nas Panie uchwaj!

Laura uczyła mocno ten nowy cios, bo go tak nazwać było można. Bytność Dobkowej utrudniała wielce zachody, starania, samo nawet pokazanie się w mieście, i szczęściem było, że Elias pierwszy się o niej dowiedział. Miała ona tu dawne stosunki, którymi pogardzać nie było można... Trzeba więc było do czasu przynajmniej taić się z sobą, pokazywać mało i niezdradzić. Słomińska, dobra towarzyska w podróży, w mieście na mało się przydać mogła, bo mimo wieku, była dość żywa i roztargniona. Jedynym wysłancom mógł być przebiegły, pewny i rozważny Elias — ale ten do miasta nie był nawykły i nie znał go wcale.

Nazajutrz już stary sługa, któremu pan Dobek dał srebrny medal z wizerunkiem Chrystusa i napisem tylko arjanom właściwym, wyprawionym został do tego, na którym pan Salomon całe swe — nie znając go — pokładał nadzieje. Powinien był wyszukać osobę, przekonać się o jej tożsamości, ukazać jej ów medal i zażądać przybycia, dla widzenia się i narady z panem Dobkiem. Puścił się więc na wywiady stary, mijając Krakowskie-Przedmieście, na którym się pani Sabina rozgospodarowała w pięknym domu, wpaśród pańskich położonym pałaców, i skierował w ciasne uliczki, otaczające rynek Starego Miasta. Po drodze musiał pytać, lecz czynił to z ostrożnością wielką, i dobierając osoby, które

mu się najmniej niebezpiecznymi wydawały. W godzinie obiadu spodziewano się najłatwiej zastać w domu pana archiwistę.

Osoba, z którą widzieć się pragnął Salomon, zajmowała tu posadę przy metrykach koronnych. Dopytawszy domu który był własnością regenta (ten mu tytuł dawano), Eljasz dostał się na drugie piętro, które on całe zajmował... Na odgłos dzwonka, stara kobieta otworzyła mu drzwi, i popatrzała zaczerwienionymi oczyma na wchodzącego, któremu, że nieznajomy jej był, najprzód drogę zaparła.

— A czego? do kogo?

— Do pana regenta... w bardzo pilnej sprawie.

— On tu nikogo nie przyjmuje; jeśli sprawa, to dokancelarji — ale — do kancelarji — ochrypłym głosem rzekła stara...

— To nie kancelaryjny interes, to rzecz prywatna... i muszę z nim chwilkę pomówić na osobności, pięć minut...

— Ale czegoż? czegoż?

— Moja pani kochana, rzekł Eljasz słodko, nic przykrego. Jestem z daleka... dwa słowa tylko...

Stara machnęła ręką.

— Tyle on ma spokoju i wypoczynku co w domu, a tu mu nie dajecie godziny...

— Pięć minut kochana pani.

— Co mi tam z waszego kochania, kiedy mi jegomości przeszkadzacie!

W czasie tej rozmowy z za drzwi dawały się słyszeć szczekania przynajmniej ze sześciu psów pokojowych, które czując obcego, ujadły i drapały... Z za tego wrzasku i pisku inne jeszcze jakieś zwierzęce głosy, obudzone nim, hałasowały... Na całym piętrze wrzawa się rozpoczęła straszna, jakby w menażerji. Eljasz zadziwiony umilkł. W tem siwa głowa, na pół łysa, ukazała się przez wpół otwarte drzwi pokojów, a ze szpary tej korzystając psiarnia, wyleciała szczekać na nieznajomego, ku któremu i sam gospodarz ciekawie wyglądał.

Stara zbliżyła się ku niemu.

— Chce na pięć minut... obcy, z daleka...

— To go wasani puść! rzekł głos siwej głowy.

Gdy się Eljasz ruszył, psy oskoczyły go zewsząd. Nie były wszakże niebezpieczne. Psiarnia ta składała się z mopsów, szpiców i różnej drobnoty, która najhałaśliwiej krzyczy, ale najmniej straszy... Eljasz prowadzony przez całą ich zgraję, obawiając się je podeptać, ostrożnie wsunął się do sali. Sala była obszerna, od strony okien cała ostawiona klatkami, w których różne ptaństwo świergotało. Na grzędach siedziały dwie papugi wrzeszczące: Cukru! cukru!

Z dalszych pokojów głosy też dające się słyszeć oznajmiały, że wszędzie tego było pełno. Staruszek który sam jeden, jak się zdawało, wśród tego zwierzyńca mieszkał, miał twarz wielce łagodną, rysy miłe, oczy blade jakieś i wyblakłe... stał z rękami włożonemi w kieszenie i czekał. Eljasz obejrawszy się na wsze strony, z niskim ukłonem spytał, czy z panem regentem mówić ma zaszczyt?

— A! tak jest! krótko odezwał się stary; czem waćpanu służyć mogę?

Jeszcze raz się obejrawszy sługa, dobył z pod piersi medal i wręczył go staremu. Ten, jak tylko go zobaczył, tknięty niby piorunem, rzucił się, popatrzał na przychodzącego i na medal, i zapytał ożywionym nagle głosem:

— Bratem mi jesteś, czego chcesz?

— Nie ja, ale inny z braci naszej wzywa na pomoc, odparł Eljasz.

— Który? z kąd?

— Z Borowiec.

— Dobek? Salomon? cicho począł gospodarz. Jest tu?

— Jest, ale o tem nikt wiedzieć nie ma.

— To się rozumie...

Eljasz zniżając głos, podyktował dom i ulicę na której mieszkali.

Starzy obaj byli wzruszeni mocno. Potrzymawszy medal i popatrzawszy nań, regent oddał go posłanemu.

— Chcecie bym dziś był?

— Jak najrychlej, panie a bracie, rzekł Eljasz... potrzebni nam jesteście, nikogo tu nie mamy, a groźne położenie nasze.

— Sami jesteście?

— Pan mój z córką jedyną.

Regent pochodził nieco, witany zewsząd krzykiem swojego ptactwa, które w niebogłosy wołało doń o pieśczęty i strawę.

— Tam się coś stało? spytał po cichu regent; powiedz mi bracie co wiesz, abym się zawczasu przygotował... Szukano!

— Wydano, zdradzono i szukano!

— Cóż znaleziono?

— Nic, oprócz tych ksiąg, z którymiśmy się nie taili... bo je pan nasz za pamiątki uważał. Archiwum i kaplica dotąd ocalały, lecz wiele na wszelki wypadek spalić musieliśmy... Dobek nasz uwięziony był.

— Puścili go?

— Nie, wykradziony został i tu zbiegł.

Regent się zadumał.

— Niech się nie pokazuje, rzekł, mnie trudniej będzie uczynić coś niż komu drugiemu, bom na oczach i w podejrzeniu, lecz znajdą się inni.

— Majątek dano w administrację na zniszczenie, rzekł Eljasz, trzebaby i to ratować.

— Komu? spytał regent.

— Niegodziwej kobiecie, za której zdradą i poduszczeniem wszystko się to stało. Dobry nasz pan jedengrzech w życiu popełnił: ożenił się ze złą kobietą i nie naszego wyznania; ta do tego przywiodła.

— Kobieta! szepnął regent, zawsze kobieta, począwszy od rajy; jestem pewien, że Judasza poduszczyła zła niewiasta.

— Ta kobieta tu jest, i nieomieszka zabiegać pewnie... mówił sługa.

— Piękna? spytał stary.

— Dla złych może piękną być, ale sprośna to piękność! westchnął Eljasz.

— Tem gorzej! spokojnie mówił gospodarz. A rozumna?

Eljasz ramiona dźwignął.

— Na złe chyba, rzekł.

— Wie dobrze?

— Przecież ona nie wiedziała o niczem, tylko o tem co ludzie pleść mogli.

Regent dumał długo.

— Przyjdę, rzekł, o zmroku; czekajcie na mnie, abym nie pytał i żeby mnie ludzie nie widzieli. Nie dla siebie ostrożnym chcę być, mnie wszystko — jedno, — dla was...

Po krótkim tem porozumieniu się, przeprowadzany przez psy stary sługa, cofać się zaczął. Regent je chustką odpędzał... Ścisnęli sobie ręce i ucałowali w ramiona.

Staruszka u drzwi stojąca, która może coś podglądnęła, odprowadziła teraz Eljasza z oznakami wielkiego poszanowania.

To był pierwszy krok uczyniony w Warszawie, a tegoż dnia Laura w powozie zamkniętym, sama jedna, kazała się wieźć do kasztelanowej. U drzwi kamerdyner oznajmił jej z pewnem pomieszaniem i jakby żalem, że pani nie ma w domu, że wyjeżdża teraz bardzo często i że ją bardzo trudno zastać było. Laura nie śmiała zapytać go o hrabiego Artura. Francuz, którego jak innych śmiertelnych piękność kobiety oczarowała, zdawał się opowiadać to z żalem, któremu towarzyszyły westchnienia. Była to odprawa oznajmująca dość wyraźnie, iż kasztelanowa widywać Laurę nie życzyła sobie. Ona tego jednak w ten sposób zrozumieć nie chciała. Stała zakłopotana i tak smutna, że Francuz patrząc na nią widocznie politowaniem był zdjęty.

Spojrząwszy nań Laura więcej wyczytała w oczach, niż odpowiedź zrozumiała.

— Nie będę więc mogła widzieć się z panią kasztelanową? spytała.

— Trudno to, bardzo trudno — rzekł po cichu kamerdyner. Nie wiem z pewnością, lecz gdy powróci oznajmię...

— A hrabia Artur? przerwała ośmielając się, choć rumieniec okrył jej twarz.

— Hrabia Artur? pochwylił Francuz. Wyprawiono go na kilka miesięcy za granicę.

Laura pobladła. Pokładała w nim właśnie największą nadzieję. Skłoniła się i chciała odchodzić, kamerdyner parę kroków postąpił za nią.

— Pani mi daruje, rzekł cicho, my naszą *consigne* musimy spełniać... czasem choćby osobiście była przykra, i choćby, choćby nie zupełną w sobie zawierała prawdę.

Wzrokiem tylko podziękowała mu Laura i odeszła do powozu.

O bytności hetmana nie wiedziała jeszcze, Georges'awyszukać sama nie mogła, o Bogusławskiego potrzebowała się dowiedzieć. Stosunki, które się zdawały łatwemi do odnowienia... wymykały się z rąk... Ścisnęło się jej serce domyślając, że kasztelanowa wcale jej przyjmować nie kazała... Nie wątpiła, że hr. Artur wyjechał w istocie — choć i to kłamstwem było. Ze spuszczoną głową powróciła do domu smutna w chwili właśnie, gdy nieznamy staruszek wchodził ostrożnie dopytując się cichym głosem o Salomona. Złękła się nieznanego z razu i zapytała żywo, ktoby był?

— Powiedźcie mu tylko — brat, a będzie już wiedział kto jestem...

Wyraz ten otworzył mu drzwi. Dobek siedział w Biblii zatopiony; zobaczywszy go wstał, podeszli ku sobie i w milczeniu położywszy ręce na ramionach uścisnęli się...

— Jestem, rzekł przybyły, na zawołanie wasze...

— Opowiedział wam brat Elias przygody moje? spytał Salomon.

— Wiem o nich — począł regent. Niczemby to wszystko było w stolicy, groźnem stać się może na prowincji. Tam panuje obyczaj więcej niż prawo, namiętność raczej niż rozum... a tradycje twarde są do wykorzenia, i słowo czasem więcej znaczy niż rzecz sama. Dodajcie do tego chciwość ludzi na cudze mienie — alboż to mała pobudka do czynienia złego?

A po chwili rzekł regent smutnie:

— Czem nasze starania przy ich intrygach? Złotem, uśmiechem, obietnicami... kupią sędziów i protektorów...

— Cóż czynić? zapytał Dobek.

— Powiedziałbym: cierpieć i milczeć, gdyby sięmnie tykało — odezwał się regent. Tycze się to was — bracie — powiem: będziemy czynili co w ludzkiej mocy...

— Mamy tu kogo z braci, oprócz was? zapytał Dobek.

— Nikogo tu — cicho odpowiedział, głową potrząsając regent; tam dalej ku Gdańskowi znajdują się rozsypani a pokryci... Prawda ma zwolenników mało, a nauka Pana i Zbawcy poszła na faryzejskie ręce. Uczynili z niej dogodne narzędzie, giętkie, aby go użyć mogli jako chcą ku ziemskim celom... Pogańskim znowu stał się świat i zdziżał w pieczętach. Apostołów nowych mu trzeba, a tych nie ma... nowego zesłania Ducha, a ten nie przychodzi. I zmarniał posiew święty... wydeptany przez trzody...

— Aliści i między pogany byli wybrani? rzekł Dobek, i tu nie wszyscy nieprawi są?

— A nieprawi ich psują, i jak bywał dawniej srom występku, tak dziś jest srom cnoty, której się ludzie wstydzą. Cnotliwy wyszydzonym bywa... i nikt nim być nie chce... Babilon... dodał regent... próżno tu szukać sprawiedliwych...

Zamilkli obaj.

— Zabrano mi wszystko — rzekł Dobek pomilczawszy, ale do zboru i archiwów nie dostali się... Co było groźniejszego popaliłem. Któż wie! jutro... wtargnąć mogą.

— A gdyby wtargnęli, wierzajcie mi — mówił regent — szukaliby złota nie kacerstwa! Cóż dla nich dziś wiara sama i co kacerstwo? Wszystko im jedno co kto wyznaje, bo prawda stała się obojętną — a wiedza rzeczy nieśmiertelnych, niepotrzebną. Bogactwa wasze skusiły ich i te zgubić nas mogą. Gdyby kacerstwa nie było, znaleźliby zbrodnię; gdyby tej stworzyć nie mogli, zmyśliliby potwarz jaką najdzikszą...

— Więc nie ma ratunku? spytał Dobek.

— Nie mówię, żeby próbować nie było można — i nie rękę, byśmy uczynić co potrafili, kończył regent. Czasy są w których dano złemu zwyciężyć aż do kresu jego, aby się wylało na twarz ludzkości i zeszpeciło ją poczwarnie; dopiero przyjdzie opamiętanie. Chrystus cierpi z nami, czemużbyśmy z nim cierpieć nie chcieli?

I westchnęli znowu obaj.

— Otrząsnąć chyba pył z nóg i uchodzić — począł Dobek; — lecz się narodziło, żyło, zestarzało, przyrosło, i chciałoby prochy złożyć obok rodzicielskich.

— I groby zbeszczeszczone być muszą! dodał jakoby w myśleniu regent. Ale nie bierzcie mych wyrazów do serca — któż wie? może bronią odeprzeć potrafimy ich własną? Macie czem kupić ich sumienia? zapłacić łaski?

— Udało mi się, szepnął — Dobek — zaopatrzyć w chwili ostatniej... Żeby odzyskać Borowce, moje gniazdo, ofiar nie poskapię.

— Tak — to dobrze rzekł regent; — teraz tylko najgorszego wyszukać trzeba, żeby do uczynienia sprawiedliwości domagał... bo dobrzy tu nic nie mogą — znaleźć...

— Zważcie — zbliżając się do ucha bratu szepnął Salomon: żem ja tu nie sam; ta, którą nazywać muszę żoną moją, przybyła, aby mnie odebrać mienie. I ona starać się a zabiegać będzie...

— A jej to stokroć przyjdzie łatwiej, bo kobietą jest... mówił regent; a tu kobiety panują i rządzą, i one są wszystkim a my niczem... Starzy czy młodzi gną się przed wszechmogącym uśmiechem, którego odrobina upaja... a nadmiar obmierza...

P. Salomon wspomniał Laurę i zarumieniły mu się oblicze strachem o nią, aby w obrobie ojca nie poszła w kał ten i błoto. Załamał ręce.

— Córkę wstrzymajcie — dodał zgadując myśl ojca regent. Widziałem ją — kwiat to wiejski, który wyziewem miasta zwiędnie na lodydze. Jeśli co uczynić się ma, zrobi się bez niej...

— A któż ją powstrzyma! pocziwe nieopatrzne dziecko! ze łzami w oczach odezwał się p. Salomon.

— Jutro — po namyśle zaczął stary archiwista — pójdę szukać przedajnej dłoni... nie sam, bo na mnie oczy obrócone... poszlę... Jest ich wyciągniętych dosyć... Nie czyńcie nic, cierpliwi bądźcie. Ufajcie. Są środki, których użyjemy z dala sięgając, a na to czasu potrzeba... Ja użyję wszelkich...

Dobek zwrócił się ku stojącej na stole szkatule i otworzył ją...

— Zabierzcie ocalone akta — rzekł; tu one dziś bezpieczniejsze będą. Spaliłem czego unieść nie mogłem, a co szkodzić namby i stać się groźnem mogło... U was nikt tego szukać nie będzie.

Regent z poszanowaniem zbliżył się do zbutwiałych plików, które po jednym dobywał Salomon... patrzył na nadpisy i twarz mu się mieniła... Przeszłość ze swemi walkami przesuwała się przed jego oczyma: były to świadectwa gorącego, potem stygnącego, wreszcie wygasającego ducha. Obrona prawdy, potem już obrona ludzi, obrona mienia i życia tylko... potem apostazje i trwoga... i po wrzawie a odgłosie wielkim, nadchodząca jak po burzy cisza śmierci grobowa.

Obaj z Dobkiem popłakali się, uścisnęli bratersko i w milczeniu rozstali...

V

Jakiem prawem pani Sabina z Purstłów, primo voto Noskowa, secundo Dobkowa Borowiecka, nazwała się w Warszawie starościnią w braku innego tytułu — trudno rozwiązać. Były to czasy takie, w których bez tego ogona przy nazwisku chodzić wstydził się i najmniejszy — a kto własnego nie miał, przywdziewał ojcowski, dziadowski, przerabiał, stwarzał idealny, byle gorzej się od drugich nie wydawać.

Postarzały pan sędzic prawem natury sędzią się stawał, choćby nim nie był; tak samo starościc, chociażby nie odziedziczył starostwa, co najczęściej się zdarzało, starostą musiał być zestarzawszy.

Snadź rotmistrz Poręba, który już w drodze stękał nad tem, że pani Dobkowa nie może się pokazać w Warszawie bez ornamentu przy nazwisku, doszedł tego, iż w bardzo dawnych czasach Borowce starostwem zwano... Ktoś mu o tem mówił, a że ona teraz niemi admistrowała, jak nie miała zostać starościną? On pierwszy odważnie zamianował ją, co ludzie usłyszawszy poszli za jego przykładem, i na Krakowskiem Przedmieściu już zwano ją tylko JW. Starościną.

Pierwszem staraniem pięknej pani, w podróży jeszcze, było obmyślić sobie drogi i tryb postępowania. Cały regestr dawnych dobrych znajomych miała w pamięci, wybrać z nich postanowiwszy tych, których fortuna na wyższych postawiła szczeblach. Na pierwszym miejscu stał książę Andrzej, u którego w dobrem towarzystwie trzech jego przyjaciółek, sióstr rodzonych, spędziła niegdyś Sabina kilka miłych wieczorów. Później zazdrość tych pań potrafiła ją ze sceny usunąć, nie wątpiła jednak, iż ks. Andrzej musiał jej czarne oczy pamiętać.

Drugim dziś potężnym i wpływowym, naówczas mało znaczącym kapitanem tylko — był generał Sapura... na którego sypały się łaski, który u dworu nie tak świetnie jak silnie zajmował stanowisko, miał już czerwoną wstęgę i czekał niebieskiej... Tę pozycję wyrobiły mu nie talenta wojskowe, bo tych nie miał, ale rola faktora odegrywana bardzo zręcznie, pośrednictwa sekretne i poselstwa tajemne do płci obojej, sprawiane bardzo szczęśliwie. Mistrz w intrydze, generał, który wszystko zdobyć sobie musiał, bo nic nie miał, krzątał się i dla drugich i dla siebie pracowicie bardzo, nie zapominając o tem, by nawet i dla innych coś robiąc, sobie zawsze przysporzyć.

Słodszego po wierzchu a niebezpieczniejszego we środku człowieka świat ponoć miał nad niego. Kochali go wszyscy, rozpadali się nad nim, ale broń Boże, by kto nie umiłował a przeszkadzać zamyślał — choćby się z tem krył najmocniej — szedł na dno.

Sapura ubolewał potem nad zgubą tak dostojnego męża — a nikt nie wątpił, że on mu nogę podstawił.

Na oko też nie było większego próżniaka — bawił się zawsze i ciągle, zabawę swą zużytkowując i korzystając z niej jak pszczołka. Wszystkie interesa w formie zabaw się odbywały... Najzawikłańsze przy kieliszku, lżejsze na balikach, mniej znaczące ze śniadaniami. Sapura nigdy się siłą nie chwalił, prymu nie brał, wysoko nie siadał... Skromny był, a rzeczywista siła starczyła mu za jej okazy.

Kapitanem jeszcze będąc, Sapura się kochał w Sabinie na zabój, lecz żenić się oczewiście nie mógł, bo ożenienie dla niego było instrumentem do krescycywy, więc z tem poczekać musiał, póki na wyższe nie zaszedł szczeble... Sabina miała doń słabość; okrutne losy ich rozdzieliły. On wówczas był już dobrze dojrzały, ona w pączku; teraz on zaczynał szpakowaciec ona rozkwitała. Spotkanie musiało być czułe.

Na tych dwu największe pani starościna, nowo kreowana, pokładała nadzieje, jeden przez rodzinę (choć ta go nie lubiła i wyśmiewała się z niego trochę), był potężnym, drugi sam przez się, mając przystęp do najwyższych progów... Pokazać się przed nimi tak, aby ich oczarować — to było zadanie... Do ks. Andrzeja musiała jechać jako dawna znajoma, z prośbą o protekcję; generała Saporę mogła zaprosić bilettem, bo ten nie lubił i nie wymagał ceremonii. Pierwsze dni wszakże zajęło urządzenie domu... Srebra Dobkowskie bardzo poważnie przyozdabiały kredensa, innych rzeczy starać się i kupować je przyszło. Rotmistrz latał, pił, szachrował i służył niegodziwie, ale zamaszysto, w dodatku łając, gdy sam był godzien wystrofowania. Służba też zbierana drużyna, co miała wyglądać pańsko, podobna była do liberji przy jarmarcznej budzie. Sabina nigdy zbyt wytwornego smaku nie miała, starczyły jej szychy, galony i co się świeciło a błyszczało... Zadowolona się więc tem, co pochwycić mogła — i obawiając się, aby generał Sapura nie wyruszył na kresy, gdzie miał nominalną komendę, napisała doń słodki bilecik, zapraszając na rozmowę w cztery oczy — obiad — wieczerzę, kawę, śniadanie, co dlań będzie dogodniej. Pory te były najważniejsze dla generała, który interesa robił przy kieliszkach i widelcach. Lecz czegoż nie uczyni człowiek czuły dla pięknych oczu niewiasty? Sapura odpisał, iż nazajutrz na wieczerzę chętnie się stawi. Posłano rotmistrza, aby zamówił ostrygi, które naówczas były w wielkiej modzie, dostała starościna bażanta, kupiono burgundzkie wina, porto i szampana, bo Sapura, który w szkołach żył razowym chlebem i resztkami kwaśnych ogórków, a w łatanych butach chodził jeśli nie w dziurawych — teraz się stał najwybredniejszym smakoszem, i nic dlań nie było zadobre.

Na wieczór wezwany fryzjer, sprowadzona modniarka, pracowali od południa, z pani Dobkowej czyniąc elegantkę najcudniejszą, jak sobie wyobrazić można. Po owej chorobie i wyżółknięciu, wkrótce jakoś odeszła, trochę nawet utyla, płeć delikatna, kształty utoczone, pełność form, żywość spojrzenia, śmiałość ruchów, czyniły ją ponętą, zwłaszcza dla ludzi, co jak generał, w kobiecie cenili to, co w niej najmniej warto. Wystrojona, wyglądała jak malina... którą czas połknąć, bo spadnie... Fryzjer powiedział jej, że jest zachwycającą, modniarka znalazła w niej do trzech wojewodzin i do jednej kasztelanowej podobieństwo... Martwiło ją to tylko, że gdy się w niej Sapura kochał, miała talję, którą we dwie dłonie objąć było łatwo, a dziś śliczna jeszcze... jużby i we cztery ująć się nie dała. Czarna suknia miała te rozmiary mniej wydatnymi uczynić, Rotmistrzowi zakazano siadać do stołu... Różię tylko ubrano, aby nie być z razu całkiem sam na sam; ale później wyjść miała, by rozmowie nie przeszkadzać.

Wieczczano naówczas często dosyć późno... a generał snadź tę kolacyjkę zostawił sobie na zakąskę, bo gdy już starościna się zaczynała gniewać i nazywać go (po cichu) dosyć nieprzyzwoitemi wyrazami, dopiero w przedpokoju usłyszała hałas i wpadł szumnie ex-kapitan, który był zwinny chłopakiem, w postaci ogromnego draba, z dosyć wyrosłym brzuchem, na twarzy jeszcze przystojny... całując rączki z zapalem takim, jakby je chciał przed kolacją dla nabrania apetytu pozjadać.

Spojrzeni na siebie.

— Dalibóg, bogini! królowa! Venus! zawsze młoda i piękna!... a ja, patrz aniele mój, co ze mnie służba, praca i kłopoty uczyniły! (O ekscessach zapomniał).

— Ale generał doskonale wyglądasz!

— W łaskawych oczach pani starościny dobrodziejki... Ale mówże mi pani (obejrzał się), Sabciu kochana — wszak mogę cię tak nazywać?

Różia była wyszła, starościna podając mu rękę do pocałowania, nie oburzyła się na wspomnienie Sabci.

— Mówże co porabiasz! jak się wiedzie? Widzę cię w splendorach!

— Najnieszczęśliwszą w świecie kobietą.

— Jakto?

— Nie słyszałeś?

— Nic nie wiem... tragedje?

— Prawdziwe tragedje, poczęła Dobkowa... Poszłam najprzód, bo musiałam, za hreczkosieja, spekulanta, i to jeszcze trochę zazdrosnego a ordynaryjnego człowieka... Panie świecie nad jego duszą... za Noskę...

— To chyba był Znosek, rzekł generał, gdy takiej kobiety cenić nie umiał!

— Ten umarł.

— A no, chwala Bogu!

— Zostałam wdową, sierotą, bez opieki, opuszczoną wśród kraju... bezludnego. Familja tego Noski, ostatnie łajdaki, chcieli mi wydrzeć wszystko... Zdesperowana, udałam się o opiekę do starego wdowca w sąsiedztwie, pana Dobka, prosząc, by mnie ratował. Grzyb ten... wystaw sobie, generale, uroił zaraz w głowie, abym za niego poszła. Broniłam się — opierałam... ale sieroctwo moje, położenie i obawa zmusiły! Co też wylałam! Wystaw sobie, w domu córka z pierwszego małżeństwa, dorosła panna, samowolna, zła, djabeł; stary gdera, skąpiec, tyran.

— A! to coś okropnego w istocie! rzekł generał.

— Ja bezbronna, otoczona nieprzyjaciółmi — sama, nieszczęśliwa, najnieszczęśliwsza... Tymczasem co się dzieje? Odkrywają, że ci Dobkowie są skryci arjanie, najokropniejsza, bezbożna, zakazana sekta, że pełno na nich cięży zabójstw i zbrodni! Małom nie umarła z aprehensyi i strachu.

Generał spojrział, snadź dla przekonania się, że wcale do mającej umierać nie była podobna.

— Dopieroż zjechały komissje! uwięziono... zaczęto szukać, znaleziono — okropności... Ale sekciarze ci pełno mają zauszników i przyjaciół, uciekł ten niebezpieczny człowiek z więzienia... Oddano mi tymczasowo ten nieszczęśliwy majątek do administrowania...

— A córka? spytał generał.

— Ta dawno z domu uciekła...

— I cóż się z nimi stało?

— Jak w wodę wpadli! Prawdopodobnie więcej się nie pokażą, musieli zbiedz za granicę... Oto com przeszła...

— No — ale majątek ci został, śliczna pani, odezwał się Sapor.

— To prawda, lecz cóż to jest administracja? dodała Dobkowa, ja się chcę starać, aby go dostać kadukiem...

Generał już jakby zrozumiawszy dla czego na wieczerę był proszony i takim wygorsowaniem przyjmowany — zamilkł.

— To trudna rzecz, odezwał się, patrząc na swe pończochy.

Starościna uśmiechnęła się. W tej chwili dano znać o wieczerzy, i generał podawszy jej rękę, poprowadził do świetnie zastawionego stołu. Na widok ostryg, i to jeszcze w takiej obfitości, uśmiechnęły mu się lica.

— Królowo moja, długo tu bawisz? zapytał.

— Sama nie wiem; a ty panie generale?

— A ja — krótko! westchnął Sapora, niestety! ten czas jeszcze mi się krótszym wyda przy ślicznej Sabinie, z którąby wieczność stała się minutą!

Spojrzeli na siebie z uśmiechem.

— Ostrygi doskonałe! słowo daję, nie jadłem u hetmana B... lepszych! Jak świeże!...

A ty, królowo?

— Ja nie jadam ich!

— Szkoda! takiej delikatności przysmak!

Rotmistrz wino nalewał, generał go postrzegł i zaczął mu się przypatrywać natrętnie. Rotmistrz mu się skłonił.

— Dalipan, coś znajomego? co waćpan tu robisz? zapytał.

— Zostałem podczaszym u starościnej!

— A wojsko?

— Porzuciłem dawno!

— Jesteśmy w kuzynostwie, cioteczni, uczuła potrzebę dodać starościna.

Generał popatrząwszy się na kameryzowany nos kuzyna, skłonił tylko głowę i nic nie odpowiedział.

Po kilku kieliszkach, rozmowa wspomnieniami karmiona, ożywiać się zaczęła; generał opowiadał o sobie, swem znaczeniu i stosunkach.

— Przyznam się generałowi, przerwała jejmość, iż na te wpływy jego rachować się ośmieliłam... Nieszczęśliwa wdowa i sierota... mam prawo do twego współczucia.

— Hm! rzekł generał podnosząc kielich do góry, ja pani mojej powiem z całą otwartością. Wpływy, stosunki, drogi mam... ale... trzeba znać czasy i obyczaje; wszystko to dobre, a nic dla tego nie robi się bez pieniędzy.

— A! mój generale, to ja wiem, zawołała Dobkowa; ale my i z pieniędzmi sami nic nie zrobimy...

— Z pieniędzmi i zemną, mówił generał, zrobicie co zechcecie. Prosić o protekcję darmo!! Kochana starościnko, życie tyle kosztuje! każdy ma ogromne potrzeby! wszyscy żyją zbyt krownie... z kądzęby na to wzięli? Muszą się żywić u tych, którym służą: ręka rękę myje...

— Mój generale, to się rozumie! uśmiechając się zakończyła Dobkowa, o tem pomówimy...

— Główna rzecz, z cicha dołożył Sapora, co sięz tym wykradzionym mężem jejmości dzieje? Jeżeli drapnął za granicę obawiając się kární — najłatwiejsza będzie sprawa.

— Co się z nim stało? ja nie wiem dokładnie, odparła równie cichym głosem Dobkowa. Domyślałam się tylko, że do familji, którą na Litwie ma, umknąć musiał.

— A ta familja czy ma tu stosunki? badał Sapora dalej.

— I o tem dokładnie nie wiem.

— On sam czy jakie w Warszawie miał?

— Wątpię bardzo, namyślając się dodała Dobkowa.

— Ja tu jedną tylko rzecz widzę jasno, przerwał Sapora, że asińdźka pono po kobicemu grasz w ciucubabkę, bo mało co wiesz, a wielkich rzeczy chcesz dokazywać, do których też wiele wiedzy potrzeba... Od elementarza musimy zaczynać, żeby własne położenie dobrze poznać, z kim się ma do czynienia? jakie ich siły? któredy chodzą i iść mogą?

— To prawda, westchnęła Dobkowa.

— Przy największej i najdzielniejszej protekcji, wiele dokazać nie można, nie znając położenia, bo są rzeczy których prawo strzeże, a prawo trzeba wiedzieć przez jakie rękawice brać, żeby nie paliło.

Rozśmiał się Sapora, spoglądając tryumfująco na gospodynię.

— Najprzód, rzekł, rozbieraj pani fakta... potem przystąpimy do interesu...

— Ale ty mi dopomożesz generale, i pokierujesz wszystkim, światłej twej rady mi nie skąpiąc, dokończyła Dobkowa z nader obiecującym uśmieszkiem, trącając o jego kieliszek — a na to rachuję.

— Mojej pracy i zabiegów nie poskąpię, odparł generał; ale że kieszeń mam łatwo się wypróżniającą, kosztów na siebie nie biorę.

— Ja je poniosę chętnie — dam co każesz! zawołała piękna pani.

Po tej rozmowie, dla rozochocenia Sapory, zaczęła mówić gospościa o dawnych lepszych czasach... i śmiechy rozległy się po pokoju... Sprzątnąwszy ostrygi, o które gdzieś walczył był zmuszony prowadzić generał, napiwszy się dobrego wina, wpadł w usposobienie wesołe... które gospodyni starała się jeszcze rozwinąć, co się jej szczęśliwie udało. Sapora jednak nieznacznie (człowiek był praktyczny), rozpytał o dobrą rozległość, o ich położenie, o szacunek... i o inne sprawy szczegóły, aby sobie mógł obliczyć, co mu ten zachód cały przyniesie. Po kilkakroć odchodzono i powracano do interesu... tak, że gdy się wieczerza skończyła deserowem winem, starym tokajem, Sapora poprzysięgał, iż nigdzie od dawna miłszej nie spędził godziny, i przyrzekł uroczyście przychodzić bardzo często.

— Z mojej strony, rzekł przy pożegnaniu, zasięgnę i ja wiadomości o tych waszych Dobkach. Nigdy o nich nie słyszał, sądzę więc, że wielkich stosunków na przeszkodzie nie znajdziemy.

Po tym pierwszym szczęśliwie uczynionym kroku, Dobkowa kazawszy karetę u Danguła nająć jak najparadniejszą, bo jej powozy podróżne nie zdały się wystarczające, wyruszyła strojna jak wczora do ks. Andrzeja. Przystęp do tych hesperyjskich ogrodów nie był łatwy, księcia znano z bałamuctwa i lekkomyślności, oblegali go więc awanturnicy, a służba obraniaćmusiała. Odprawiano przybywających najczęściej, jeśli nieznajomi byli, chybaby imię lub szczególne mówiły za nimi względy. Służba, która dangłowskie powozy znała dobrze, a liberję i jejmość za podejrzaną uważała... mimo tytułu starościny, drzwi zamknęła przed nią — księcia nie było w domu. Po uśmiechach poznała jejmość, iż ją odprawiono samowolnie. Znając potęgę złota, rozpoczęła parlamentowanie ze służką i — i — otrzymała nadzieję audyencji. Ludzie chodzili, naradzali się i wpuścili ją wreszcie. W sali audyencyonalnej, przyozdobionej mitologią Bacciarellego... pełnej bogiń w szatach.. natury... przypatrując się wdziękom swych rywalek, pani Dobkowa spędziła nudne pół godziny.

Drzwi wreszcie otworzyły się i wszedł jaśnie oświecony, zapinając koronkowe mankiety. Stary miał i wzrok niedobry, i pamięć obciążoną tylu pięknosciami w życiu widzianymi, iż dawnej znajomej cale nie poznał. Utrudniała to zmiana, jaką lata w niej sprawiły.

Widząc piękną kobiecinę mocno wystrojoną, stary bałamut postąpił dosyć grzecznie ku niej.

— Mam honor — tu nastąpiło niskie dygnięcie — przypomnieć się W. Ks. Mości jako dawna znajoma.

Książę nie lubił dawnych znajomych i starych długów w ogóle... spojrzał więc niedowierzająco...

— W. Ks. Mość byłeś łaskaw nazywać mnie po imieniu Sabinką... i miałam szczęście być tu parę razy na wieczerzy z pannami... ami...

— Doprawdy? spytał stary obojętnie... nic a nic nie pamiętam... proszę!

— Teraz zowię się Sabiną Dobkową, starościna borowiecką.

— Aha! aha! rzekł roztargniony książę, bardzo mi przyjemnie.

Książę nie lubił ambry, a od starościny mocno ją czuć było — odsunął się nieco.

— Myślałam, że książę raczysz sobie przypomnieć.

— Słowo honoru, rzekł stary, nie mogę... tyle to... okoliczności przeszło... Jak to dawno, proszę starościny?

— Dziesiątek lat!

— Kawał czasu! dodał książę, i jak mnie pani teraz znajdujesz?

— Wcale niezmiennym.

— Trzymam się.

Stali tak wśród sali, książę nawet siedzieć nie prosił.

— Czemże służyć mogę? spytał po chwili.

— Mam tu interesa z powodu męża...

— A cóż się z mężem stało?

— Uszedł z więzienia...

— Zabił kogo?

— Nie — ale był arjaninem.

— A pfe! pfe! zawołał książę, jakże można być takim kaczerem?... Czy i pani jesteś... arjanka?

— Niech mnie Bóg zachowa!

— Tandem cóż tedy?

— Chciałabym na dobra wyrobić sobie kaduka...

— A! więc miał dobra? rzekł książę, a duże?

— Nie tak bardzo...

— To trudna rzecz, dodał gospodarz; a ja na interesach się nie rozumiem... Ale ja pani poradzę... jedź jejmość do księdza biskupa Mło... on ładne starościny bardzo lubi — ja — nie.

Zgorszona tą mową pani Dobkowa, zarumieniła się...

— Ale, mości książę! zawołała, ja nie znam księdza biskupa...

— To nic nie szkodzi, odparł ziewając ks. Andrzej, ja się w żadne interesa nie wdaję, a żeś asińdzka będąc panną była u mnie na wieczery, ja nie mogę za to przyjąć obowiązków plenipotenta...

— Książę wcale na mnie łaskaw nie jesteś?

— Owszem, nie chcę asińdzki zwodzić, bo choćbym przyrzekł, to bym nic nie zrobił, ale jakże nazwisko? Dorobek? Parobek?

— Dobek... starościna borowiecka!

— A! tak! a nie znasz pani tej pięknej panny Laury Dobek... co grała na teatrze? dodał książę... Co dla tej tobym poszedł w ogień i w wodę.

— To moja pasierbica! opryskliwie zawołała starościna, niegodziwa dziewczyna.

— Ale bardzo ładna i młoda! rzekł książę chłodno... czy pani ją odzyskałaś?

— Nie wiem gdzie się znajduje.

— Była tu w Warszawie, wszyscyśmy ją admirowali w „*Polyeukcie*,” mówił książę zapinając mankietki... Warszawie całą głowę zawróciła — i mnie.

Dobkowa ukąsiła się w wargi.

— I to zapewne powód, że książę mi nie zechcesz dopomódz?

— Przeciwno niej?

— Przeciw jej ojcu.

— A zapewne że nie chcę, mówił książę, na co mi się zdało? Po co mam palce kłaść między drzwi? Nie! nie!

— Tegom się nie spodziewała... Miałam niegdyś szczęście księciu się podobać, dodała Sabina.

— Ale dziesięć lat! dziesięć lat! dobrodziejo moja! Na mężczyźnie nie wielką to czyni różnicę — lecz na kobietach...

— Książę mnie znajdujesz tak zmienioną? spytała urażona Dobkowa.

— A jakżebym mógł o tem sądzić, kiedy nie pamiętam ani owych wieczorów, ani jej wyglądania naówczas? odparł flegmatycznie książę. Oczy mam złe, a pamięć najgorszą.

— Pozostaje mi więc tylko pożegnać...

— A wiesz asińdzka, co się z jedną z tych trzech jej i moich przyjaciółek stało? dołożył śmiejąc się, poszła z jakimś szarlatanem co proroka udawał! a takie miała śliczne oczy czarne!

Dobkowa już i słuchać nie chciała.

— Nie gniewaj się, moja starościno! począł książę, widząc obrażoną jejmość, ja w interesa wdawać się nie mogę, pieniędzy nie mam... i nie lubię kłopotów... a jeszcze z arjanami do czynienia mieć! Wszyscy teraz dysydenci mają wysoką protekcję, której się ja narażać nie myślę.

Starościna już u drzwi była, książę ziewając ją zęgnął i mruczał do siebie:

— Gdyby przyszło wszystkie dawne przyjaciółki protegować! dopierobym miał robotę! A ręczę, że mi się przypytuje daremnie, bo nic sobie podobnego nie przypominam. Muszę zobaczyć na rejestrze...

Rejestr ten znajomości księcia, utrzymywany przez niego i na klucz zamknięty... istniał w istocie od lat kilkunastu, i był jedyną pozostałością, którą potem rodzina po nim odziedziczyła.

Zawiedziona z tej strony w nadziejach swych pięknapani, wróciła z daremnej wycieczki do domu dosyć posepna.

O ile Satora i książę byli jej pożądanymi w Warszawie, o tyle rada była uniknąć zetknięcia się z rodzoną siostrą, która przeszedłszy różne koleje, skończyła jak matka na sklepiku modniarki przy Senatorskiej ulicy.

Do tej siostry i nie łatwo się przyznawała pani Dobkowa, i całe jej nie lubiła; utrzymywała, że się nie umiała prowadzić. W istocie w szesnastym czy siedemnastym roku wyszła była, bez zezwolenia matki, za męża, wyjechała z mężem na wieś, gdzie on był oficjalistą, potem owdowiawszy, z synkiem małym pracowała w małym miasteczku, trzymając jakiś handelek, naostatek wróciła do rodzinnej Senatorskiej ulicy, i do sklepiku macierzyńskiego, w którym dla mieszczanek i mniej zamożnych elegantek czepki szyła i stroiki. W domu jeszcze ze starszą o parę lat Cecylią ciągle się sprzeczały... a od jej wyjścia za męża nie widziały się wcale. Cecylia była równie piękna jak Sabina, ale charakteru różnego, spokojna i pracowita, przywiązana do męża, teraz oddana całemu dziecięciu, przy bardzo szczupłych środkach, żyła ani narzekając, ani pragnąc wiele, byle chłopca na człowieka wyprowadziła. Dziwnym wypadkiem Cecylia dowiedziała się o Sabinie. Generał, który je znał obie niegdyś, a sklepik modniarki bardzo dobrze pamiętał, drugiego dnia przechodząc zdumiony w oknie ją zobaczył. Poznawszy zaszedł do sklepiku. Cecylia nie przypomniała go sobie nawet, musiał się aż po nazwisku jej przedstawić. Przywitała go dosyć obojętnie.

Była to nie stara jeszcze, ale poważna i smutna kobieta, wcale nie dbająca o resztki swych wdzięków.

— Widzisz pani, jak to ja starych dobrych znajomych nie zapominam... odezwał się generał. Gdybym jej mógł być czem użytecznym?

— Bardzo dziękuję za dobre chęci, odezwała się wdowa, chybabyś mi pan rekomendacją i robotą chciał dopomóc... ale, dzięki Bogu, mam jej i tak dosyć.

— Ano! myślę, że i siostra powinna pani dać swą klientellę!

— Jaka siostra? spytała zdumiona Cecylja.

— Przecież Sabina...

— O sto mil! rozśmiała się Cecylja.

— Gdzie zaś! o sto kroków! Wszak ona tu przyjechała... Owdowiawszy, poszła drugi raz za męża, bogata pani!

Cecylia zdziwiona wielkimi oczyma patrzyła na generała.

— Jaką mi dała kolacyjkę wczora! niech ją Bóg kocha, mówił Satora, z gustem kobieta i caca! Jaka jeszcze ładna, jak się umie ubrać, co za państwo! Liberje, apartament, ekwipaż...

Wszystkiego tego słuchała modniarka, coraz większe okazując zdumienie.

— Poszczęściło się jej! dokończył Satora.

— A cóż ona tu robi? spytała siostra.

— Ma interes... do którego ja jej pomogę. Odziedziczy piękne dobra...

Po kilku słowach jeszcze generał wyszedł, wygadawszy się nawet z mieszkaniem pani Dobkowej.

Cecylia z razu ani myślała nawet widzieć się z siostrą, potem dumiała długo nad jej losem, nad sobą, paliła ją ciekawość — zrywała się kilka razy, wstrzymywała, powiedziała sobie, że nic nie zaszkodzi zajrzeć tam kiedy o rannej godzinie... i odłożyła na później. Nie wytrzymała jednak, i rano ubrawszy się skromnie ale przystojnie, poszła pieszo na Krakowskie. Jejmość już była wstała, gdy jej oznajmiono Cecylię Żmudzką z Senatorskiej ulicy... Zacerwieniła się mocno, zmieszała, chciała nie przyjąć z razu, potem pomiarkowawszy prosić kazała, a Rózię odprawiła.

Spotkały się oczyma w progu nawet. Starościna stała dumna i nachmurzona...

— Przyszłam cię zobaczyć i choć przywitać, odezwała się Cecylia poufale, lecz nie naciskając się zbyt, czy też mnie poznasz?

— Pewnie, że poznać trudno, tyle lat niewidziałyśmy się, z daleka skłoniwszy głowę rzekła Dobkowa, nie bardzośmy też z sobą dobrze były... A cóż asani chcesz?

— Jakto?... przyszłam asanią przywitać i zobaczyć! śmiejąc się rzekła modniarka, nie potrzebuję nic.

— Moja Cecyljo, przerwała Sabina czerwieńjąc, trudno nam z sobą żyć za pan brat, kiedy mnie los trochę inaczej postawił. Ja dla familji, do której należę, lada z kim nie mogę się wdawać.

— A! a! śmiejąc się, smutnie zawołała Żmudzka, toś głowę do góry zadarła. Ja też naprzykrzać się nie będę...

— Nie masz się asani czego gniewać.

— Ani myślę, tylko mi śmieszno! ruszając ramionami mówiła Cecylia. Cóżby ci to korona z głowy spadła, gdybyś po ludzku siostrę przyjęła!

— Poufalić się i nie chcę, i nie mogę, daj mi pokój, odparła Dobkowa. Siostry czy nie siostry, jak nierównych stanów, żyć z sobą nie powinny. A i to nasze siostrzeństwo, dodała, to tylko po matce, bo gdyby był kasztelan żył, byłby mnie przyznał...

— Milczże! milcz! odezwała się krasnziejąc Cecylia, pamięci matki nie uwłaczaj! Bądź zdrowa, ja ci więcej pewnie narzucać się nie będę, Bóg z tobą. Gdyby nie generał, byłabym o tobie nawet nie wiedziała.

To mówiąc zatrzasnęła drzwi i wyszła. Dobkowa stała jakiś czas rozgniewana, wybiegła potem zakazać sługom, aby więcej tej *kobiety* nie wpuszczali, i wróciła w bardzo popsutym humorze. Najwięcej ją to obeszło, że Sapora zawsze jeszcze pamiętał dobrze o jej pochodzeniu, kiedy się o niej mówić w sklepiku ośmielił. Na cały dzień popsuło jej to humor, już przyjęciem u księcia zgorzkniała.

Nie wiedząc co z sobą robić, miała już pojechać na hecę, gdy odebrała bilet od generała, oznajmujący jej, że wieczorem z pilnymi wiadomościami przybędzie. Miała mu wyrzucić nietrafne jego znalezienie się z Cecylją, lecz postanowiła milczeć. Ubiór zabrał cały czas do wieczora. Wcześniej niż zwykle nadjechał Sapora, wprost z obiadu bardzo hucznego u księcia kanclerza, pod dobrą datą, miły, galant, natarczywy, słowem w usposobieniu takim, z jakiego wszystko co chce zrobić może osoba zręczna i wytrawna. Jednym rzutem oka poznała to pani Dobkowa, nastroiła humor swój do jego wesołości, i żeby jej nie stracił, kazała przynieść wina.

Nigdy się ono łatwiej nie pije, jak gdy się go ma już aż nadto; generał przyjął kieliszek i całował białe rączki.

— Przynoszę mojej królowej małą wiadomośćkę, rzekł, ale nie bez znaczenia. O sprawie jejmości z tym Dobkiem przyszły tu już wiadomości i zapytania. Rozbijają się zdania... ale rzecz całą wstrzymałem, po cichu ją ubić trzeba. Jeśli Dobek uciecze albo... (tu generał rękami pokazał coś, jakby chciał oznaczyć, że go nie stanie), jejmość dobra dostaniesz. Ja w tem... Gdyby żył i bronił się a narobił hałasu, trudno będzie... bardzo trudno! O to tedy idzie, aby starego przepłoszyć i zmusić do ucieczki... albo...

Generał, który nie był wielki skrupulat... zanucił jakąś piosnkę ówczesną pożegnalną, którą na tamten świat wyprawiano.

Dobkowa patrzyła na podpilego zdumiona trochę, lecz wcale nie oburzona.

— Jakże ja tego dokazać mam, rzekła, kiedy nie wiem gdzie jest?

— A to go kaźcie szukać! na miłego Boga! rzekł Sapora... Może też wam łaskę tę uczynił, że drapnął...

— Niewielkaby to była łaska, zabierze pieniądze, które gdzieś schowane miał, odezwała się Dobkowa cicho, bo tam tego słyszę było gotówką na kilka milionów.

Generał się porwał.

— Przesadzacie po babsku! zawołał.

— Jak mi Bóg miły, nie, rotmistrz kufry podnosił, wie ile ich było.

— To całe się tu coś nowego święci, począł zadumany Sapora, gra świeczki warta... Pieniądzy takich podchwycić nie mogli... Są gdzieś skryte... Nie ma co się namyślać, niegodziwego człeka należy się pozbyć... a jejmości zagarnąć spadek...

— A jak się go pozbyć?

Generał nucić zaczął, wino wypił i po czole się bił, jakby z niego wysztukać chciał radę zdrową.

— Dokąd asindźka sądzisz, że mógł uciec? spytał.

— Do krewnych swych Dobków w Konopnicy.

— Posłać się zaraz dowiedzieć tam, a człowieka takiego franta, żeby niby sprzyjając Dobkowi, ostrzegł go, aby sobie co najrychlej uciekał. Jeśli go tam nie ma, to wiedzą o nim i znać mu dadzą.

— Kogóż posłać?

— A maszże asindźka tego z czerwonym nosem... kuzyna...

— Ten się na nic nie zdał, bo go znają, że mój.

— Niech on innego poszuka! Kogoś wynaleźć potrzeba, a brać się żywo... aby się Dobek nie znalazł i nie bruździł...

Zamyśliła się starościna mocno i poczuła dopiero jak bardzo ludzi jej brakło. Trzeba było ślać chyba — Przepiórkę... Generał pełny gorliwości, zachęcał, zagrzewał, okazywał się niezmiernie wylanym, a w końcu, gdy już nikogo nie było, ujął starościnę za rączkę.

— Interes się zrobi, ale wierz mi, Sabinko, trzeba ludzi ujmować, bez grosza nic... Na pierwsze wydatki radbym mieć coś, bo swoich mi zawsze brak.

Zmieszała się trochę starościna... napaść ta zawczesna nie była jej do smaku; lecz raz poszedłszy tą drogą, cofnąć się było niepodobna. Została na łasce starego adoratora...

Spytała skłopotana ile tam na pierwsze danie było potrzeba?

— No, ile możesz, rzekł generał, ja ci się święcie dogrosza wyliczę, możesz być pewna... Zawsze kilkaset dukatów muszę mieć...

Musiała starościna pójść do biurka i wyjąć ruloniki, które generał natychmiast schował, i zaledwie je miał w kieszeni, począł zaglądać do zegarka na godzinę... Zimniej się daleko rozstali niż się z razu zanosilo, jego osiągnięty cel, ją dane pieniądze bardzo ostudziły. Czułości jednak zostały formy serdeczne, którymi się do progę częstowali.

Tajemnica tego niezręcznego dosyć kroku pana generała cała w tem była, że się nieborak dnia tego zgrał i nie miał grosza, pożyczać nie chciał, a zdało mu się, że w ten sposób najłatwiej kasę swą zapomoże. Obracając ogromnymi często summami, Sapora był wiekuiście potrzebny, żadny pieniędzy i goły. Znano go z tego, że jednego dnia wypłacał kilkanaście tysięcy czerwonych złotych, a drugiego pożyczał u przyjaciół po dziesiątku.

W istocie życzył starościnie jak najlepiej, ale w jej interesie żadnego jeszcze kroku uczynić nie mógł, a to co powiedział, było osobistem jego natchnieniem...

Starościna jednak chwyciwszy się raz rady i opieki Sapory, słuchać go musiała. Tegoż wieczoru zawołała Przepiórkę, najzdolniejszego z ludzi, jakich miała przy sobie.

— Musisz asan jechać do Konopnicy, odezwała się.

— Gdzież to ta Konopnica? spytał błądy chłopak. Ano, prawda, odpowiedział sam sobie, na końcu języka... znajdzie się.

— W Konopnicy mieszkają Dobkowie, krewni pana Salomona, mówiła dalej, jeśli się on gdzie ukrywa, to chyba tam. Trzeba się dowiedzieć czy go nie ma? i puścić wieść, z wielkiej o niego troskliwości... że mu grozi niebezpieczeństwo, ażeby co najprędzej uciekał za granicę...

— Hh! hm! mruknął Przepiórka, to po cóż z tem do Konopnicy?

— Jaktó po co? żeby się dowiedzieć, czy go tam nie ma?

— Tam go nie ma... rzekł Przepiórka.

— Jakże ty o tem wiesz?

— Wiem, juścić, przypadkiem...

— I wiesz może gdzie on jest?

— A tu, w Warszawie! spokojnie odpowiedział Przepiórka.

Dobkowa aż skoczyła ku niemu.

— Tu! w Warszawie? co pleciesz? jakim sposobem mógłby tu być? zkąd ty się o tem dowiedziałeś? kiedy?

— Dopiero dziś, począł Przepiórka. W ulicy zdybałem Eliasza... choć on mnie nie widział... poszedłem za nim i wywąchałem wszystko... Jest on i córka, i już koło sprawy się krzątają.

Załamala ręce pani Dobkowa i poczęła nie chodzić, ale latać po pokoju, chwytając się to za głowę, to za serce.

— Biegaj natychmiast do generała, i powiedz mu o tem, a proś niech do mnie przyjdzie o której porze chce... Muszę się z nim widzieć. Idź natychmiast! chwili nie ma do stracenia... Biegaj!

Przepiórka, który do biegania był najochotniejszy ruszył natychmiast klusem do mieszkania generała. Tam go nie zastał, choć już było dosyć późno. Wskazano mu dwa czy trzy domy, w których powinien go był znaleźć. Obiegł je wszystkie, lecz generała nie było w żadnym z nich. W ostatnim ludzie śmiejąc się powiedzieli mu:

— O tej godzinie, jeśli go u Zuzi na Krakowskim nie ma, to jest na Złotej sali, przeciw Ś-go Krzyża.

Mimo okrutnego zmęczenia, Przepiórka dostał się jeszcze do owej Zuzi, u której było dwóch wojewodów, dwóch szambelanów i jeden książę, ale generała ani słycho... Pozostawała Złota Sala, w której u pana P... grywano po całych nocach. Nie trudno ją było znaleźć, bo w dzień i późno aż do rana stały tu marznące konie i powozy panów, którzy szczęścia próbując często wszystko i te ekipaże przegrywali, tak, że kto inny niemi do domu powracał. Obok w szynku woźnicy i służba rozrywali się także zatłuszczonymi kartami i talary brzęczały. Wstęp do P... był tak łatwy, że Przepiórka nie pytany nawet (a był ubrany dosyć porządnie), wśliznął się do przybytku.

Ogromny stół, zielonym sukniem zasłany, obsiadło mnóstwo osób, po za którym stał drugi rząd ciekawych na nogach, a trzeci na krzesłach... Gwar, brzęk i hałas był ogromny... Ludzie wchodzili, wychodzili, łajali się i ściskali, pożyczali i oddawali sobie pieniądze, wyzywali i godzili niezmiernie podnieceni. Przepiórka nader zręcznie wyszukał oczyma generała, którego widział, i ujrzał go za stołem, przed kupką złota, medytującego nad stawką.

Docisnąć się do niego mógł tylko człowiek tak chłodno umiejący rachować jak pan Przepiórka. Stanął w trzecim rzędzie, skorzystał z ruchu jego, by się dostać w drugi, potem party i prac nawzajem, pod łokieć generała wepchnięty został, i tu kotwicę zarzucił.

— Panie generale!

Odwrócił się Sapora, i zobaczywszy nieznanego, wnet do gry oczyma poszedł nazad.

— Panie generale, przychodzę w pilnym interesie.

— Idź do diabła! zawołał generał.

— Przysłała mnie pani starościna Dobkowa...

— Choćby cię królowa tu przysłała... to ci powiem jeszcze raz: idź do diabła!

Przepiórka wyczekał chwilę.

— Panie generale!

— Jeszcze ty tu?

— Ja nie mogę odejść z niczem...

— Mówię ci: idź z diabłem... a nie przeszkadzaj mi:

Znowu była chwila milczenia.

— Panie generale...

— Łeb ci rozbiję!

— Twardy, panie generale...

— Czegóż chcesz? koźle uparty! czego chcesz?

— Pani starościna na gwałt potrzebuje się z panem widzieć.

— O tej godzinie?

— O którejkolwiek bądź.

— Cóż się stało?

— Nic, tylkośmy się dowiedzieli, że pan Dobek tu jest w Warszawie.

Sapora odwrócił głowę... a wtem karta jego przegrała, i generał, przypisując to niepowodzenie natręctwu Przepiórki, schwyciwszy talię, cisnął mu ją w oczy. Zręczny chłopak cios ten potrafił odbić rękami, po których się posypały karty, ale nie ustąpił.

— Jeśli nie chcesz, żebym ci lichtarzem głowę rozbił, ruszaj pókiś cały, i powiedz twojej pani, żeby ciętu więcej nie posyłała. Choćby nie Dobek ale dwudziestu czterech ich przyjechało, nie pójdę... Co znowu za baba despotyczna? Gdyby choć dziesięć lat mniej miała!... Jutro będę! krzyknął generał; a widząc, że Przepiórka się nie rusza, wstał, aby go ująć za kołnierz i wyrzucić precz.

Na to już nie czekał posłaniec i uszedł. Powróciwszy do domu, stawił się jejmości, która chodziła jeszcze po sali, rozpuściwszy tylko włosy dla większego efektu, bo się generała spodziewała.

— A cóż? spytała.

— Ledwie mogłem wyszukać generała, rzekł Przepiórka.

— Gdzie?

— W kancelarji, uśmiechając się, odparł chłopiec, bardzo ważnymi papierami wojskowymi zajęty, kłania się i przeprasza, że dopiero jutro rano służyć może...

VI

Po nieszczęśliwej bytności u kasztelanowej, do której wracać nie było już po co, Laura miała do wyboru kilka osób z tego towarzystwa, poznanych w czasie teatralnej zabawy, lecz przeczuła trafnie, że gdy ta, na której polegała najwięcej, pomocą jej być nie chciała, inne ją też zbędą słowy, czczemi obietnicami, lub drzwi jej zamkną jak ona...

Na myśl przyszedł Bogusławski, lecz cóż mógł ten człowiek, który sam miał tyle do zwalczania, a za sobą tylko jednego króla, co teatr popierał? Dowiedzieć się nawet nie było łatwo gdzie go szukać? Już naówczas pierwsze próby polskich sztuk z wielkiem powodzeniem w gmachu przy placu Krasińskich odegrane zostały. Moda, nowość, królewskie poparcie, otwierały teatrowi świetne widoki, chociaż znaczna część wyższego towarzystwa znajdowała to śmiesznem, by od języka, którym ona obracać nie umiała, wymagać oddania tych mnóstwa odcieni, jakie delikatne uczucia rodzą. Uśmiechano się z tego zuchwałego przedsięwzięcia, lecz że król klaskał, bili wszyscy w dłonie i udawali niezmiernie zachwyconych i szczęśliwych... Bogusławskiego wychwalali głośno ci nawet, co się z niego śmieli po cichu... Mężny zapaśnik nie zrażał się ani szyderstw których się domyślał, ani przesadzonemi pochwałami, które za ukryte sarkazmy brać było można. Zbierał on z nadzwyczajną trudnością pierwszy ten zastęp szermierzy, co mieli talentem wywalczyć przyszłość scenie.

Stary żołnierz, kawał szlachcica, nadał od razu gronu swych artystów karność, obudzając poszanowanie, i pewne stanowisko wyższe, jakiego inni artyści zdobyć nie mogli. Około niego wszystko było nacechowane powagą sztuki, czuć było cel wyższy w całej pracy, dla której zapłata i oklaski nie starczyły. Trzeba się było praw obywatelskich dorabiać i stać ich godnymi. Rozumiał to on najlepiej, a przezeń natchnieni towarzysze, których z dziwnem szczęściem dobrać, wyszukać, usposobić umiał.

Dziś, gdy i przesady obalone są, i społeczność z innych się składa żywiołów, nie trudno o artystów; ale w końcu XVIII wieku, cudem było wynalezienie tych predestynowanych na pierwszych kapłanów sztuki, dotąd najbardziej sponiewieranej. Artysta był dla znacznej części widzów kuglarzom i skoczkom równy. Sztukę pojmowano jako rodzaj lekarstwa przeciw melancholji, którego posłannictwem była: exhilaracja.

Teatr już istniał, a jeszcze niedowierzającym nań spoglądano okiem.

Bogusławski na scenie okrzykiwany, którego imię było już we wszystkich ustach, zapraszany przez króla na obiady czwartkowe, pomimo czci, jaka go spotykała, i współczucia które mu okazywano, twarde miał do przebycia chwile...

Wszystko stworzyć było potrzeba, a na ostatek i chleb którym żyć musiano... Król wiecznie obdużony sam, choć chętny był do ofiar, często nie mógł ich spełnić; publiczność ciekawością pędzona tylko, raz zalegała wszystkie miejsca, tak, że się docisnąć nie było podobna, potem zbiegała cała i zostawiała je pustemi. Ówczesne życie stolicy nie sprzyjało też teatrowi. Przyjmowano nieustannie i zapraszano do domów pańskich, wieczory były codzienne, bale, maskarady, pikniki, obiady i śniadania często po dwadzieścia cztery godziny trwające. Historyczne jest to jedno, na które posłów sejmowych, mających stanąć w opozycji przeciwko uchwalanemu prawu, zaproszono i przyjmowano tak serdecznie, iż o sessji zapomnieli, a projekt został prawie jednomyślnie przyjęty. Gdzie tyle zabaw było, teatr pociągał ciekawością, tylko chwilami, gdy okolicznościowe sztuki grano, lub króla na nim zobaczyć miano nadzieję. Nie był więc wcale świetny byt sceny, a Bogusławski więcej jeszcze miał trosk niż dostatków.

Laura, która się z nim widzieć pragnęła, musiała on dopytywać i szukać, a znalazła go w samym starym gmachu teatralnym, który właśnie restaurować się zabierano... Parę pokoików zarzuconych książkami i garderobą teatralną, stanowiło jego mieszkanie, w którym artystów tylko i poufałych znajomych przyjmował. W trzecim skrypcie przylepiony do stolika na gwałt przepisywał role...

Gdy Laura w swej czarnej sukni ukazała mu się w progu, Bogusławski załamał rękę i krzyknął z radości, rzucając się ku niej...

Uśmiechnęła mu się smutnie.

— Jacyż bogowie nam tu was zsyłają? zawołał z uniesieniem.

— Nie bogowie, szanowny panie, odezwała się Laura, lecz jedno tylko bóstwo niefortunne — *Fatum*. Przychodzę do was nie jako dawna uczennica i towarzysząca, lecz jako klientka.

— Do mnie? smutnie się śmiejąc odpowiedział Bogusławski.

— Po radę...

Gospodarz zrzucił z kanapy naprędce dwa oszyte blaszkami fraki, które właśnie krawiec tam był rozłożył, i wskazał miejsce, przepaszając za nieporządek.

— Radę co do teatru, gry... wystąpienia, ofiarowałbym chętnie każdemu, tylko nie pani, która masz instynkt tak cudowny... wzywać zaś mnie do wszelkiej innej... byłoby niebezpiecznie, odezwał się powoli przypatrując swej klientce.

— A tymczasem nie o grze i teatrze na dziś mowa, rzekła Laura, mam ważne sprawy, dla których tu przybyłam, tyżące się nie mnie, ale ojca... Nie mam nikogo, coby mi chciał dopomódz.

— Kasztelanowa?

— Zamknęła mi drzwi swoje.

— To nie może być!

— Tak jest, niestety... dodała Laura, być bardzo może, iż postępowanie moje i lekceważenie opinii, skłoniło ją tego. Nikt mnie nie zna...

— Ale cała Warszawa brzmi jeszcze sławą Pauliny! zawołał Bogusławski.

— Na scenie zyskałaby może oklaski; w świecie znajdzie drzwi i serca zamknięte...

— Niestety! to nas wszystkich spotyka.

— Panie Bogusławski, pan masz do króla przystęp? odezwała się Laura.

— Rzadko, trudny... zawołał dyrektor, i pewien jestem, że gdybym z niego inaczej chciał korzystać, niż dla sceny, jejbym, sobie zaszkodził, a nikomu nie dopomógł. Jestem człowiekiem małym, muszę być ostrożny, bo losy sceny od mojego postępowania zawisły.

— Masz pan słuszność, odezwała się Laura, dla was scena jest matką, jej winniście całe życie wasze... ale, na Boga! nie macie człowieka, nie znacie człowieka, z charakterem, sumieniem, któregoście mi nastęczyć mogli?

Słuchający westchnął głęboko.

— Człowiekabyem znalazł może, odpowiedział; ale cóż charakterem i sumieniem się dziś robi? Ci ludzie, co je mają, tulą się po kątach, jak wśród gradobicia, aby się cali zachowali... a z życiem uszli. Spójrz pani, albo raczej nie patrz do koła, byś sobie oczu nie skalala... Dziś po święcie intryga, zręczność, wymowa, szalbierstwo... talenta nawet coś znaczą, charaktery i sumienia, nic nie mogą i nic nie ważą.

Na smutne lica Laury spojrzawszy Bogusławski umilkł; patrzyła w ziemię, zatopiona w myślach gorzkich...

— Człowieka pani potrzebujesz dodał, dam jej męża zacności i prawości nieposzlakowanej, lecz cóż po tem? ten człowiek jak ją czuje i widzi, że czas to nie na uczciwych ludzi — tylko na intrygantów... Dam wam człowieka, lecz po to chyba, ażeby dopomógł narzekać i boleć...

— Bądź co bądź — dajcie mi go. Ja nie znam świata, mówiła Laura — dla mnie on nowy, ojciec mój spędził życie na pustyni. Oboje przychodzimy tu bezbronni, a mamy nieprzyjaciół; potrzebuję kogoś, coby mi wskazał przynajmniej gdzie — przepaści.

— Dobrze rzekł Bogusławski — ale, pani moja... o co wam idzie? macie li proces? sprawę? zawikłanie, z którego by was królewskie słowo mogło wydzwignąć?

— Tak jest!... zawołała Laura.

— A więc przypomnicie się królowi... na teatrze! rzekł Bogusławski.

— Na teatrze? a! mój panie — odezwało się dziewczę: ani już serca nie mam do niego, ani rozumu. Los ojca... potem położenie nasze... rodzina! Byłam nieznanym zbiegiem, gdyście mnie zaciągnęli po raz pierwszy, a teraz...

— Któż was zna lub znać będzie na scenie? — począł gorąco bronić swej sprawy Bogusławski — weźmiecie imię przybrane... pod niem królowi się przypomnicie. On pamięta Paulinę. Naówczas będziecie mieli prawo przemówić doń, prosić.

— Jestem z ojcem i przy ojcu... niepodobnaby mi było, przy całej swobodzie, jaką on mi daje — ukraść przed nim moje wystąpienie, a zezwolenia na nie nigdybym nie otrzymała.

— Pomyśl pani o tem! dodał Bogusławski. Jest to rada, która z mej strony wydaje się interesowaną — jest ona taką może, a jednak razem i wam wybornieby posłużyła.

— Dajcie mi najprzód człowieka! powtórzyła Laura.

— A więc słówko o człowieku tym, odezwał się Bogusławski. Nie mogę go wam pokazać, póki nie uprzedzę o nim. Wyda się wam dziwnym...

— Mówcie i dajcie mi go.

— Człowiek mój zowie się Łukasz Tyszko, jest tostary szlachcic; prawnik z powołania, który djogenesowską grając rolę, do djogenesowskiego niemal przyszedł ubóstwa... Pojmował on zawód prawnika jako kapłaństwo... złych spraw przyjmować nie chciał, piniaczom dawał nauki moralne, prawdę bolesną rzucał w oczy bez wyjątku wszystkim, na trybunał wzywał pomsty bożej, na niepoczciwych, na intrygantów, na prepotentów grzmiał, panów nie szanował, dumy drobnej szlachty nie oszczędzał... zyskał poszanowanie, stracił majątek i wegetuje w ubóstwie zapomniany...

Jako doradcy lepszego nie znam... lecz jeśli praktycznie trzeba wywijać się i wyslizgiwać, na nic się nie zdał. Nie złęknie się on nikogo, wielu nastraszy sobą, żeby zaś miał sprawę wygrać — rzecz niepraktykowana.

Laura pomyślała chwilę — nie miała nic do wyboru.

Mam konie i powóz — odezwała się — jedźmy do tego pana Tyszki — niech mi powie co mam czynić.

Bogusławski spojrzął na zegarek.

— A na Boga... za godzinę repetycja...

— Tylko mnie zawieź do niego — powozem wrócisz do teatru...

Zawahawszy się nieco, Bogusławski za kapelusz pochwycił. Wsiadali do powozu, gdy na widok Laury rzucił się ku nim młody mężczyzna przechodzący, z okrzykiem wielkim...

Był to nieszczęśliwy Georges. Laura uśmiechnęła się dziwnie.

— Pan tu jesteś jeszcze?

— I ja, i pan hetman... ale pani? gdzie pani?

— Nie powiesz nikomu?

— Choćby mnie zabić miano...

— Ja z ojcem, wymówiła Laura umyślnie wybitnie wymieniając ojca — mieszkam...

Powiedziała adres po cichu.

— To znaczy, rzekł uszczęśliwiony Georges, że mi wolno będzie?

— Wolno przyjść jeśli się pan nie boisz tego, że go zamęcą poruczeniami, nie nadgrodzę nawet uśmiechem bom ten w drodze straciła.

To mówiąc siedli do powozu. Georges popatrzał na szczęśliwego Bogusławskiego i odszedł powoli. W tem z okna wychyliła się Laura.

— Kawalerze Georges — ja niewdzięczna! zapomniałam o Muni? Co się z nią dzieje?

— Tęskni do pani... jak...

Konie ruszyły i resztę słów wiatr uniósł.

Do dworku pana Tyszki na końcu Nowego Świata był spory kawał drogi. Dwór i ogród leżały w tej już części ulicy, która się zabudowywać zaczynała, i wyglądała na podziw cudzoziemcom osobliwszem zbiorowiskiem najnędzniejszych chat i najwspanialszych gmachów otoczonych rusztowaniami, albo ledwie z nich rozpowitych... Był to embrjon ulicy, w którym jak gangliony w polipie skupiały życie te kamienice nowe. Przed wielu z nich leżały jeszcze stopy drzewa, tarcice, cegły, gzemysy kamienne z daleka sprowadzane... u innych kolumny, które miały odziać się tynkiem, w koszulach z trzciny i drzewa, przedstawiały się w negliżu — niektóre już były skończone a niezamieszkałe, największa liczba porzucona wśród roboty była nowiuteńką ruiną, bo rzadko które domostwo przerwane tak na lat kilka, słomą nawet pokryto... Widok więc był dziwny: chat wklęsłych w ziemię, dworków ledwie od niejodrosłych i pałaców osamotnionych wśród tak niewłaściwego towarzystwa. Dworek pana Tyszki pochodził z dawnych czasów, otaczał go sad i parkany, a podobny był do wiejskich szlacheckich... Wchodziło się przez drewnianą furtkę i mostek, prosto na ganek, w sień przestronną, dzielącą dom na przestrzał, a z niej w lewo do wielkiej izby, zowiącej się gościnną, choć tam mało gości bywało. Z dwóch stron od ulicy i ogrodu oknami opatrzona, przestronna, z pułapem belkowanym, z zielonym piecem starym, miała tylko stół okryty dywanikiem, kilka krzesel

i sofę. Na ścianach w ramach czarnych rzędem wisiały sztychy stare włoskie, wystawujące głowy filozofów, mędrców i ludzi z cnoty słynnych. Oprócz tego na rodzaju stelu popiersie Sokratesa królowało samo jedno...

Gdy Laura weszła z panem Wojciechem... z bocznych drzwi dał się słyszeć głos jasny:

— A kto tam?

Bogusławski poszedł przodem do izby, z której głos słycać było... przestąpił próg i na cichej rozmowie zatrzymał się tam minut kilka. Z nim razem potem wyszedł mężczyzna nie młody, słusznego wzrostu, łysy, posiwiały, choć twarz miał czerstwą i zdrową. Ubiór na nim spartańskiej był prostoty z grubego sukna.

Laura skłoniła mu się, on jej oddał ukłon bez uniżoności, wskazał krzesło, a oczyma bacznie śledząc, zdawał się przez twarz chcieć sięgnąć do duszy.

— Źle panią pan Wojciech powiódł, rzekł. Słyszę, że idzie o radę skuteczną w jakiejś przykrej sprawie, a ja właśnie dać jej nie potrafię. Jestem najniezwyklejszy z prawników, dla tego, iż mi się zdaje, że prawo powinno być prawem.

— Ja z ufnością do pana przychodzę — poczęła Laura — bo nie każdemu bym nawet zwierzyć się mogła o co idzie. Mój ojciec oskarżony jest o tajemny arjanizm, był uwięziony... uszedł z więzienia... majątek nam zasekwestrowano.

— Jakto? o arjanizm? ależ arjan u nas nie ma od dawna?

Laura popatrzała nań.

— Tradycje się u nas uchowały... nikt przecież o tem nie wiedział, bo nie szkodziły nikomu. Ojciec mój ożenił się po raz wtóry, macocha była powodem obwinienia, sprawy, i jej majątek oddano...

— Czekaj pani... któżby dziś u nas miał wznawiać niedorzeczne prześladowanie jakiegoś kacerstwa? Dyssydenci są tolerowani.

— Pan wiesz, że arjanie stanowili wyjątek.

— Więc cóż? dziś! w końcu XVIII wieku, na stos i wygnanie! rozśmiał się Tyszko — toby było nie dość powiedzieć oburzające — toby było — śmieszne. Ateuszowie chodzą bezkarnie, a arjaninem być nie wolno?

— Zjeżdżała przecież komisja, czyniono poszukiwania, znaleziono księgi, to prawda... nic więcej — resztę dokonało łakomstwo macochy, która tu jest i stara się sprawę popierać...

— Gdzież ojciec wasz? spytał Tyszko.

— Tu się ukrywa, lecz z obawy macochy nie może się ukazać nigdzie.

— Ja potrzebuję się z nim widzieć i pomówić, rzekł Tyszko. Sprawa mi się zdaje niemożliwą, niedorzeczną, choć ściśle biorąc...

Zobaczmy dodał... nie mogę wyrzec nic; chciałbym tylko was pani moja, pocieszyć tem, że dziś przecie prześladowania tego rodzaju cały świat potępia. One są niemożliwe... Jeśli innego środka nie ma... sama wrzawa wywołana taką sprawą, da państwu wygraną...

W Laurę ducha trochę wstąpiło.

— Mój drogi panie, rzekła biorąc jego rękę, pociesz pan ojca mego, podźwignij go, przybądź do nas... starzec jest nieszczęściami przybity...

— Arjanie! z cicha powtórzył Tyszko, to coś osobliwszego! Przyjadę, dodał głośno, to jest przyjdę kiedy zechcecie... bo koni nie używam...

Laura nazwała mu dom.

— Ale to nie daleko, prawie w sąsiedztwie, odezwał się Tyszko; przyjdę, a nie frasujcie się, i niech ojciec będzie spokojny... Mnie się widzi, że i swobodę i majątek odzyszcze... A macocha ma stosunki i wpływy?

— Mieć je musi, choć nie wiem jakie! Jest to kobieta niedobra, użyje więc nie przebieając w środkach.

Tyszko namyślał się.

— Bądźcie dobrej myśli, zakończył; nie zwykłem nikomu przyrzekać sukcesów, lecz tu zdaje mi się...

Laura żegnała go, Tyszko znowu patrzył z wielką bacznością na jej twarz szlachetną i rozumną.

— A nie pozwolisz mi pani, bym moją córkę z nią zapoznał? rzekł, dziecko moje jedyne... Ona tu tak samotna jak wy; jeśli sobie przypadniecie do serca, czemużbyście zbliżyć się nie miały?

— A chętnie! i z wdzięcznością! pośpieszyła odpowiedzieć Laura, jam tak sama!

Tyszko wyszedł do sieni i po kilkakroć zawołał: Basiu! Basiu!

Kobieta, która się na to wołanie ukazała w progu, zobaczywszy Laurę, stanęła na chwilę, zdumienie i ciekawość razem okazując. Była do ojca podobna, ale od niego piękniejsza, słusznego wzrostu, z twarzą pogodną, ogorzałą troszkę, włosami splecionymi, otoczoną po prostu do koła, oczyma ciemno-szafirowymi i usty uśmiechającymi się dobrocią i prostotą. Suknie jej świadczyły o życiu... Miała na sobie jakby habit z ciemnego kazimirku, uszyty starannie, lecz niczem nie przyozdobiony, fartuch biały z bawetem i pęk kluczków u pasa. Świeży kołnierz i mankiety, przystrajały ubiór więcej niż skromny, w którym jej jednak pięknie było.

— Poznajcie się moje panie, rzekł Tyszko. Panna Dobkówna chciała u mnie zasięgnąć rady, jest tu sama z ojcem w Warszawie, tyś także tak jak sama na całe miasto, a mnie się widzi, że się powinniście zbliżyć i pokochać.

— Szczerze wam dłoń wyciągam, odezwała się Laura, zawczasu wdzięczna, żeście mnie tak bratersko przyjęli...

— A ja ją przyjmuję pustelnica, z wielką radością odpowiedziała Basia, bo mi już sama wasza twarz o dobrem sercu świadczy.

— Więc, bądźmy sobie siostrami! dokończyła Laura. Gdy mi się bardzo serce ściśnie, przyjdę do was po lekarstwo... Proszę was tylko, dzięki dziewczyny nie sądziecie surowo — jestem śmiała... nieopatrzna, samowolna — to prawda — lecz na jedno rachować możecie: nigdy w życiu nie kłamię. Macie mnie jaką Bóg stworzył.

Basia ją pocałowała.

— Jam trochę do was podobna, rzekła, zatem przystaniem do siebie.

Jeszcze raz podały sobie ręce, Laura musiała powracać do ojca, Tyszko obiecał się na wieczór.

W domu zastała Dobka na naradzie z regentem zamkniętego. Trwała ona jeszcze czas jakiś, a gdy wnijsć mogła do p. Salomona, znalazła go zaszepionym i widocznie przybitym. Domyślić się mogła łatwo, iż regent przyniósł niedobre wiadomości, nie śmiała o nie pytać, oznajmiła tylko, że znalazła kogoś zaleconego z uczciwości, który się sprawy będzie mógł podjąć, i najlepsze zdaje się dawać nadzieje.

Dobek w milczeniu ręką machnął.

— Jejmość już tu zabiega, rzekł, kara ta boża ściga mnie wszędzie... Daj Boże, byśmy mocniejsi byli nad nią, lecz ja się tego nie spodziewam.

— Zobaczmy, ojcze, odezwała się całując go Laura, bądź tylko dobrej myśli.

— Nie rozpaczam dla siebie, o ciebie mi idzie, odparł Dobek.

Nad wieczór Tyszko przyszedł o naznaczonej godzinie; wprowadziła go Laura do ojca, i zostawiła z nim sam na sam, dla swobodniejszego porozumienia. Ona także miała gościa, którego odprawiła ode drzwi: Georges przyleciał jak opętany i dostał odkosza. Laura śmiała się nie dając widzieć z za okna, gdy wielce zasmucony, odchodził ręce zwiesiwszy.

Dom zajęty przez pana Dobka, należący do nowszych budowli, stał wśród starszego od siebie owocowego ogrodu... Z jednej jego strony przechodziła ulica, z drugiej drożyna, która nazwiska ulicy jeszcze niebyła godna... gdyż po za domem tylko parkany ogrodów ją stanowiły... a przepaściste kałuże były całą jej ozdobą.

Laura stojąc w oknie, gdy Georges odchodził, niepostrzeżona, bo zakryta firanką, zobaczyła w ulicy kilku ludzi wcale nie obiecującej powierzchowności, którzy przechodzili po kilkakroć dokoła domu, zdając się czegoś w nim szukać, czy sobie jego fizjonomię chcieć dobrze zapisać w pamięci. Dla niepoznaki zeszli w małą ową drożynę, tam się naradzali, rozdzielili i znowu krążyli, nie dając poznać po sobie, że tu są umyślnie. Dom był odosobniony, nic więc innego w to miejsce ściągnąć ich nie mogło. Laura mimo nadchodzącego mroku, dobrze się przypatrzyła tym mniemanym przechodniom. Zdawało się jej nawet, że w jednym z nich poznawała Przepiórkę. Nie zastraszyło jej to zbyt, gdyż i tak musieli się mieć na ostrożności. Powiedziała tylko Eliaszowi o tem, który z drugiego

okna począł śledzić już oddalających się, i potwierdził to, że jeden mógł być a raczej był pewnie Przepiórką.

Ludzi w domu mieli kilku, broń nawet od wypadku, kamienica była zamczysta, nie było się czego obawiać tak dalece...

A jednak Dobek, nawet po wyjściu Tyszki, okazywał obawę i niepokój. Laura wyczytała to z jego twarzy, i próżno starała się wy badać a uspokoić ojca.

— Jestem tu sam z tobą jedną tylko, oboje wśród ludzi obcych a nieżyczliwych, nie ma tu dla nas bezpieczeństwa; należało albo na wsi siedzieć, lub za granicę jechać — regent mi to jeszcze teraz doradza.

— Zatem przysłoby się wyrzec wszystkiego! zawołała Laura; bo powierzysz obcym prowadzenie interesu, nieochybniebyśmy byli jeśli nie zdradzeni, to zaniedbani. Cóż tu grozić może?

Dobek nie mówił nic, ale wzdychał ciężko... Laura wydobyć z niego wyrazu nie mogła... Wieczór cały zszedł na takich rozmyślaniach ponurych.

Następnych dni nie można było opuścić starego, tak niepokój w nim chorobliwy wzrastał; po dwa i trzy razy posyłał po regenta, który się niezmiernie stosunków z nim obawiał, bo się na świecie lękał wszystkiego, co spokojowi zagrozić mogło; Laura biegła do Tyszki, a ten przychodził dodawać otuchy, i choć na chwilę p. Salomon zdawał się nieco lepszej myśli, wnet mu te przeczucia nazad powracały. Nigdy w życiu wielce ze swobody jaką miał nie korzystał, a jednak obawa więzienia była zmorą niedającą mu spoczynku. Długie lata spędziwszy w Borowcach, umiając żyć tylko tam, gwałtownie pragnął powrócić... a niecierpliwiła go zwłoka i sama myśl, że powrót mógłby się stać niemożliwym. Słowem Dobek był w usposobieniu takim, że go na chwilę samemu sobie zostawić się lękała Laura, a jeśli odchodziła, posyłała Eliasza, aby mu nie dał temi gorzkimi zabijać się myślami. Rozdrażnienie to zamiast uspakajac się rosło, p. Salomon stawał się niemal dziecinny, płakał, ręce łamał, czekać nie chciał, gotów był płacić, okupić się, byle raz wyjść z tej niepewności. Pośpiech był niepodobieństwem tam, gdzie każdy krok nowy stawiając, grunt wprzód dobrze opatrzyć było potrzeba, aby fałszywym sprawy nie popsuc. Georges odprawiony po raz pierwszy, przyszedł nazajutrz powtórnie; Laura przyjęła go sama.

— Kawalerze Georges, odezwała się surowo nań spoglądając: mógłbyś sobie u mnie na wielką wdzięczność zasłużyć. Mam interes ważny mojego ojca, od którego wypadku spokojność jego i moja zależy... chciałabym pozyskać sobie względy hetmana... Możesz z nim mówić o tem?

— Ale pani sama możebyś chciała widzieć się z panem hetmanem?

— Gdybym wiedziała, że mnie przyjmie, i że będzie na nas łaskaw?

— Ja sądzę, że to nie ulega wątpliwości.

— Spytaj go pan... zobaczmy...

Nie dozwoliwszy Georgesowi zbytecznie się rozczulać bo jak z dzieckiem się z nim obchodziła Laura, dała mu rękę do pocałowania i odprawiła do hetmana.

Pan hetman w Warszawie a Emilopolu, były to cale dwie różne postaci. Tam on, u siebie, był panem wszechwładnym; tu jednym z tysiąca wszechwładców, tak dobrze przez historyka królewietami nazwanych. Swoboda i dobry humor wiejski rzadko kiedy mu tu służyły, wyobrażał sobie, iż miał nadzwyczaj wiele do czynienia, że obarczony był pracą, a każdy obowiązek do godziny przywiązany, na dwadzieścia cztery wprzód humor mu psował. Oprócz tego brakło mnóstwa rzeczy i osób, do których był nawykły, a innych miał za wiele. Pałac nie był dlań dogodny... Musiał chodzić na obiady cudze, a te wszystkie mu się szkaradnymi wydawały. Trybulacje te wpływały na zdrowie delikatnego hetmana, a stan jego oddziaływał na usposobienie. Ogromne wydatki nie pomagały także do dobrego humoru. Georges zawsze wielce ulubiony przybranemu ojcu, nie tak łatwy miał tu przystęp, ani taką pewność, że co chce to wyjedna. Trzeba było umieć chwilę sposobną wynaleźć, przystęp i ucho łaskawe. Wymagało to czasu.

Georges rozpoczął od tego, iż o przybyciu Laury o jej historii o tyle, ile od niej mógł się dowiedzieć, opowiedział.

— Już pewnie musiałeś odnowić znajomość, rzekł hetman — hm?

— Widziałem piękną Laure...

— I będziesz się bałamuć na nowo... dodał hetman; *c'est très fâcheux*.

— Gdyby ją pan hetman widział ubraną po kobiecemu...

— Ale cóż dalej? co dalej? zapytał hetman trochę niecierpliwie; ładna? śmiała? czarująca? ale to przecież jedna z tych kobiet, około których nie ma co biegać, jeśli się nie myśli żenić!

— A — dla czegożbym się nie mógł ożenić, gdyby tylko mnie przyjęła?

Na to wyznanie, stary hetman, który sam dotąd był beżżenny, a dla młodzieńca uważał ożenienie za zawiązanie mu świata... przełękły zerwał się z krzesła, pochwycił Georgesa za ramiona, i w największym gniewie, w jakim go jeszcze nigdy młodzieniec nie oglądał, krzyknął:

— Co? co? ty się żenić? ty? w twoim wieku? żona? A toś zwarzował? *mais tu es fou!* A to cię oddać do czubków! Jemu się żenić! żenić się! słyszeliście! *Un petit morveux comme cela!* żenić się...

Georges pobladł aż ze strachu i wstydu; hetman dopiero postrzegłszy się, iż stracił równowagę i ulubieńca przestraszył niepotrzebnie — siadł nieco spokojniejszy, pokazując mu krzesło przy sobie.

— Kawalerze Georges, rzekł powolniej: patrz waćpan na mnie, mam lat... no! dosyć będzie powiedzieć, że mam ich o wiele więcej niż waćpan... mam stanowisko, mam majątek... mam pewne znaczenie w świecie, a drzę na samą o małżeństwie wzmiankę, taka to jest rzecz straszna! Cóż tedy waćpan powinieneś czynić? Wieszże co to jest małżeństwo? Zdaje się waćpanu, że to tylko uścisk milej kobiety i raj ziemski... A obowiązki? A nieustanny niepokój o serce i fantazje jejności? a utrzymanie domu, imienia, stosunków, powagi? A przyjdą dzieci? A niewola bezustanna, niedająca spoczynku nigdy? Gdzież w waćpanu dojrzałość potrzebna do tego stanu, statek, powaga? A toby cię jejność trzymała pod pantoflem, że tchnąć byś nie mógł.

Hetman rzadko mawiał tak długo na raz... potrzebował odetchnąć, spojrział na bladego Georgesa i żał mu się go zrobiło, taką biedną miał minę.

— Ale mój drogi, kochaj się! jesteś swobodny, uwielbiasz, czcisz kobiety, służ im... na to wszystko zgoda, do tego służy młodość... tylko, na miłość bożą, nie mów mi o ożenieniu.

Georges zmilczał.

— Chciałeś mi mówić o pannie Laurze? Jest to dla waszności, o ile mogłem zauważyć, najniebezpieczniejsza osobka. Gdyby chciała, mogłaby cię za daleko zaprowadzić; szczęściem, wybij to sobie z głowy, bo ona chce tego nie może... Dobkowie są majątni, familianci, a waćpan dotąd jesteś *chevalier Georges tout court*. Z czasem się to może zmienić, dziś tak jest!

— To nie przeszkadza, żebyś pan hetman nie pomógł jej w przykrem położeniu? odezwał się Georges.

— Rzecz znowu inna, odparł hetman przypatrując się swoim nogom i pończochom: waćpan wiesz jak ja interesów nie cierpię... nienawidzę, brzydzę się niemi, są mi ohydne... Swoich nie lubią, cóż dopiero mówić o cudzych? Wziąć na ramiona sprawę... a poprowadzić ją źle — wstyd i przykrość; żeby się zaś powiodło, chodź, jeźdź, biegaj, gadaj, proś, męcz się — a to wszystko ażeby pięknej pannie usłużyć, która ci uśmiechem zapłaci. W dodatku jeszcze, mój Georges, trzeba, żebyś wszystko wiedział — moje wpływy i znaczenie wolałbym zużytkować dla siebie — dla swoich. Mam je, ale nie mogę wyczerpywać, bo nadużywszy ich, stracę... Z tych wszystkich powodów...

— A pan hetman tak mile przyjmowałaś ją w Emilopolu? zagadnął Georges.

— Ale — jabyłm ją i tu przyjął bardzo mile, nawet ci powiem więcej, gdyby mnie prosiła, przyrzekłbym wszelką z mej strony pomoc... i — nicbym nie zrobił. To nad siły moje... Człowiek dla siebie samego ledwie starczy...

Smutny zamilkł Georges, nie było co więcej nalegać. Hetman ciągle patrzył na piękne nogi swoje, wtem szczęściem nadszedł ktoś z gości i rozmowa przerwana została.

Wychowaniec wysłiznął się z pokoju. Zgryzł się niezmiernie, gdyż wstyd mu było z niczem powracać do Laury... a znał dosyć hetmana, by się nie ludzić, że w drugiej rozmowie pomyślniej mu się powie. Mógł wprawdzie wytłómaczyć się, iż z hetmanem mówić nie miał zżeczności, że był bardzo zajęty i t. p., ale wymówki te na długo mu posłużyć nie mogły. Biedny chłopak siadł w swym pokoiku pogrążony w myślach i zrozpaczony niemal... Któżby się mógł spodziewać, że hetman z tak chłodnym egoizmem mu odpowie?...

Laura czekała dwa dni na przybycie Georgesa, nie wiedziała co miało znaczyć opóźnienie, w ostatku domyśliła się, że hetman zapewne mieszać się w tę sprawę nie miał ochoty. Toż samo prawie działo się z drugimi... Do zarzutów arianizmu domieszano historię ojca pana Salomona, zabójstwo żony, oskarżenie syna o to, że Adama trzymał zamkniętego w lochu... chroniąc od wymiaru sprawiedliwości. Wszystko to razem tworzyło dość brudną i wstrętną całość, której umyślnie nadano ten charakter, aby się nikt nie podjął jej rozwikływać.

Regent ofiarował się pomódz do ucieczki i tę doradzał mocno, a właśnie myśl sama porzucenia Borowiec była dla starego najstraszniejszą i śmierci się równała. Co się tycze Tyszki, ten nie umiejąc i nie pojmując inaczej sprawy jak na drodze zupełnej jawności, nie przypuszczając, żeby uczciwy człowiek mógł w jakimkolwiek razie coś taić i pokrywać, coś kłamać — wymagał dochodzenia sprawiedliwości przez trybunały, w imię wolności sumienia, poręczonej paktami i t. p. Dobek z powodu swoich przekonań religijnych, które kilka pokoleń tało, nie mógł zadawać im winy, wstępując na inne pole. Słowem, nie wiadano co począc, czego się chwycić, a Elias, mimo że tam miał liczną rodzinę, widząc pana tak nieszczęśliwym, nalegał na to, żeby skarb w lochu ukryty zabrawszy, zawaliwszy wnijście do kaplicy i zboru... wynosić się gdzieś za granicę... Laura, która tak ufala z razu swym stosunkom i wpływowi, jaki wyrzucić mogła — przekonywała się teraz, że w tym świecie atlasów i jedwabiu... zewnętrzne szatysą prześliczne... lecz wewnętrzza żadne nie dosięże oko.

Ze wszystkich przyjaciół, jeden Bogusławski pozostał jej wiernym, a i ten — namawiał ją znowu do teatru. Nie widziała wprawdzie hrabiego Artura, lecz zamknięte drzwi kasztelanowej zapierały jej doń drogę, a miała teraz dość doświadczenia i obawy, by mu się sama narzucać śmiała.

Trudno jej nawet było oddalić się z domu i wybiedz szukać kogoś lub nastęczać się kasztelanowej, bo stary Dobek niepokoił się o nią za każdym wyjściem, a utrzymanie tego biednego gospodarstwa miejskiego na niej całe spoczywało — na niej, która nic a nic go nie rozumiała. W Borowcach miała się zawsze kim wyręczyć i nie wiedziała o niczem — tu do niej przychodzono ze wszystkim, począcwszy od zadysponowania obiadu... Brak kogoś, coby jej w tem dopomógł, nadzwyczaj czuć się dawał — Słomińska powróciwszy do swoich, nie mogła ani sama usłużyć, ani kogoś pewnego nastęczyć...

Tak stały rzeczy, gdy z rana jednego dnia Laura z okna zobaczyła wystrojoną Lassy, która rozpatrując się po domach i ostrożnie wybierając suchsze miejsca w ulicy, dążyła wprost ku drzwiom ich mieszkania.

Po ostatniem pożegnaniu było to niesłychane zuchwalstwo i bezwstyd — Laura przygotowywała się ją przyjąć jak zasługiwała, gdy śmiała jejmość wpadła nie pytając i opędziwszy się ludziom, do pokoju... Nie dając słowa rzec Laurze, rzuciła się najprzód ku niej z załamanymi rękami.

— Droga Lauro! poczęła patetycznie, bij mnie, wypędz, łaj, bezcześć jak chcesz, zasłużyłam na to, ale posłuchaj: Czula przyjaźń łączyła mnie z tą niegodziwą Sabiną; dopiero teraz, na jej zbrodnicze postępowanie, otworzyły mi się oczy... Nienawidzę jej, przychodzę ci paść do nóg i przebłagać... Ja cię tak szanuję i kocham!

Laura ruszyła ramionami... Nie zraziło to bynajmniej Lassy, która ku niej przystąpiła bliżej, rada, że jej zaraz nie wypędzono.

— Całą stolicę podbiłaś swym występem na teatryku w Powązkach!

— Tak dalece, odpowiedziała mimowolnie Laura, że teraz gdym powróciła, nikt oprócz Bogusławskiego znać mnie nie chce...

— Jaktó nikt? jaktó? pochwyciła Lassy, a księżę Andrzej?

— Ja nie znam księcia Andrzeja!

— Ale on! on cię uwielbia... on dla ciebie gotów dać — życie!

— Nie plećże moja Lassy, odezwała się Laura.

— Przekonasz się gdy tylko zechcesz i skiniesz...

Nie odbierając odpowiedzi, Lassy obejrzała się po domu.

— Wiesz, moja droga Lauro, ja znowu jestem bez... dachu. Szukam sobie mieszkania... Gdyby tu było do najęcia na dole, wzięłabym izdebkę, żeby wam być na zawołanie... Ja cię tak kocham! a! ty nie wiesz!

Uśmiech Laury i spojrzenie były całą odpowiedzią.

— Wszakże mi tego za złe nie weźmiesz, jeśli się tu ulokuję?

— Aby macosze donosić o nas? zapytała Laura.

Lassy zarumieniła się mocno.

— Słusznie jestem posądzona, rzekła, bardzo słusznie, znoszę to w pokorze; ale, ja z tą złą, niegodziwą, ohydłą kobietą nic do czynienia mieć nie chcę, wyrzekam się jej... a, jeśli się podoba, daję słowo, iż nogą z domu nie wyjdę.

— Nie mogę wam zabronić mieszkać gdzie się podoba, rzekła Laura, ale rada wam nie będę, to z góry powiadam.

— A jeśli ci do nóg przyprowadzę księcia Andrzeja, który całą sprawę poprowadzi, weźmie na siebie i wróci wam spokojność!

Z niedowierzaniem spojrzała Laura na śmiejącą się szatańsko Lassy.

— Mogłabyś to uczynić? szepnęła.

— Zareczam najuroczyście! żywo odparła Lassy, i podbiegając ku Laurze dodała cicho: Stary nikogo nie kompromituje, bo, proszę cię, to wiadoma rzecz, że gdy koniuszki palców dasz mu do pocałowania, będzie sownie zapłacony, a przecież to brat... a bratu się nic nie odmawia.

Ze wstrętem jakimś odsunęła się od niej Laura, na co Lassy wcale się zdawała nie uważać, pożegnała prędko, zeszła na dół, gdzie zaraz najęła mieszkanie, a wieczorem wcisnęła się już Laurze do pokoju, Eliaszowi do kredensu, nawet do kuchni, i gdy dla starego Dobka filiżankę bulionu, którą pił wieczorem, przygotowywano, niezmiernie troskliwie pomagała do jej przyrządzenia.

Eliasz, który jej nie cierpiał, tego dnia znajdował, iż Lassy może w niedostatku innego kogoś staćby się mogła użyteczną około kuchni i spiżarni, aby panienkę wyręczyć. Gdy już raz była w domu, nic przecie nie szkodziło się nią posłużyć i zająć ją, aby po za dom z plotkami wybiegać nie miała czasu. Laura na te uwagi nie odpowiedziała nic, a Lassy sama filiżankę bulionu zaniosiła.

VII

W nocy, zapewne skutkiem ciągłego tego zmartwienia, pan Salomon Dobek mocno zachorował. Porwały go bóleści, paliło pragnienie okropne, a napój jaki mu podawano, znieść go nie mogąc wyrzucał. W kilka godzin słabość ta przybrała tak groźne symptomy, a domowe środki, jakimi przebudzona Lassy i Laura dopomóżdź mu się starały, tak się okazały bezskutecznymi, iż Lassy natychmiast obowiązała się biedz sama po znanego sobie doktora. Noc była ciemna, chciano jej dodać człowieka z latareńką, ale śpiesząc się bardzo, nie chciała czekać, oświadczywszy, że miasto zna doskonale i że sama sobie da rady.

Gdy wychodziła z domu, narzuciwszy tylko płaszczyk na ramiona i porwawszy na rękę woreczek, który jej nigdy nie opuszczał, było już po północy. Laura została sama przy łóżku ojca, grzejąc prześcieradła, którymi go okładano, podając wodę nieustannie żadaną, a jednak nadaremnie chwytaną, bo ją wyrzucał natychmiast. Boleści cierpiał tak straszne, iż krzyk jego w ulicy słyhać było. Chwile ulgi krótkie, prawie natychmiast wracające symptomy przerywały... Podawano mu limonadę przygotowaną przez panią Lassy przed odejściem jej, a ta zamiast ulgę przynosić, stan jeszcze pogarszała... Przesztano wreszcie nią poić, lecz woda nie służyła lepiej, bole i nudności trwały ciągle, gorączka się z nich zrodziła i z każdą godziną Dobek był gorzej a gorzej.

Co chwila spodziewano się przyrzeczonego doktora, po którego Lassy pobiegła, a nie było go nawet we dwie godziny po jej wyjściu. Ludzi obcych miastu po niego posłać nie było podobna... Laura pieszo pobiegła dobijając się do Tyszków, zbudziła ich, opowiedziała Basi o swem nieszczęściu, i zakląwszy ją i ojca, by z ratunkiem śpieszyli, wróciła bezprzytomna do łóża ojca...

Tu gorzej już było a gorzej i chory słabł, a nawet zdawał się przytomność chwilami utracać. Jęki boleśnie rozlegały się po domu... a tu nikogo! nikogo! ani Lassy, która się gdzieś zabłąkać musiała, ani obiecaną przez Tyszków pomoc.

Bardzo już późno w noc, prawie nad rankiem, stary Tyszek przypadł z lekarzem jedynym, jakiego mógł znaleźć w mieście.

Wszyscy inni przypadkowo zajęci byli, i to tłumaczyło dla czego stara jejmość dotąd powrócić nie mogła. Przywieziony przez Tyszkę lekarz, stary praktyk, zaledwie stanął u łóżka chorego, popatrzał i rozpytał o symptomata, spytał co jadł i pił? Powiedziano mu o bulionie, którego reszta w filiżance została, pokazano limonadę. Spojrzał na dno obu tych napojów, w których jakby rodzaj soli białawej widać było na dnie. Miał małą apteczkę przy sobie i natychmiast podał choremu lekarstwo, które mu małą ulgę przyniosło, skinął na Tyszkę i wyprowadził go do drugiego pokoju.

— On jest otruty! rzekł mu na ucho...

— Czy można go ratować?

— Za późno! w pierwszych chwilach, może — teraz trucizna miała czas podziałać na wnętrzości — za kilka najdalej godzin żyć nie będzie.

— Lecz, na Boga, któż tego mógł dokonać? krzyknął Tyszko.

— Ratunku już nie ma, szepnął doktor, a właśnie dla tego, żeby winowajca nie umknął, nie trzeba okazywać, żeśmy się na tem poznali... Zręcznie tylko zabrać filiżankę z buljonem i limonadę — w obu są resztki arszeniku.

Tyszko rozpaczliwie zajęczał.

W tej chwili Laura wpadła z rozpuszczonymi włosami i klękała przed doktorem.

— W imię wszystkiego, co najświętsze — co wam najdroższe! ratujcie mi ojca! panie, ratuj mi ojca... zasypię cię złotem! oddaj mi ojca!

Doktor nie chciał, widząc tę rozpacz dziecka, ogłosić jej smutnego wyroku, począł coś bełkotać niewyraźnie i przeszedł co prędzej do pokoju chorego. Tu naczynia jeszcze stały... Tyszko znając od Dobka wierność Eliasza, kazał mu je przechować nic z nich nie wylewając... co stary sługa, we łzach cały, zrozumiał dobrze...

Dzień się robić zaczynał, gdy Dobek już bez nadziei, dogorywał... konał w strasznych boleściach. Lassy dotąd nie było. Z opowiadania o jej przybyciu i roli, jaką przybrała wieczorem, oraz w początku słabości, Tyszko niewątpił najmniej, iż ona otruła nieszczęśliwego Dobka. Laurze ta myśl już przychodziła mimowolnie ale ją odpychała jeszcze... Przybyły lekarz zgodził się na posłanie po jednego jeszcze kolegę dla uspokojenia rodziny, chociaż symptomata konania już się objawiały... Było ono powolne i przerywane... Dobek poznawał córkę, rzucał się ku niej obejmując ją rękami, a że mówić nie mógł i niewyraźnie tylko wyrzywały mu się wyrazy, chwycił Tyszkę i wskazywał Laurę, jakby mu ją chciał oddać w opiekę. Córka klęczała przy nim, wsparta o jego kolana, zanosząc się od płaczu.

Nadjechał drugi lekarz, ale już wówczas, gdy Dobek ducha wyziewał; nie było nic do czynienia nad rozpatrzenie sądowe tej zbrodni, gdyż zbrodnia popełniona była jawną.

Natychmiast posłano z doniesieniem do urzędu. Basia od zwłok ojca ledwie mogła Laurę na chwilę do drugiej izby oderwać, gdzie ta padła zanosząc się od jęków i płaczu, który prawie w konwulsje przechodził.

Tu także jeden z lekarzów stał się potrzebnym.. Około sieroty nieszczęśliwej pozostał tylko Tyszko i jego córka.

Lekarze obaj na razie, w obecności przybyłego urzędnika, wykazali dowodnie, iż trucizna użyta była, której reszty na psie doświadczone natychmiast mu śmierć zadały. Świadectwo wszystkich ludzi zgodne nie zostawiało wątpliwości, iż Lassy przyrządzająca bulion, a potem limonadę, arszeniku do nich dosypała.

Urzędnik udał się natychmiast do zajmowanego przez nią na dole pokoju, gdzie żadnych nie znalazł rzeczy, oprócz tłomoka, w którym stare gałgany napchane były. Na stoliku jakby w pośpiechu zapomniany papier rozwinięty, w którym drugi znajdować się musiał, ukazał na spodzie odrobinę proszku podobnego do tego, który był w bulionie i limonadzie.

Lassy znikła... Wysłano natychmiast w miasto szukać ją wszędzie, gdziekolwiek się znajdować i ukrywaćmogła, lecz nadziei wielkiej nikt nie miał, aby kobieta, czując popełnionego morderstwa następstwa, czekała na niechybną karę. Nie popełniła go ona z własnego pomysłu pewnie, łatwo się było dorozumieć, kto ją do tego namówił — a dochodzić nawet do dna tej szkarady nie dozwalał srom, jaki ona na imię rodziny całej ściągała... Laura pierwsza uczyła w tem rękę macochy, której szło o to, aby majątek zagarnąć mogła — a wyrzec tego obwinienia nie śmiała — nosiła imię jej ojca!

Eliasz płakał u zwłok swego pana, rozpadając się nad stratą niepowetowaną, lecz razem myślał już o losie Laury... bo Dobek przez całą noc mu powtarzał, ilekroć mógł przemówić: — Nie opuszczaj dziecka. I on pojął łatwo czyją to nieszczęście było sprawą, i wszystko, co ono ciągnęło za sobą — Dobkowej trzymającej Borowce nieochybnie już wyrwać ich nie było podobna. Całą majątnością Laury pozostało to, co w kryjówce jemu jednemu wiadomej zachował stary... Eliasz drżał na myśl, że on także niespodzianie mógł umrzeć, a skarb pozostałby przy tych, co sobie majątek przywłaszczyli... Ostygłe zaledwie ciało ubierając do trumny, starzec o dziecku powierzonym mu myślał, i o środkach, jakimi mienie jego miał ratować...

Laura leżała bezprzytomna na rękach doktorów i Basi Tyszkówny. W całym domu zamieszanie panowało, jakie śmierć z sobą prowadzi. Cały ten dzień, urzędnicy, doktorowie, szczupła liczba przyjaciół nie wychodzili ztąd prawie... Regent nawet przybiegł, aby ocalić papiery i dowiedzieć się o szczegółach wypadku... Nie było komu kierować, myśleć, zając się wszystkim, i poczciwy Tyszo przyjął energicznie cały ten ciężar na siebie, czyniąc niejaki porządek z ludźmi i pozostałością po nieboszczyku...

Na dwa dni przed opisanym wypadkiem, zjawiała się ta nieszczęsna Lassy u starościny. Chociaż w ostatnich czasach miała nadspodziewane zarobki i trochę grosza w zapasie, trawiła ją ta sama namiętność, która we wszystkich zgniłych a zepsutych społeczeństwach opanowuje próżniacze tłumy — Lassy grała namiętnie. Wciskała się do pomniejszych domów gry, w których, jak świadczą pamiętniki współczesne, dzieci nieraz widywano grające obok rodziców — i jednego wieczoru postradała do ostatniego grosza i ostatniego pierścionka. Nazajutrz jeść nie miała za co, a dowiedziawszy się, przypadkiem o Dobkowej, poleciała do niej aby bądź co bądź, chwycić się tej ostatniej deski wybawienia. Starościna z razu przyjęła ją bardzo chłodno, wprędce jakoś jednak zrozumiała, iż się nią posłużyć może, i pozwoliła jej zostać. Cały dzień trwały ponawiane rozmowy bardzo żywe... w których Dobkowa powtarzała tylko ciągle, iż nie wiedziećby co dała gdyby ją kto od tego grzyba uwolnił. Wyrazy te tyle razy obily się o uszy Lassy, iż nakoniec skuszoną niemi została, i poczęła od zaręczenia, że onaby najłatwiej do tego domu mogła się wcisnąć.

Późniejsze rozmowy prowadzono tak cicho iż nikt usłyszeć nie mógł... Lassy wyszła, wróciła, przyniosła coś z sobą, szeptano, naradzano się, pani Dobkowa była niespokojna, potem umilkło naraz wszystko i Lassy wyszła...

Późno w noc, właśnie był generał Sapora wyszedł po długiej wieczery u Sabinki, gwałtownie zaczęto się dobijać do drzwi... Lassy rozczochrana, wylękła, prawie bezprzytomna wpadła do sypialnego pokoju starościny. Wyprawiono Rózię, która sypiała obok i właśnie miała się kłaść do łóżka. Słyszała odchodząc rozmowę, krzyki, spór... potem szemranie, szept, płacz... i naostatek Lassy wybiegła z domu... a Dobkowa zaczęła wołać Rózię, aby do niej przyszła i przy niej położyła, bo pewnie zasnąć nie będzie mogła.

Rózia zastała swoją panią bladą jak ściana, drżącą, wystraszoną i chodzącą w zadumie po sypialni... Skarżyła się na straszny ból głowy...

— Takie jakieś mam okropne przecucia — odezwała się — ten generał tak mi głowę paplaniem rozbił, nie wiedzieć co bo wygadywał! Teraz już zasnąć ani myśleć — Lassy mnie do reszty dobiła... Brzydka kobieta gra tak namiętnie, gdzieś się do grosza zgrała i przyleciała jak warjotka prosić pieniędzy... Musiałam dać, aby się jej pozbyć.

— A poco to ją pani przyjmuje? przerwała Rózia — niechby sobie szukała gdzieindziej zarobku. Do czego się ona pani zdała!

— Ja też jej powiedziałam, że ostatni raz daję, i żeby mi nigdy więcej nie wracała. Trzeba ludziom zakazać, ażeby jej nie puszczali, jeśli się tu zjawi.

Panią Dobkową zaczęła jakby febra jakaś trząść, i towarzyska jej wielki miała kłopot, nim ją ziółkami, kroplami i okładaniami nad rankiem jakoś nieco uspokoiła... Była tak roznerwowana, że na najmniejszy loskot, krzyk, stuknięcie porywała się i leciała ku drzwiom jak obłąkana. Potem usnęła ze znużenia, i zbudziła się z krzykiem wołając o ratunek — dosyć, że Rózia, która jej nigdy jeszcze taką nie widziała, w głowę zachodziła co się z nią stać mogło. W południe przyjechał generał, ale go nie przyjęła, bo w łóżku leżała... Jednakże w pilnym interesie przybył, jak powiadał, i koniecznie widzieć się musiał — wstała starościna i w szlafroku wyszła do gabinetu.

Generał zobaczywszy ją, przestraszył się, tak była zmieniona.

— Co to starościnie? zawołał.
— Chora jestem, bardzo chora...
— Uważałem, że wczoraj już w wieczór nie było bardzo dobrze... ale cóż takiego? może po doktora?

— A! nie, nie, to... spazmy...
Generał dziwie popatrzał na nią milcząc...
— Hm, rzekł, chciałem coś powiedzieć, ale się już boję... żebyś pani nie rozchorowała się gorzej jeszcze...

— Czy co tyczącego się mnie? z obawą odezwała się Dobkowa.
— I bardzo nawet blisko — marszcząc brwi odezwał się Sapora. Widziałem się tylko co z doktorem Wersem... Pan Dobek, mąż jejmości, umarł otruty!

Starościna krzyknęła i padła na sofę czy zemdlona, czy udając mdłości...

Generał nie porywał się do ratunku — czekał stojąc i chłodno patrząc na jęczącą kobietę, która z wolna do siebie przychodziła.

— Wiesz asińdźka — odezwał się po chwili — jakoś ta śmierć tego Dobka przyszła bardzo w porę dla jejmości... ot! gotowi ludzie gadać! Przyznam się, że ja będę musiał jakiś czas tu przestać bywać... póki się to nie zatrze...

— A! zmiłuj się, generale, jeśli ty mnie opuścisz w tej okropnej doli...

— Kolacyjek dalibógbym się już lękał tu jeść, gdybym asińdźce na świecie zawadzał, szepnął z cicha Sapora — chrząknął głośno... Upadam do nóg — upadam do nóg!

I wyniósł się jak mógł najprędzej.

Tegoż dnia po mieście rozprowadano już głośno historję rodziny Dobków, lecz każdy ją układał na swój sposób. Ponieważ w nią zamieszana była znana wielu piękność, pochodząca z bruku miejskiego, owa czarnooka Sabina, którą u boku matki znano jeszcze z Senatorskiej ulicy, niestworzone rzeczy dorzucano do tego dramatu, z przeszłości zapomnianej...

Lassy także, której imię głośno powtarzano, bo sądownie była ścigana, zwracała na siebie uwagę, a każdy o niej rozpowiadał co wiedział, i było obficie czem ciekawych zaspokoić. Począwszy od zamku aż do Solca i Powązek, tragiczna historja rozeszła się w mgnieniu oka; zapraszano na obiady tych, którzy ją najlepiej opowiadać umieli; generał nie przyznając się do teraźniejszych stosunków ze starościna, był jednym z najszczęśliwszych w powtarzaniu tej powieści, i rozrywano go sobie, aby ją od niego, z jego ust usłyszeć.

On jeden nowemi i niezmiernie *piquants* szczegółami dramat ten wzbogacał, a dowcipnie umiał go obrobić. Wielki świat, nie mający nic do roboty, przeciągał cały tego dnia tego przed oknami domu, w którym dokonana była zbrodnia; mnóstwo osób wybierało się nazajutrz na pogrzeb, który duchowieństwo protestanckie prowadzić miało. Spodziewano się na nim zobaczyć córkę zmarłego, o której nadzwyczajnej piękności chodziły już wieści, bo ktoś odkrył, iż ona była ową Pauliną w *Polyeukcie*. Z tego powodu dowiedziała się też o wszystkim kasztelanowa i hr. Artur. Co dziwniejsza, ktoś już umiał im powiedzieć, że panna była milionową dziedziczką. Hr. Artur pamiętał to tylko, iż niebieskie jej oczy jedyne były na świecie.

Milionom zaprzeczała kasztelanowa jak najmocniej. We dwadzieścia cztery godziny obeszła całą Warszawę ta smutna historja, i gdy nazajutrz karawan zaszedł przed dom żałobny... tysiące ludzi, mnóstwo powozów, znalazło się w koło... Tłoczono się, aby czarną, prostą trumnę zobaczyć, którą na wozie złożyli studzy nieboszczyka... Niósł ją na ramieniu pierwszy stary Elias, chustką łzawe zakrywając oczy...

Podtrzymywana przez Basię Tyszkównę, Laura wyszła ubrana czarno, zakwefiona, chwiejąc się na nogach. Nie widziała nic, oprócz tej czarnej skrzyni, co jej ojca zabrała.

Wszyscy prawie wiedzieli, iż żona nieboszczyka znajdowała się także w mieście, plątano ją nawet po trosze do wypadku... Niektórzy sądzili iż się znajdzie na pogrzebie, lecz nie pokazała się wcale; przyszedł tylko, zapewne z jej rozkazu, rotmistrz Poręba, i stanął z daleka. Orszak żałobny, z muzyką, pochodniami i całą wspaniałością, na jaką obrządek protestancki zdobyć się może — pociągnął powoli... a lud nasyciwszy ciekawość rozplynał się, ażeby jutro zapomnieć o widowisku.

Powozy późnym wieczorem przywozły Laurę i Basię z Eliaszem do domu... Stary sługa oświadczył swej panience, że najlepiejby zrobiła, gdyby się do Tyszków przeniosła...

Dom, w którym tak tragicznie i nagle skończył ojciec, był nadto przykrem dla niej wspomnieniem... Zostałaby w nim sama... Bezpieczeństwo nawet wymagało, by, póki się coś nie obmyśli, schroniła się pod przyjacielską opiekę poczciwych ludzi.

— Tembardziej, panienko moja, dodał cicho Eliasz, iż ja was opuścić muszę!

— A toż dla czego? dla familji twej?

— A! nie! Bóg widzi! nieboszczyk mi dał zlecenie do Borowiec, które spełnić mi pilno. Pozostały tam... różne rzeczy... te trzeba ratować, inne poniszczyć. — Wątpię, by panna wróciła tam kiedy... ja także... boć jej nie opuszczę. Aron powinien pomódz. Starościny nie ma na miejscu, trzeba z tego korzystać...

Laura chciała, żeby Eliasz wypoczął. Potrząsnął głową.

— A gdzie zaś odpoczywać! rzekł łysinę gładząc, niech-no później, nie teraz... jest co robić. Jabym jednej minuty tam rad być i nazad powrócić.

Jak chciał tak zrobił Eliasz, bo nazajutrz już go w Warszawie nie było... Popędził jak tylko mógł najżywiej do Borowiec, starając się tam przybyć w nocy i wprost do Arona...

Wiadomość o śmierci Dobka lament prawdziwy wywołała w całym domu poczciwego Izraelity; stary w pierwszej chwili wzruszenia, choć może nie godziło mu się to, z wielkiego żalu suknię na sobie rozdarł i płakał. Lecz chwili nie było do stracenia... wyszli na cichą, długą naradę do alkierza, i siedzieli w nim prawie do dnia... Nazajutrz nikt ani mógł poznać, iż w gospodzie Eliasz siedział ukryty.

Dopiero następnej nocy, zebrawszy co najwierniejsze sługi starego pana, wzięwszy z sobą Arona, Eliasz wyruszył ku zamkowi. Zarządzał nim i całym majątkiem w niebytności wdowy, z ramienia jejznaczony Będziewicz. Znano jego obyczaje i postawiono mu potajemną straż, aby się ruszyć w nocy nie mógł, a na wypadek wszelki miano go zakneblować i związać, gdyby próg przestąpił.

Trzech ludzi zeszło do lochu z Eliaszem, który kryjówkę odemknął i przy sobie kufry ładować kazał. Wybrano największe i najmocniejsze, i cały ów skarb, który wszystkich skrzyń nie wypełniał i nadebrany też był w ostatnich czasach, we trzech się pomieścił. Te natychmiast pod strażą Arona do stojącej w gospodzie bryki zaniecono. Ludzie obficie wynagrodzeni, poprzysięgli najuroczyściej milczenie. Gdy kryjówka była pusta, Eliasz odesławszy Arona, aby do podróży konie i wóz opatrzył, sam z dwoma ludźmi splondrował pokoje Laury, i pozabierał z nich, co sądził, że jej mile być mogło... Naostatek zstąpili jeszcze do lochów, i tam dobrą godzinę zabawili... Wyszędłszy z nich Eliasz okopcony, znużony — ucałował swych towarzyszków płacząc, i pośpieszył do bryki, wyładowanej sprzętem i kufkami tak, że za kupiecką uchodzić mogła. Dla większego bezpieczeństwa, jechał z nim Aron i dwóch z Borowiec starych dworaków.

Nadedniem pośpieszając jak było można, aby nocą się jeszcze w lasy dostać... przy znajomości drogi i miejsc, z ostrożnościami wielu, dobili się do niwy, na której odpocząć mogli.

Szarzało właśnie, ale od strony Borowiec na niebie wypogodzonym podniósł się najprzód słup dymu ogromny, a w chwilę potem luna oświeciła widnokrąg. Słaba w początku, zwiększała się, rosła, rozszerzała i zajęła całą tę stronę nieba, gorejąc tak silnie, iż poranku światło długo gasiła...

Gdy słońce weszło, czerwonosc ta zamieniła się w bure dymy, które unosiły się szeroko nad lasami, a zgorzeliznę w lesie silnie czuć było. Aron, Eliasz i wszyscy w milczeniu, ze łzami w oczach patrzali na ten pożar, wiedząc co się pali...

Około dziesiątej rano, nadbiegł konno wnuk Arona...

Rzucili się wszyscy ku niemu...

Opowiadał, iż nad ranem nie wiedząc z jakiego powodu powstał na zamku pożar dziwny, bo zdawał się z lochów pochodzić. Wszystkiemi otworami ich buchały najprzód dymy, potem płomienie... Od nich zajęła się brama mieszkalna, stajnie, potem nawet zabudowania folwarczne... a nie było komu ratować, bo nikt do ognia iść nie chciał. Będziewicz ze swojemi kilku Smołochowcami, ledwie swoje węzłki mógł uratować... Z mieszkania pańskiego, na którym już był dach runął, zostały, jak mówił posłaniec, mury tylko...

W wielu miejscach sklepienia się pozawałały i zionęły ogniem... Groby także miały być spalone, a w miejscu, gdzie były ogródki Laury, pozapadała ziemia, i wygorzały jamy głębokie...

Ludzie smołochowscy w pierwszym popłochu chcieli uchodzić do domu, ledwie ich Będziewicz powstrzymał.

Bito we dzwony w kościele i w cerkwi, bo plebania też była zagrożona, i tu zebrała się kupka ludzi na ratunek probostwa i kościoła, ale do dworu nikt iść nie chciał.

Będziewiczowi stary jeden wprost powiedział:

— A po co? Stary nasz pan poczciwy nie żyje, panienki naszej nie ma, dla przybłądów co majątek zrabowali i przywłaszczyli, mamy dach ratować? Bodaj i oni tak z dymem poszli jak to, co nam było drogie!

Będziewicz chciał się do starca porwać, lecz go powstrzymali inni, nie było bezpiecz- nie...

Wypocząwszy na polanie, bryka Eliaszowa znajomymi drogami powlokła się dalej w las, a w Borowcach tak poczciwie tajemnicy dochować umiano, iż nikt z obcych o byt- ności starego sługi na zamku nie wiedział.

Nazajutrz, oglądając zgorzeliska, musiał się ks. Żagiel czegoś domyślać, bo do rozwa- lonej murów zagładając, zobaczył loszek ów w skarbcu z bokiem otwartym, a wiedział od rotmistrza, że tam próżno kryjówki szukano wprzód. Ponieważ ogień to miejsce pod sklepieniami najmniej był uszkodził... ksiądz rozpatrując się, świeże znalazł znaki bytno- ści i roboty ludzkiej. Ciągnięte kufry ciężkie, porysowały wschody, mur był jakby tylko co poobijany... papiery różne porzucane z ponotowanymi summami...

Po bliższym rozpatrzeniu, ogień też widocznie się pokazywał podłożonym ze wną- trza... W zborze, gdzie książki, papiery i różne drzewo mocno gorzało, sklepienie się spękało tak, że kaplicę i salę z góry widzieć było można... Ks. kanonik z podziwienia wyjść nie mógł, dopatrzwszy tych tak długo a starannie ukrywanych tajemnic... Z jego rozkazu wydobyto niestopiony kielich i kilka niedopalonych ksiąg... Były to żywe dowody tego skrytego kacerstwa, które dopiero pożar odsłonił.

Zamek leżał już teraz w ruinie na wieki pewnie, gdyż mury jeszcze cały następny dzień kawałami z loskotem wielkim waliły się, a ogromny ich ciężar trząsał sklepienia tak, że gdzie dawniej bezpiecznie przechadzać się było można, teraz kroku kanonik nie mógł zrobić, bo mu się z pod stóp usuwały gruzy... Palił się do wieczoru, gorzało następną noc... i lejąc wodą, ledwie trzeciego dnia zupełnie wygaszono tlejące w głębinach reszty drzewa i sprzętów.

Ks. Żagiel uważał to zniszczenie za jawny znak pomsty bożej nad kacerzami, których gniazdo, jak Sodom i Gomora, ogniem strawione zostało.

Prawie równocześnie z potajemnym wyjazdem Eliasza, Będziewicz przerażony strasz- liwym pożarem, który zamek zniszczył do szczytu, namyśliwszy się i za poradą ks. Żagla wyruszył z doniesieniem do pani do Warszawy. Szkody były tak znaczne, a rozprzęże- nie w gospodarstwie od niejakiego czasu tak się mocno czuć dawało, iż mimo całej swej energii, młodzieniec ten nie mógł sobie dać rady.

Dniem i nocą zdążając do Warszawy, przybiegł nareszcie, gdy już pani Dobkowa nieco ochłonawszy z pierwszego wrażenia i strachu, włożywszy żalobę, w której bardzo jej by- ło do twarzy, rozmyślała, czyliby jako strapiona wdowa, nieszczęśliwa sierota bez opieki, jeszcze ze swego położenia nie mogła jakiego uczynić użytku. Generał dotąd wstrzymywał się od uczęszczania do jej domu i o sobie znać wcale nie dawał; innemi wszakże drogami spodziewała się niezawodnie pani Dobkowa wyzyskać sobie posiadanie Borowiec choć- by czasowo, które rachunkami przeciągaćby się dało do nieskończoności. W istocie rada pana generała co do ucieczki Dobka była może trafna, ale w wypadku śmierci nie przewi- dywała praw córki i reszty rodziny Dobków do pozostałości. P. Tyszko widząc, że z Laurą nie ma co o tem mówić, wysłał zawiadomienie do Konopnicy. Tymczasem przybyły Bę- dziewicz, którego sam widok przeraził wdowę, bo jej coś nadzwyczajnegozwiastował, na pierwsze pytanie, z czem przyjeżdża? oznajmił iż Borowce, zamek i dworskie zabudowania ze szczytem spalone zostały. Dodawał, iż nie było wątpliwości najmniejszej o podpale- niu, pożar bowiem wybuchł nagle z podziemi zamkowych. Na tę wieść bez ogródki jej przyniesioną i rzuconą bez przygotowania, Dobkowa mdleć zaczęła ze spazmatycznym krzykiem; a Różia i Będziewicz ratować ją musieli. Dotknęła ona nieszczęśliwą niewiastę silniej pewnie niż wiadomość o śmierci męża... Z załamanemi dłońmi padła w krzesło płacząc i zachodząc się... Dopieroż nastąpiły mnogie pytania o poniesionych szkodach, o szczegółach tego nieszczęścia, o dacie i trwaniu ognia, o tem co potrafiłono ocalić,

a czego było bardzo mało... Będziewicz przywiózł i list ks. kanonika z opisem pogorzeli a domysłami jego o jej przyczynach i o wypróżnieniu skarbczyka.

Ta nowa klęska dotknęła tak panią Dobkową, i wyrwała ją z apatii, w której jakiś czas wyczekiwała wypadków, iż nie oglądając się na to, jak będzie przyjęta, postanowiła jechać do generała.

Sapory nigdy nie można było zastać w domu, nie przyjmował u siebie i starał się być tam jak najmniej. Ode drzwi więc odprawiono ją grzecznie, odpowiadając, iż nie mogą przewidzieć dnia ani godziny, gdy generała zastaćby mogła. Przygotowany list zostawiwszy, pani Dobkowa powrócić musiała. Prosiła ona w nim generała, ażeby do niej przybył co najrychlej.

Ponieważ ze sprawy Lassy, którą ścigano listami gończemi, żadna odpowiedzialność nie spadała na panią Dobkową, generał udobruchał się, nabrał odwagi i przybył do niej wieczorem. Wdowa miała się czasnamiślić nad postępowaniem względem niego, i przywitała go chłodniej niż zwykle.

— Darujesz mi, moja królowo, rzekł generał na wstępie, jestem w takim położeniu, iż najmniejsza kompromitacja mogłaby mnie zgubić; mam wielu nieprzyjaciół, potrzebuję być bardzo ostrożnym. Wiadomo powszechnie, iż ta nowa Brinvillers bywała u asindźki...

— Bywała przecież w tysiącu domach w Warszawie... odezwała się Dobkowa.

— Tak, ale struła tylko jednego męża jejmości dobrodziejki, odparł generał. Łajdaki te adwokaty mają przysłowie, którego szczęściem asindźka, nie rozumiejąc po łacinie, nie znasz: *Is fecit cui prodest*. Ten to zrobił, komu służy... Mogliby z tem daleko zajść.

— Ale cóż to mnie obchodzi! co to się do mnie ma ścierać!

— Przypuszczam chętnie, iż w tem udziału mieć nie mogłaś, dodał Sapora, ale zbytnią gorliwość głupiej kobiety wyprzedziła może jej... życzenia; w tłumaczeniu mogłaby te życzenia przypomnieć... i koniec końców skompromitować...

— Przecież jej nie ma nawet!

— I daj Boże, aby resztką tego proszku sukcesyjnego sama się poczęstowała, rzekł generał; jest to, coby mogła najrozumniejszego uczynić.

— A wiesz pan co mnie za nieszczęście spotkało?

— Czy jeszcze co nowego?

— Podpalono dwór w Borowcach i zniszczył zupełnie.

— A! to fatalnie, odparł Sapora, chociaż na miejscuwaszem, szanowna starościno, jaby to wyzyskał, bo juściż mogłaś tam mieć ogromnego szacunku swoje sprzęty i ruchomości, co ci się do zwrotu należy. O interesie mówiłem z prawnikami, radziłem się, powiadają: zawsze córka coś wziąć musi, ale nie mniej i wy. Tymczasem zaś majątek trzymać i wytrzymywać będziecie. Na to przywilej czyli też wyrok da się wyrobić za jakie tysiąc dukatów, ale trzeba dobrze chodzić, bo są inni Dobkowie, a ci przyjdą też z pretensjami i w obronie praw swoich...

— A gdybyś mnie generał przedstawił N. Panu? zapytała wdowa.

Sapora popatrzał na nią i rozśmiał się.

— E, kochana Sabinko, zawołał, jeśli myślicie, że jego tak łatwo oczkiem ująć, jak nieboszczyka pana Dobka, to się mylicie... Widzi on codzień uśmiechających mu się gąbek bez miary; myślę, że to go prędzej już nudzi niż bawi. To się na nic nie zdało i pieniędzy ci nie oszczędzi. Będziemy chodzili około interesu w inny sposób...

— Jednąbym rzecz doradził tylko, jeśli możliwa, żebyś waćpani przez dobrą politykę choć spróbowała zbliżyć się do córki nieboszczyka...

— A! uchowaj Boże! krzyknęła starościna, ona mnie ani przyjąć, ani mówić ze mną nie zechce!

— W takim razie pójdzie to też na waszą korzyść... Będziesz waćpani miała za sobą, że pierwsza pragnęłaś zgody, że od niej nie odbiegasz i że cię do kroków tych zmuszono.

Dobkowa zamilkła.

— Widzisz moja dobrodziejko, dodał z szatańskim uśmiechem Sapora, gdy się ma komu stołka podstawić, trzeba zawsze tak rzeczy stroić, by się wydawało, iż się go siedzieć prosiło; gdy się robi dla siebie, niech się zdaje, iż z najczystszych pobudek poświęcenia!.. Co acani chcesz? rzekł: świat stoi na takich szalbierstwach, i znam ludzi co za Arystydesów uchodzą, choćby dawno stryczka byli godni.

Wdowa oceniając wysoką politykę swojego mentora, nic odpowiedzieć nie mogła.

— Już to z aryjańskiej beczki trudno co zaczerpnąć, wszystko ze zgonem jegomości się skończyło. Procesa kryminalne z nieboszczykami się też nie prowadzą; ale *beatus qui tenet*: jejmość trzymasz majątek, i umiejąc chodzić koło tego, możesz go wytrzymywać do nieskończoności, coś kapnąwszy dla córki...

Po dłuższej jeszcze, równie praktycznej naradzie z panem generałem, Dobkowa pożegnała odjeżdżającego prośbą, aby o niej nie zapominał, a sama nazajutrz, choć z wielkim dąsaniem i rzucaniem się przeciw nieznośnemu przymusowi, kazała konie zaprządź, by Laurę odwiedzić. Ludzie jej doskonale wiedzieli gdzie się znajdowała.

W południe tedy zaszła karetą, i Dobkowa w grubej żałobie, wyruszyła do dworku Tyszków. Gdy powóz zatoczył się przed ganeczek a służący poszedł oznajmić o swej pani, długa minęła chwila nim przyniósł odpowiedź.

W istocie Laura nie mogła od razu pojąć zuchwalstwa tych odwiedzin, nie dowierzała uszom, gdy jej tę wizytę oznajmiono... Byłaby może sługę w gniewie odprawiła nie wiem jak, gdyby nie pośrednictwo Basi, która zastępując ją, kazała powiedzieć, że pani chora... Karetą potoczyła się, krok był zrobiony... Dobkowamogła już głosić, iż wyciągnęła rękę, ale została odtrącona. Cel był osiągnięty.

Tyszkowski nie wiedząc wcale o stosunku Laury do Dobków Konopnickich, wyprawił ku nim potajemnie list z oznajmieniem o tragicznej śmierci pana Salomona. W chwili, gdy tam spodziewano się wiadomości całkiem innej, przeraził posłaniec przynoszący złowrogą nowinę; chorąży ruszyć się nie mógł, Honory nastęrczał i śpieszył, tak, że Zosia urażoną się nawet czuła tym pośpiechem, w chwili, gdy miała wielkie prawo żądać, by pozostał przy niej, będąc blizką słabości.

Tłómaczył go nadzwyczajny wypadek i nagłość interesu... Wyjechał więc, mimo leż Zosi, tegoż samego dnia, wziął konie pocztowe i przybył wprost do dworku Tyszki. Laura od śmierci ojca jedyną pociechę znajdowała w Biblii i siedziała w niej zatopiona, sama jedna, gdy ujrzawszy przed sobą Honorego, który zobaczywszy ją tak zmienioną i bladą, padł na kolana przy powitaniu, korzystając z tego, że nikogo nie było.

Laura też zapomniawszy się, chwyciła go za głowę i pocałowała w czoło, ale natychmiast opamiętawszy się odepchnęła... Wstała odrzucając włosy, i załamawszy ręce zawołała:

— Dotknął mnie Bóg! a! strasznie dotknął, może za karę... Śmierć, niczemby była śmierć, ale taka, jaką on poniósł, męczeńska, straszna, której obraz i pamięć nie wychodzi mi dotąd z myśli. Biedny ojciec! Przeczuwałam to dawno... ale do dna przepaści oko sięgnąć nie śmiało.

— Co ja teraz pocznę z sobą? zawołała, gdzie się podzieję?

— Ale nasz dom jest twoim, przerwał Honory... a Laura usłyszawszy to, potrząsła głową i rękami.

— Nie, nie, rzekła, to być nie może... ani do Borowiec nie wrócę, niepodobna mi, choćby tam nawet nie królowała ta nienawistna kobieta, która śmiała grać rolę wspaniałomyślną i przyjeżdżała tu domnie. Ona! do mnie! Brońcie waszego majątku, poczęła żywo, bo ja go ani wezmę, ani korzystać będę z tego cmentarza moich najdroższych pamiątek, ale nie chcę, by go profanowały ręce tej przeklętej, które śmierć zadały ojcu mojemu...

— Jakto? ona?

— Nie rękami, lecz... natchnieniem pewnie była współuczestniczką tej zbrodni. Któż może wątpić o tem? Co miała za interes ta jędza, jej posłannica, spełniając takie morderstwo na starcu bezbronnym?

— A! to okropnie! rzekł Honory, tego nawet odsłonić niepodobna...

— Aby plamy na imię, które nosi jeszcze nie ściągnąć... Lecz wygnąć ją z tamtąd, lecz wydrzeć jej to, co nieprawie posiada, wy macie obowiązek i prawo... dodała Laura. Do tego wzywam chorążego i ciebie, zrzekając się nawet praw do spadku...

— Ale ty sama... szepnął Dobek.

— Mnie niepotrzeba wiele, a mieć będę więcej niż mi potrzeba! Borowce wasze, jeśli je odebrać potraficie...

Po chwili milczenia, Honory zbliżył się chcąc ją uspokoić.

— Przekaż interes panu Tyszcze, rzekła po chwili, a sam powracaj. Dla Zosi i dla mnie nie życzę sobie dłuższego pobytu waszego. Nie umiem kłamać, mój Honory... miły mi był

był dla mnie, ale każdy dowód twego przywiązania jest odkradzionym ze skarbonki biednej Zosi... Niechcę byś ty był złodziejem dla mnie, a ja...

— Przecież choć w tej chwili żałoby, odezwał się chorążyc, wolno mi przynieść ci pociechę, otuchę i pomoc...

— Życie moje niepokieszonym już być musi, rzekła Laura, takie przeznaczenie. Miałam szczęśliwe dni dzieciństwa i ich wspomnieniem żyć będę...

— Lecz nie pozostaniesz tu przecie? spytał Honory.

— Nie wiem co uczynię z sobą, rzecz to obojętna teraz... Wszędzie gdzie będę, poniosę z sobą dolę moją... mój Honory, niechże jej nie obciążają zgrzyzoty... i wstyd samej siebie, niech zostanę godną mojego dobrego ojca i tego ideału, jaki sobie dla Laury wymarzyłam w młodości...

Honory stał milczący, poglądając na nią z boleścią...

— Życie się moje skończyło dla mnie, rzekła, trzeba je zużytkować dla ludzi...

VIII

W Teperowskim banku, który naówczas był jednym z najsłynniejszych w Europie, i miał jeszcze kredyt prawie nieograniczony, przy pulpicie, z piórem w ręku nad ogromną księgą, którą jeszcze dziś jako osobliwość widzieć można złożoną w archiwach Królestwa, stał średniego wieku mężczyzna ubrany według najostatniejszej mody i ziewał...

W oddaleniu rzędem idące pokoje pełne były zajętych kancellistów przy pulpitych i stołach... ów pierwszy komissant Teperów, w bardzo starannie ułożonej peruce, w pończochach i trzewikach, z batystową chusteczką zatkniętą za kamizelkę, przestępował z nogi na nogę, patrzył w okno, spoglądał na zegarek, tupał niekiedy niecierpliwymi nogami; maczał pióro i na końcu jego przeciw światła szukał włosa, kładł je i brał znowu... ale ostatecznie nie robił nic... Ze stolika obok stojącego chwycił list z kupki na nim przygotowanej, patrzył nań oczyma osowiałymi i rzucał nazad, nie wiedząc, jak się zdaje, o co chodziło. Z dziesięć razy przeszedł się po pokoju i wrócił do pulpitu, tyleż zaglądał na kameryzowany zegarek z łańcuszkiem wysadzonym brylantami, poprawiał i odgarniał mankietki... Każda z tych czynności kończyła się takim ziewnięciem, iż godziło się chyba domyślać nocy spędzonej na maskaradzie w pałacu Radziwiłłowskim.

Gdyby nie stał przy pulpicie i kiedy niekiedy nie trzymał pióra, nigdyby się domyślać nie było można, że grał tu jakąś czynną rolę w banku, bo na biuraliście pracowitego nie wyglądał wcale...

Prawda, że i bank Tepera nie był podobny do tych innych zagranicznych, w których od kilku pokoleń jedne meble, stoły i zestarzały officialiści, z regularnością zegarka biuru służą. Tu wszystko było tak elegancko i fantastycznie jak naówczas u nas wszędzie... a wesoło, a ochoczo... Pieniądze sypały się i wysypywały przy odgłosie radosnych uśmiechów i oklaskach publiczności, rachunki prowadziły się od niechcenia, a biuraliści Tepera byli ludzie z gustem i wykształceniem. Nikt tak nie tańczył menueta i kadryla jak oni. I nie byli to starzy nudziarze drobnostkowi w rozpatrywaniu bagatelnych rzeczy, lecz ludzie bardzo przyzwoici, salonowi, po przyjacielsku zajmujący się pieniędzmi publiczności. W teatrze, na balach, przy stolikach gry mógłś ich spotkać, zapoznać się, zbliżyć z nimi i nawet czasami zrobić mały interesik jaki.

W biurze sam Teper nie pokazywał się prawie nigdy, synowie nogą w niem nie postali... Za to ekwipaże jego i ich, i pani, i tych pań, które były w przyjaźni ze starym i z młodymi, za najświetniejsze w Warszawie, ich stajnie za najpiękniejsze, ich obiady za najwytworniejsze uznane były.

Pierwszy kommissant Teperowskiego banku musiał na coś oczekiwać, bo widocznie był niespokojny; kwadransy upływały nadaremnie.

Naostatek wszedł jegomość niepoczesny, otyły, starą modą ubrany, przygarbiony, a elegant od biura poskoczył ku niemu.

— A cóż? spytał, a co?

— Rzecz jeszcze niezupełnie zdecydowana, ale — prawdopodobnie wpłynie do kassy ten kapitał.

— Cały? spytał chciwie elegant.

— Wątpię, bo chcą coś kupić.

— Na cóż mają kupować? po co? majątki stoją wysoko, procent dają lichy!

— Chcieliby pewności.

— Jakaż większą im może kto dać nad Teperowski bank zawołał elegant z dumą i szyderskim podziwieniem, iż ktoś na świecie mógł tę prawdę nad słońce jaśniejszą podać w wątpliwość. Ale, mój panie — dodał skwapliwie: my się nie nabijamy... nie wpraszamy, pieniędzy mamy aż nadto, nie wiemy co robić z nimi... czynimy im łaskę przyjmując summę tak znaczną, która rozchwytana przez innych, narażona być może na stratę. Zresztą, jak sobie chcą... jak sobie tam chcą!

I począł widocznie zmięszany, ręce włożywszy w kieszenie, chodzić po pokoju.

— Waćpan mnie może nie zrozumiałeś, rzekł po chwili: musiałeś postąpić sobie nie-
trafnie. Nie należało się nabijać... ale uczynić tak, by oni sami nas prosili o przyjęcie.

— Właśnie się to w ten sposób robiło, odparł stary. Jak tylko się dowiedziałem o kapitale, na który szukano pewnej lokaty, natychmiast przez trzecie osoby poddałem myśl lokowania u Tepera... rzucając nawet wątpliwość, czy Teper przyjmie... Tymczasem ktoś inny poddał im kupienie majątku...

— To ich otną! facjendarze podadzą im inwentarz przesadny, na grunt nikt nie zjedzie, pochwyć pieniądze i na tem się skończy... Waćpan powiadasz, że to tam jedna panna ma wszystko w ręku? Czyż nie ma opiekuna? czy nie ma krewnych? doradców? Około tychby chodzić trzeba, żeby — w *interesie ludzkości*, nie dać jej uczynić krzywdy.

— Tak! tak! w interesie ludzkości, powtórzył niepoczesny jegomość; ja też to w ten sposób im mówiłem... Rzecz jeszcze nie zdecydowana, ale dziś pewnie się rozstrzygnie.

— Od kogoż to zależy?

— Jest tam pewny dziwak, Tyszo... jest archiwista regent... także niejasna figura — i — młody krewniak panny Dobkówny z Konopnicy... Ale podobno sama tam panna wyrokuje... choć jeszcze bardzo młodziuchna, a mówią, energiczna i rozumna.

— Tego Dobka co to go otruto...

— Córnica... tak, rzekł niepoczesny, piękna bardzo panna... Szczęśliwy kawaler co jej rączkę pochwyty... Parę milionów w złocie... i osoba urody wielkiej a rozumu szczerzego.

— Któż im dobra stręczy? zapytał niecierpliwie elegant; to chyba nieprzyjaciel. Któż teraz kupuje ziemię?

— Wszystko im to mówiłem, iż ziemia na nic, że teraz przemysł, mości dobrodzieju, grunt, banki, giełdowe obroty... ale oni tego nie rozumieją... to są ludzie ciemni.

— I z ciemnoty ich ktoś skorzysta! zawołał elegant. Ale idźże bo waćpan tam nazad, nastęrczaj się, podchodź, i w *interesie ludzkości* obroń ich od rabusiów.

Niepoczesny jegomość stał przed progiem poprawiając pasa.

— A jeżeli się uda... tam? spytał, to...

Elegant spojrzawszy nań, resztę niedopowiedzianą z oczu wyczytał; przystąpił doń blisko i rzekł cicho:

— Ćwierć procentu... to jest zawsze bardzo piękna sumka!

— Bardzo piękna sumka, nie przeczę, gładząc nieogoloną od dwóch dni brodę, szepnął niepoczesny; nie ma słowa, lecz i interes też — nieszpetyny!

— Cóż waćpan myślisz, iż dla Tepera tych nędznych trzykroć sto tysięcy czerwonych złotych...

— Przepraszam pana Salezego, nie są one wcale nędzne, rzekł niepoczesny, nawet dla Teperów... i Szulca.

Elegant ruszył ramionami.

— Pół procentu, przebaknął stojący w progu — tam?

— To się obejdziemy bez tego... zawołał elegant...

— Do nóg upadam, kłaniając się chłodno dosyć odezwał się niepoczesny; nóżki całuje.

Już miał wychodzić, gdy komissant za nim poskoczył, spozierając na zegarek:

— Waćpan jesteś wydrwigrosz... jak to można? jak to można żądać takich datków, gdy my im łaskę robimy?... gdy wspaniałomyślnie pańską pracę oceniamy i przez wzgląd...

Wstrzymawszy się w progu, rękę położywszy na kłamce, niepoczesny słuchał impetycznej mowy eleganta, a w końcu śmiechem parsknął. Scena się zmieniła, elegant zacołał i zaczerwienił, niepoczesny z innego począł tonu, ale cichutko, aby rozmowa do drugiego nie dochodziła pokoju.

— Kogoż jegomość chcesz durzyć? hę? Kto tu wydrwigrosz? hę? Wolno tym żółto-brzuchom nie wiedzieć jak wy stoicie i w Tepera wierzyć jak w Pana Boga, ale ja jestem mały człeczyna, biedota, i umiem przecież rachować!

Gdybyście nie byli bankrutwa blizcy, z czegożbyś waćpan utrzymywał konie i pannenki? z czego by stary Teper dostarczał na marnotrawstwa pani B... a pani Teperowa panu K...? z czego by synowie konie po pięćset dukatów płacili? czemuście wy grali i zkąd na przegrane starczyli?

Widząc, że elegant stał struchlały ze strachu, by go w drugim pokoju nie usłyszano, niepoczesny mówił ciągle:

— Ja się będę tylko śmiał, gdy wszystkich trutniów i marnotrawców, i bogaczów wpędzicie w matnię! Dobrze! niechaj pracują! niech razowego chleba spróbują! niech też rączki namulać raczą! Mnie to wszystko jedno... Ich zrujnować wam wolno, a mnie biedaka krzywdzić! wara! nie godzi się! Jać wam służę... a chcecie zbyć mnie psim śwędem... niedoczekanie!

Miał już wyjść i drzwi za sobą zamknąć, gdy elegant go dopadł.

— Czyś waćpan oszalał? zawołał.

— Nie, przy zdrowiuteńkich jestem zmysłach, wierzcie mi... i dla tego nie zrobię nic, aż mi zapłacicie jak należy.

— No! no! klepiąc go po ramieniu i uśmiechając się odezwał elegant: to i to były żarty, waćpan się na tem nie znasz... Da się ile należy, zgoda! mniejsza o to.

— *W interesie ludzkości!* po cichu zakończył przybyły. A zatem idę do roboty. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

To pozdrowienie po tej rozmowie dziwnie brzmiało; elegant na nie odpowiedział ukłonem tylko.

W kwadrans potem zahuczało przed oknami, i czterokonny faeton zaprzężony angielskimi końmi z liberją o herbach wydatnych zatoczył się przed ganek, a z niego wysiadł mężczyzna już niemłody, pańsko a raczej spanoszało wyglądający, z maltańskim krzyżykiem u fraka... Elegant stanął co najprędzej przy pulpicie, umoczył pióro i przyłożył je nawet do papieru... drzwi się otworzyły, przybyły wszedł głośno i posuwisto...

Był to sam Teper, głowa domu.

Zbliżył się do swego pierwszego komissanta oglądając niespokojnie po pokojach, przystąpił doń tak, że prawie do ucha mu rzucił.

— A co? a co?

— Jeszcze nic... tylko co był tutaj ten co się o to stara... furfant to... chce już pół procentu...

— Daj mu cały, ale na miłość Bożą, potrzeba chwycić ten kapitał, waćpan wiesz, nie potrzebuję mówić... Za granicą zachwiany kredyt, potrzeba naprawić... w kraju także pilniejsze, krzyczące należności zapłacać, choćby procenta... a kassa jest próżna..

— Prawie... to prawda.

— Więc nie ma się co drożyć...

— Zgodziłem się na pół procentu... Najgorsza rzecz, dodał po cichu elegant, iż już pono całych trzechkroć nie oddadzą... Chcą dobra kupować.

— Należało im to odradzić.

— Z tem poszedł właśnie.

— Ale kiedyż się to rozwiąże?

— Myślę, że dziś jeszcze... Tak znacznych summ w domu trzymać nie chcą...

— Bardzo słusznie! Teper zatarł ręce. Pracuj waćpan nad tem... wszystko zależy od tego kroku... zaufanie powróci, *nous payerons à bureaux ouverts* przez parę dni, potem nam pieniądze nosić będą więcej niż potrzeba.

To mówiąc, Teper wbiegł już do drugiego i trzeciego potem pokoju, kłaniając się z lekka swym biuralistom: dobył zegarka... spojrzął na listy przygotowane dla niego, zabrał je do kieszeni, zawrócił się, przeszedł śpiesznie wszystkie pokoje nazad... pożegnał eleganta i skoczywszy do powozu odjechał.

Zaledwie powóz odszedł od zamku, gdy już drugi się zatoczył... Był on równie wytworny jak pierwszy, a tem się różnił od niego, iż młody człowiek w nim siedzący sam powoził. Oddawszy cugle mastalerzowi wyskoczył i wpadł do biura, witając eleganta wesółym uśmiechem.

Poklepał go po ramieniu, odprowadził do okna, poszeptał coś do ucha i dokończył głośno. Tylko prędko.

— Niepodobieństwo! zawołał elegant.

— Ale proszę cię? taka bagatela?

— Tak, istotnie, bagatela, lecz dziś właśnie mamy ich tyle...

— A dla mnie? mój drogi! Ojciec tu był przed chwilą?

— Był, i właśnie...

— Nieznośny stary... Traci na tę Karolinę, a my musimy głód cierpieć!

Elegant się rozśmiał.

— Czyż głód?

— Naturalnie, że głodem to nazywam, bo kogo wychowano do pewnych wygód, należy mu ich dostarczać, *c'est strictement logique!* A więc?

— Dziś, słowo daję, nie mogę!

— Cóż ja pocznę? biorę cię za sędziego, dług honorowy!

— Trzeba się udać do ojca.

— Gdzie ja go znajdę? Lata po mieście, oddaje wizyty... Wiesz, daje wielkie śniadanie...

Elegant nie odpowiadając stał w miejscu dosyć znudzony.

— Więc jakże będzie?...

— Nie mogę...

— Niechże cię kaduk porwie! krzyknął wybiegając młodzieniec, trzasnąwszy drzwiami za sobą.

Przez okno elegant popatrzał tylko i ziewnął.

Godzina obiadu jego na Tłomackiem zbliżała się, chciał bardzo wyjść z tego nudnego biura od ciężkiej nad miarę pracy... a coś go tu jeszcze snadź przytrzymało. Naostatek znudzony brał się już do kapelusza, gdy znowu zaturkotało. Powóz podobny do Teperowskiego, w którym siedział mężczyzna i młoda, nieładna, lecz bardzo wykwinnie ubrana, mała, zręczna i ruchawa kobiecina, zatrzymał się przed zamkiem znowu. Na twarzy eleganta znać było, że żałował tego, iż się nie wyniósł zawczasu. Chciał nawet wybiedz i skryć się w sieni, gdy wpadł młody mężczyzna z kapeluszem na głowie. Był to Szulc, zięć Tepera i współnik.

— A! dobrze, żem waćpana zastał, zawołał: tysiąc dukatów! trzeba mi zaraz tysiąc dukatów, tylko prędko!

Biuralista stał zmieszany z początku, potem nagle dobył zegarka i wskazał godzinę.

— Kassa zamknięta.

— Ba! dla mnie...

— Kassjera nie ma.

— A! coż znowu! krzyknął Szulc; jakież u was porządek, proszę cię?

Elegant zamilczał.

— Więc, bardzo dobrze, dodał Szulc z wyraźnym nieukontentowaniem: to mi je proszę przysłać po południu.

Popatrzeni na siebie, komisant ruszył ramionami.

— Dla czego mi nie odpowiadasz? zapytał Szulc.

— Cóż panu powiem? rzekł biuralista: w tej chwili są ogromne wypłaty, od których kredyt domu zależy. Z zagranicy chybiły nam wpływy; bank holenderski, który wczoraj miał nadesłać, milczy; tymczasem nas tu napierają. Niepodobieństwo...

— Ale, mój panie, tysiąc dukatów dla Tepera i Szulca! ha! ha!

— Są chwile... odezwał się elegant.

— *Mais cela n'a pas le sens commun! Tout le monde puise à la caisse*, a gdy ja przychodzę z taką fraszka...

— Być może, iż jutro rano...

— A ja potrzebuje dziś! podchwycił Szulc.

Komisant zamilczał.

— Gdzież jest *le Chevalier Teper*?

— Był tu przed chwilą.

— Muszę się z nim rozmówić, bo widzę, że z waćpana nic nie dobędę...

— Szczególniej pieniędzy, dziś — to istne niepodobieństwo, odezwał się elegant; trzeba mieć trochę cierpliwości.

— Miałem jej aż do zbytku, teraz jednak zaczyna mnie ona opuszczać, dodał Szulc nakładając kapelusz zdjęty przed chwilą.

I bez pożegnania powrócił do powozu, w którym kręcąc się oczekiwała nań młoda kobiecina.

Patrzył na zawracający się powóz, szczęśliwy, że się uwolnił *M. Louis*, i już rękawiczki nakładać zaczynał, gdy jeszcze raz się drzwi otworzyły... Hajduk tak wysoki, iż ledwie się mieścił w nie, wiódł pod rękę mało co mniejszego niż sam był pana, w stroju paradnym, ze wstęgą, ale w aksamitnych ciepłych butach i o lasce... Długa nad miarę, nalana twarz, którą podgolona czupryna jeszcze czyniła na oko ogromniejszą, z podstrzyżonym wąsem, oczyma wypukłemi, nosem rzymskim wielkiego kalibru, miała wyraz okrutnie pański i rozkazujący... Powoli rękę zgrubiałą podniósł do czapki przypatrując się elegantowi z pewnym rodzajem pogardy.

— Kto acan jesteś? zapytał.

— Jestem głównym urzędnikiem banku panów barona Tepera i Szulca.

— Barona? kiego djabła? jakiego barona? hę? spytał gruby, którego hajduk prowadził do kanapy.

— A tak... przecież wiadomo...

— Komu wiadomo? trzeba było ogłosić przez gazety, mówił sapiąc otyły jegomość. A gdzie sam ten baron Teper?

— Pan baron rzadko tu bywa.

— Nie raczy? hm... Wszystko jedno, a waćpan płacisz co komu należy? zapytał.

— Wyplacam, jeśli termin...

— Dawno minął... patrzajno acan, oto wasza karta... przeczytaj (to mówiąc wyciągnął z za kontusza fascykuł papierów, dobył z niego kartę i podsunął ją elegantowi). Pięć tysięcy czerwonych złotych z procentem...

Niezmiernie długo rozczytywał się, przewracał na wszystkie strony ową kartę *Mr. Louis*, patrzył na nią, namyślał się, i rzekł w końcu:

— Termin w istocie minął, hm! ale pan wojewoda pozwoli uczynić uwagę, iż odebrane na terminie pieniądze... zwykliśmy uważać za przedłużone na rok następujący i, do tego się regulujemy... Więc te pięć tysięcy zapisane są u nas jako płatne na przyszły Ś-ty Jerzy.

— A u mnie są zapisane jako płatne dzisiaj, rozumiesz mnie asindziej? hę? pretenduję, żeby mi były wypłacone, *stantepede*.

— To nie może być, panie wojewodo!

— Musi być, kochanku... inaczej powiem na rynku, że Teper i Szulc są bankruty, i oddam tem prawdziwą przysługę łatwowiernym, coby jeszcze gotowi wam pieniądze nosić.

Elegant pobladł straszliwie.

— Potrzebuję się odnieść do pana Tepera, rzekł cicho.

— Choćby do samego djabła, a ja mosterdzieju ztąd nie ruszam, póki rezolucji nie będzie.

— Ale biuro się zamyka...

— Gdyby się zamknęło niepotrzebnie, to moi hajducy wam drzwi wyłamią, odparł wojewoda, jam człek uparty.

Słyszając ten spór wszyscy pracujący w dalszych pokojach zbliżyli się z piórami w rękach i za uszami, tak, że drzwi całe zajęli. Elegant bladł i pocił się.

— Poszlej acan jednego z tych gryziپیórków, rzekł wojewoda do barona Tepera, i każ mu powiedzieć odemnie, że ja tu siedzę a z miejsca się nie ruszam, dopóki mi moich pięciu tysięcy nie zapłaci... a żadnym Jurym jak rak świśnie, i odkładką nie dam się wyruszyć. Co u kata! bankier, który kiepskich pięciu tysięcy dukatów nie może zapłacić... to łapserdak!

Elegant był oburzony, krew mu biła do głowy, porwał kapelusz i w passji zawołał:

— Jadę sam! ale pan wojewoda żałować będzie słów wyrzeczonych...

— Ja nigdy ani słów wyrzeczonych, ani pieniędzy wyrzuconych nie żałuję, rozumiesz acan! stukając pięścią o stół krzyknął wojewoda... A zwijaj mi się prędko, bom nie jadł...

M. Louis wybiegł jak z procy lecąc... Wojewoda sapał okrutnie. Hajdukowi kazał sobie szukać stołeczka pod chorą nogę, rozłożył się na kanapie i stękał. W pokojach dalszych gdzie pracowała młodzież, cichość była uroczysta, powoli wracano do stolików.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy trzy osoby weszły do tegoż pokoju... Był to pan Tyszko, pan Honory i stary Eljasz.

Wojewoda popatrzał na nich, a że siedział naprzeciw okien przyłożył rękę do czoła.

— Hę? Tyszko zdaje się? rzekł cicho.

— Do usług...

— Cóż ty tu robisz? z interese?... zapytał wojewoda.

— Tak jest... i ze znacznym.

— Masz co do odebrania...

— Nie, do umieszczenia...

Wojewoda spojrział na hajduka stojącego za nim.

— Staszku, rzekł spokojnie, na rany Chrystusowe, weź ty mi ich za plecy i grzecznie a pięknie wypchnij co najrychlej!

— A to co znaczy? spytał Tyszko...

— Żeś chyba oszalał u Tepera pieniądze umieścić! A toż bankructwo lada dzień, albo raczej lada godzina... To marnotrawcy! Ja tu siedzę dla pięciu kiepskich tysięcy dukatów i burzę tę Jeruzalem... a oni mi się jak piskorze wykręcają. Człowiecze! Panu Bogu dziękuj żeś mnie tu zastał, nogi za pas i uciekaj...

Tyszko osłupiał.

— Co? Teper i Szulc?

— Ja ci mówię, że bankruty! grosza w kasie nie mają! Skończyły się bachanalje! Teraz przyjdzie rachunek sumienia. Tyszko, czyjeż to pieniądze?..

— Sieroce, panie wojewodo...

— Wracając, wstąpcie wszyscy do kościoła i pomódlcie się. Znajdziecie gdzie może ołtarz Aniołów Stróżów...

Tyszko, Honory i Eljasz zbledli, słuchali przez chwilę, a tuż stary pierwszy ruszał do drzwi dawszy znak Honoremu.

— Pan Bóg sierotę uratował, rzekł; jak tylko wątpliwość jest... idźmy ztąd, idźmy! idźmy!

Honory wyszedł z nim razem, Tyszko pozostał.

— Widzę, że mnie masz za warjata, mój Tyszko, a ja ciebie też za takiego, mówił wojewoda, żeś mógł patrząc na postępowanie tych ludzi mieć w nich wiarę. A toć marnotrawcy! a toć szubrawce! Tytuliki sobie za nasze pieniądze kupowali, krzyżyki do pętelek. Marmuzele trzymali, konie z Anglii sprowadzali... ostrzygi im poczta woziła dla delikatnych żołądków... gdy my za to kapustą żyć musimy. Poczekać tylko trochę, zobaczysz, jak mi tu moje pięć tysięcy płacić będą...

Strapiony wielce, Tyszko usiadł.

— Istotnie, jakaś Opatrzność Boża czuwała nad sierotą rzekł cicho; wiesz pan wojewoda, ile ja tu przywiozłem?

Wojewoda popatrzał z boku...

— Cóż? parę tysięcy...

Tyszko się uśmiechnął trzęsąc głową.

— Pięć?...

— Gdzie zaś!

Wojewoda poskoczył od razu z niecierpliwości do trzydziestu — i patrzył. Tyszko ramionami ruszył.

— Coż u kata! czyś wielkiego mongoła zrabował?.. sto tysięcy?

— Trzykroć...

— Dukatów? dukatów? zawołał rękę jego chwytając wojewoda.

— Tak jest...

— Nie żartujesz?

— Nigdy w świecie...

— Na ileż to głów idzie? mosterdzieju? począł wojewoda wzdychając.

— Na jedną...

— Z respektem! piękna głowa! rzekł stary podagryk trąc kolano... z respektem.

— W istocie, głowa piękna i od pieniędzy piękniejsza, odezwał się Tyszko, bo to własność panny rozumnej i ślicznej.

— Hę? Lubomirska? Sanguszkówna? czy co za jedna?

— Prosta szlachcianka...

— A zkądże owe kapitały?..

Tyszko ramionami ruszył.

— Gdzieś to tam w zapadłym kącie kraju snadź pokolenia długie zbierały, a tragiczna historia na świat dobyła.

— No, jakieś pocziw! powiedźże mi historję?...

Właśnie Tyszko miał już zacząć swą powieść, gdy wpadł elegant śpiesznie, zobaczył go, zawołał:

— W tej chwili pan baron będzie służyć — i — dając znaki niecierpliwe, chciał Tyszkę do dalszych pokojów z sobą zaprosić. Tyszko udawał, że nie rozumie.

Wojewoda szpiegował ruchy.

— Mój mosanie, odezwał się, nie koś sobie oczu nadaremnie: pan Tyszko, zacny człek, dawno mi jest znany. Opowiedziałem mu dla przestrogi o moich pięciu tysiącach, i odpadła go ochota lokowania u was kapitału pupilli.

Na to nic nie odpowiadając elegant, poszedł do pulpitu, stanął, założył nogę na nogę i bardzo szparko pisać coś zaczął, jakby go to wszystko wcale nie obchodziło.

Wojewoda trącił łokciem Tyszkę, pokazał mu tę lalkę i brwiami tak rzucił, że wyjechały mu na łysinę, a potem powróciły spokojnie na dawną siedzibę.

Milczenie uroczyste panowało w pokoju, przerywane tylko skrzypieniem pióra po papierze... Szczęściem, że nikt nie patrzył co M. Louis pisał, gdyż luźny pół arkusz papieru wzięwszy z desperacji, mażał jedne wyrazy, powtarzając je bez końca: Milion kaduków!

Już był tyle milionów kaduków napisał, ile Teper stracił cudzych pieniędzy, gdy powóz bankiera zatoczył się żywo przed ganek. Baron w najlepszym humorze, rozpromieniony, uśmiechnięty, wpadł do pokoju z otwartymi rękami lecąc w objęcia *de ce cher palatin!*

Nadrabiał fantazją, ale ten z kim miał do czynienia, bardzo był trudny do wzięcia. Na oznaki czułości ani głową nie kiwnął i siedział.

— Czemże panu wojewodzie służyć mogę? rzekł w końcu nieco tą oziębłością pomieszany Teper.

— Krótką bo asindziej masz pamięć, odparł wojewoda; ale to nie dziw przy tylu interesach i tak czynnem życiu. Należy mi się pięć tysięcy dukatów z procentami...

— O tych dobrze pamiętam! na Ś-ty Jerzy! Czemuż pan wojewoda nie kazał ich sobie zapłacić?

— Bo sam po nie miałem przyjechać i o to jestem...

— Ale termin minął.

— Więc tembardziej...

— No, nic łatwiejszego jak zapłacić, zawołał Teper... jednakże jest w tem pewna nieregularność. Myśmy to zapisali na rok następny...

— A to sobie odpiszcie! rzekł wojewoda: ja moje pieniądze muszę mieć — i to natychmiast...

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze, odparł Teper obracając się do pana Louis: jak tylko kasę otworzą, proszę natychmiast...

— Ja czekam...

— Dla czego pan wojewoda ma się fatygować, ja — odeszlę.

— Dla czegobyś pan baron miał ludzi swych fatygować, ja czekam...

Teper otarł z czoła pot zimny i począł się Tyszcze przypatrywać. Louis z tyłu chrząkał na niego, podniósł się. Wyszli razem do drugiego pokoju... Po kilku cichych słowach, baron zbladł, zakręcił się... i zakąsił usta jakby z bólu. Natychmiast wybiegł do pierwszej izby i siadł naprzeciw wojewody z twarzą zmienioną, kazawszy drzwi od dalszych mieszkań zamknąć.

— Panie wojewodo, odezwał się: bardzo pana dobrodzieja przepraszam, w tej chwili dopiero odbieram wiadomość, że pieniądze należne mi z Holandji nie nadeszły, jestem chwilowo w kłopotliwym nieco położeniu... Nie ciągnie to za sobą nic, pozycja moja

pewna, ale godzina stanowi często o wszystkim. Czy pan wojewoda zechcesz mnie gubić dla mizernych pięciu tysięcy czerwonych złotych, które jutro mieć będziesz?

— Ja, ciebie, mosanie baronie, odsapnął wojewoda, nie gubiłbym, bo ja i robaków nie depczę, a chodząc po ogrodzie pilnie patrzę, abym niewinnego zwierzęcia życia nie pozabawił; jabym cię nie gubił, ale mam obowiązek święty ratować tych, których ty gubisz... Tyś bankrut! zawołał głosem podniesionym, marnotrawca! nie masz czem płacić!

— Panie wojewodo! krzyknął porywając się Teper.

— Nie krzycz, bo się ciebie nie złęknę! dodał pedogryk. Ja, oprócz Pana Boga, nie boję się nikogo, nawet śmierci! Taką mam naturę!

Teper chwycił nabrzmiałe ręce wojewody zmieniając głos.

— Panie, zawołał, ja mam dzieci, rodzinę, mnie moja pocziwa sława droga...

— O! o! sława! przerwał wojewoda, a czemużes ją nie tam mieścił gdzie ona powinna być? Dla czegoś chciał pana udawać, do czego cię Pan Bóg nie stworzył? A wdowy i sieroty, które chleba pozbawiasz?

Bankier upadł na krzesło.

— Ja muszę być bez litości, kończył stary wojewoda, bo ja tu reprezentuję chwilowo, niegodny robak, sprawiedliwość bożą, i po tom tylko przyszedł, aby wyrok jej spełnił się prędzej... A oto patrz, ocaliłem sieroce mienie, które już było w progu twoim... Staszek... daj mi rękę, wstając z trudnością zawołał wojewoda, i nakładając czapkę a nie patrząc już na odrętwiałego bankiera dodał: Nie ma tu co robić, — póki czas, należy ogłosić, żeś bankrut! Żadne lzy mnie nie ublagają... Tyszko — dodał — ja pojedę do ciebie, napiszesz mi co potrzeba i zaniesiesz do księży pijarów, aby mi zaraz wydrukowali.

Nie oglądając się już nawet, wojewoda z pomocą hajduka wywlókł się za próg, gdzie nań czekała kolasa... Dwóch hajduków wniosło go do niej, a choć zostało miejsca szczupło, kazał koniecznie Tyszcze siąść przy sobie.

— Co, bo ty myślisz, że ja taki gruby jestem czy co? zawołał; a no, jeszczeby się dwóch takich chudeuszów jak ty pomieściło! Do dworku pana Tyszki, — a może wahaś się przy mnie usiąść, zobaczywszy, że ja dziś hyclem zostałem, bo psy biję! cha! cha! I zaczął się sam śmiać ze swojego rubasznego konceptu.

Pojechali tedy do dworku pana Tyszki, dokąd ich poprzedził przestraszony Eljasz i Honory. W istocie o jedno nic szło, by całe mienie Laury z takim poświęceniem uratowane, padło ofiarą, przedłużając może na jaki rok szalone życie Teperów, których podźwignąć nie mogło nic, bo się sami dobrowolnie gubili... Laura słuchając opowiadania, na chwilę nawet nie była wzruszona.

— Któż wie? rzekła, może ta strata byłaby mi wyszła na dobre? może to nieszczęsne złoto zrobi zemnie gorszą niż dziś jestem?

Rozprawiali jeszcze, gdy kolasa wojewody z przyciśniętym przez niego do boku jej panem Tyszką, stanęła u ganku dworka. Laura wyjrzała ciekawe... a tu już hajducy poczęli wysadzać z kolasy i prowadzić starego, który głośno czegoś dowodził. Laura, Basia, Honory, Eljasz, wszystko to stało w pokoju, do którego się wtoczył sapiąc i stękając. Ledwo usiadł i odetchnął, odezwał się do Tyszki:

— A pokażcie mi tę miljonową pannę, której posążek tak cudownie ocaliłem?

— Ja to jestem, podchodząc z ukłonem rzekła Laura, której stary podniosłszy głowę zaczął się przypatrywać z niezmierną uwagą.

— Na uczciwość, że i bez tych niepotrzebnych miljonów mogłabyś asindźka męża sobie znaleźć, zawołał... a teby się tym zdały, którym Bóg takiej rozumnej twarzyczki nie dał.

— A że ja i nie myślę nawet za mąż się wydawać, tem ci mniej mi potrzebne, rzekła Laura.

— Wojewoda patrzył ciągle na nią.

— Dla czegoż nie myślisz iść za mąż? przepraszam, że nie tytułuję, alem stary, asindźkabyś wnuczką moją być mogła...

— Nie mam do tego stanu powołania, odezwała się Laura...

— Cóż? czy do klasztoru? tegobym pochwalić nie mógł, bom protestant...

— Ja także odparła Laura...

— A nie wiem nawet nazwiska, obracając się do Tyszki spytał wojewoda.

— Laura Dobkówna z Borowiec...

— Hę? pochwycił zdumiony stary. Cóż? czy Adama wnuczka? Salomona córka...

— Pan znałeś moją rodzinę?..

— Znałeś! zawołał wojewoda. Adam miał za sobą siostrę moją rodzoną, o której zgonie straszne rzeczy powiadano... i o nim także... Waćpanna jesteś moją wnuczką...

Słyszając to wszyscy osłupieli, Eliasz aż przybiegł do stołu bliżej, by się staremu przypatrzeć.

— I mówcież tu, że nie ma Opatrzności! zawołał wojewoda ręce składając, i powiedźcie mi, że to przypadek!

Laura schwyła jego rękę, on całował ją w głowę, wszyscy stali milczący.

— Mam więc kogoś z rodziny co się przyznaje do mnie! zawołała dziewczę ze łzami w oczach...

Wojewoda zamilkł.

— Nie pytam teraz o historję waszą, rzekł wychodząc z zadumy: widzę żalobę, jest więc smutna, dowiem się jej później.

— Jest smutniejsza niż sądzisz kochany dziadzie, przerwała Laura, ale Bóg w was mi zesłał pociechę.

— A byłem takim w ręku Jego narzędziem nieświadomem, że się mojej roli wydziwić nie mogę... O kwadrans później byłoby wszystko przepadło...

Obrócił się do Tyszki. Szlej waćpan odemnie cyrkularz do druku do księży pijarów, ogłaszający Tepera bankrutem, a im prędzej tem lepiej, aby więcej nieszczęśliwych nie było...

Tyszko pośpieszył spełnić rozkaz. Laura miała też czas przedstawić wojewodzie Honorego Dobka.

— Jest to druga gałąź katolicka rodziny naszej, rzekła, od której doznaliśmy wiele życzliwości. Mam tylko na sumieniu, że tu pana Honorego przytrzymała tak długo, bo ma żonę młodą doma i powinienby być przy niej, ale gdy mi dziś niebo opiekuna dało... zaraz kochanego kuzyna odprawiam do Konopnicy.

Zczerwieniał pan Honory błagającym na nią rzucając wzrokiem, nic to jednak nie pomogło.

— Niech pan Honory jedzie, odparł wojewoda, zwłaszcza kiedy żonaty, bo waćpannie młodym assistować nie bardzo bezpiecznie... a djabeł nie śpi... A cóż się z Borowcami stało?

Laura zapłakała niemając siły do tego opowiadania, zakryła oczy i wyszła, a Honory przysiadł do wojewody poczynając mu powieść całą tych dziejów macoszynych rządów, których był świadkiem... Stary słuchał z uwagą wyteżoną...

Niekiedy wyrwało mu się energicznie przekleństwo, lecz nie chciał przerywać wątku i z coraz żywszem zajęciem pędził do końca, który go oburzył i poruszył nad wyraz wszelki.

— Na uczciwość, że w porę przybył zawołał; no, cobyście byli poradzili bezemnie tutaj w tym chaosie miasta, gdzie intryganci w gatunku pana barona Tepera jeszcze nie do samych najgorszych się liczą! A ta kobieta tu siedzi i ma stosunki, przyjaciół, i spodziewa się pewnie zagarnąć sierocie mienie... Cóż taki pocziwy Tyszko, weredyk, mógł uczynić? połajac, postękać i pójść z niczem. Ja — chybaby Pan Bóg niełaskaw, rady sobie tu dam... Oni mnie znają, że pardonu nie dają. Może Laura być spokojna... święcie obowiązków dopełnię...

Stary Eliasz chociaż nieznamy, przyszedł ręce wojewody całować.

— A! to tyś pieniądze uratował? zapytał go pedogryk...

Głowę tylko kiwnął.

— Pójdźże, niech cię uścisknę, pocziwości ty moja!..

Dziwnie to wszystko było rozczulające i miłe. Wojewoda, choć go tak krótko znano, był dla nich jakby od wieków znajomym, bo z jego charakterem i sercem na dłoni długiego nie potrzeba było czasu, aby go zrozumieć i pokochać. Powierzchność nie obiecywała tego co się w człowieku mieściło: skorupa była szorstka, dusza piękna i czysta.

Dopiero w godzinę może spojrzawszy na zegar wiszący przy ścianie, wojewoda się w kolano uderzył dłonią.

— Patrzajcie acaństwo! a toć ja nic nie jadłem! Takeście mnie nakarmili waszemi historjami, że o głodzie zapomniałem...

— Myśmy też nie jedli, odezwał się Tyszko, ale moja Basia pana wojewody na obiad nie chce...

— Dla czego? czy po żołądku miarkując, boi się, bym jej nie objadł?

— To nie, rzekł Tyszko, ale nasz stół nie dla wojewody...

— A cóż wy myślicie, że ja w domu jadam? do pulpetów nie nawykłem, bigos, kielbasa, kasza, kapuśniak, barszcz... to moje najulubieńsze, a mam takiego kopcidywa w domu, że często tylko na dwie osoby gotuje: dla psa i dla siebie... Ale ja tam o to nie dbam. Jeśli macie jaki kawałek mięsa, to mi dajcie; nie, to taki kędyś trzeba szukać, żeby grzeszną duszę posilić.

Basia się tedy rada nie rada, musiała około obiadu zakrzętać. Obiad ten bliżej wszystkich zapoznał z sobą, a szczególnie Laurę z jej dziadkiem, któremu dziewczę ze swą prostotą i śmiałością wielce się podobało. Zwracał też uwagę na każdy jej ruch i słowo, a że mimowolnie czyniła jakąś wzmiankę o swej ucieczce z Borowiec, o obejściu się macochy, o swych przygodach w Warszawie, mocno zaciekawiony wojewoda, dopomnił się szczegółów tej podróży i pobytu.

Laura miała to przekonanie, iż z niczem się przed starym taić nie powinna. Rozpoczęła więc od wyjazdu swego, ucieczki, odwiedzin u hetmana, potem opowiedziała o przybyciu do Warszawy, poznaniu kasztelanowej, występie w Powązkach, słowem o wszystkim, nawet najmniejszych nie tając szczegółów. Wojewoda, choć był głodny i zjadał smaczno proste potrawyktóre Basia mu podawała, często łyżkę rzucał i serwetę z pod brody gubił, tak go ta odyssea wnuczki niewymownie zajmowała, niecierpliwiła i bawiła na przemiany...

— Gdyby asindźce z twarzy i oczu nie patrzało, że świętą prawdę mówisz, sądziłbym, że cię Pan Bóg obdarzył takim talentem poetyckim, któremu nic nie kosztuje banialuki tworzyć... bo jak dla młodej panienki, to przygody zaprawdę osobliwe.

Teraz mi się tylko wypada spytać — a co dalej?

— A gdybym ja pana wojewody o to zapytała? odezwała się Laura...

— Nie wiedziałbym co asindźce odpowiedzieć, śmiejąc się rzekł stary, bo takiego rycerza jak wy nie myślę, żeby kto do posłuszeństwa nakłonił i prowadzić go potrafił.

— Jednak temu rycerzowi jak wojewoda go zowiesz, już się to błędne jego rycerstwo naprzykrzyło, i radby do spokojniejszego życia powrócić...

— Hm! odezwał się wojewoda: zobaczymy co się samo z tego wywiąże. Najpierwsza rzecz do N. Pana pójść i o odebranie Borowiec się postarać, a babę ową puścić z kwitkiem... Zresztą, choćby jej się i opłacić przyszło, byle djabła pozbyć.

— Co pan wojewoda uczynisz i postanowisz, to przyjmę z wdzięcznością, odpowiada Laura... i czekać będę na rozkazy...

— Zobaczymy, co Bóg da...

Obiad się skończył i pan wojewoda, z hajdukami odjechał, bo mu się należała drzemka po obiedzie, a w obcym domu nie chciał jej rozpoczynać.

IX

Wojewoda, któregośmy widzieli tak nieubłagany w sprawie z Teperami, był jednym z najmożniejszych panów w kraju... Znaczne dobra posiadał w wielkopolskich prowincjach, nie mniejsze na Mazowszu, w Lubelskiem, na Rusi i nie było prawie województwa, gdzieby jakiejs posiadłości nie miał. Weszły one przez małżeństwa z domów różnych i utrzymywały się przy ostatniej głowie rodziny, z której miały się znowu rozpaść, bo wojewoda miał z dwóch małżeństw sześciu synów i pięć córek. Było wszakże czem wyposażyć to jedenaścioro dzieci, z których już wnuki i prawnuki miał pan wojewoda, tak, że gdy się to wszystko zjechało do niego na doroczny jaki obchód, imieniny lub święta, zbierało się osób do pięćdziesięciu, nie licząc kolligatów, krewnych, dalszych familjantów i połączonej z niemi drużyny. Rząd dóbr tak rozległych był bardzo utrudniony, a pan wojewoda synom nawet nie dymittował jeszcze żadnego majątku, tylko im je wypuszczał, patrząc jak sobie radę dawać będą.

Mimo otyłości i pedogry, był to człowiek niezmiernie czynny, umysłu przebiegłego i widzącego jasno, pamięci ogromnej, a charakteru niezłomnego. Dobry i łagodny dla tych, którzy tego byli warci, nieubłagany był, gdy się o kim przekonał, iż poprawić go nie potrafi. Trutnie wybijają, a plugactwo mnożą, mówił, nie ma co szczeniść tego co się

ani sobie, ani komu nie przydało, a zarazę szerzy. Smród wymiatać precz. Dla słabości ludzkich miał wyrozumiałość, dla dobrowolnego i rozmyślnego zła, surowym był nad wyraz wszelki. Kochali go ci co znali, obawiali się wszyscy. Od lat kilku owdowiawszy pan wojewoda, nosił swój smutek długo i nie zapomniał żony, lecz podwoił pracy, w niej ulgę znajdując najskuteczniejszą. Jeździł z dóbr do dóbr, mało w domu siedząc, bo mu ta dawniejsza rezydencja obrzydła i opustoszała. W domu przy nim pozostał tylko jeden syn najmłodszy lat dwudziestu kilku chłopak i piętnastoletnia córka Jadwiga, której wojewoda jeszcze za mąż wydać nie chciał. Inne wszystkie łatwo znalazły stosowne partje, bo imię, wychowanie, powierzchowność, posagi, wszystko mówiło za niemi.

W stolicy wśród dosyć zepsutego społeczeństwa, któremu nie przebaczał, wojewoda nie miał nieprzyjaciół jednakże, szanowano go powszechnie, choć się czasem dał we znaki. Każdy się pocieszał tem, że jego przeciwnikowi zalazł za skórę. Nie było też o co uczeplić się do starego, którego żywot i sprawy czyste były i jasne, bo nigdy z sumieniem w żadne kompromissa nie wchodził. Pamiętna była sprawa jego w trybunale, wśród której, gdy najszcześliwiej prowadzona zbliżała się do końca, a wojewodzie miano kilkakroć sto tysięcy przysądzić, z papierów położonych mu przez adwokata, przekonał się, iż pretensja była prawna a niesprawiedliwa, i natychmiast publicznie się jej odrzekł. Wyrzucali mu krewni, iż pieniądze, jak mówili, za płotwyrzucił. Wolę za płot je rzucić, niż na sumieniu dźwigać, odpowiedział wojewoda.

Tak samo ile razy w uniesieniu kogo pokrzywdził lub omylił się w zdaniu o nim, szedł i publicznie przeproszał. Lepiejby było i nie grzeszyć, i nie pokutować mówił, ale *caro infirma!*

Tę podróż odbył prawie umyślnie do stolicy, w myśli przyspieszenia ruiny Tepera, aby mu nie dać więcej summ pochwytać. Nie szło mu wcale o pięć tysięcy czerwonych złotych, tylko o wykrycie prawdziwego położenia. Traf chciał, by w ten sposób ocalił mienie wnuczki, prawdziwie cudownie i uważał to jakby nagrodę tego śmiałego kroku... Gdy wieść o upadku domu się rozeszła, mnodzy przyjaciele, oficjaliści, ludzie różnemi węzły powiązani z Teperami, pioruny nań ciskać zaczęli, na co wojewoda odpowiadał pogardą. Nazajutrz i dni następnych, prawdziwie sądne dni zrodziło to bankructwo, którego choć się wielu spodziewało, więcej jeszcze uwiedzionych przypuszczać go nie chcieli. Zbytek i przepych, z jakim występowali Teperowie, dla jednych były postrachem, dla drugich zdawały się ubezpieczeniem. Nie przypuszczano, aby kto z tak zimną krwią tańcząc w przepaść leciał. Ruiny były niezliczone... a między innemi i Prot Potocki zmuszony został wypłaty zawiesić. Mało było domów w Warszawie możniejszych, którychby ta klęska nie dotknęła; spotykając się, pytano tylko: Na ile ty tam jesteś?

Chociaż wojewodzie należało się podziękowanie za jego śmiałe wystąpienie, mimowolnie miano doń urazę, każdy sądził, że zyskując na czasie, choć sam jeden, by coś ocalić potrafił. Wśród tego zamętu, który się o zamek a połączone z nim osoby obil także, trudno było myśleć o podjęciu jakiegokolwiek sprawy. Wojewoda, choć miał na pamięci Laure, nie pojechał tak rychło do króla. Wiedział, że i tam zimnąby go twarzą przyjęto, bo dla Tepera litość miano. Posłał tylko po Honorego i powiedział mu dla czego nie pojedzie aż za dni kilka, żądając cierpliwości.

Pan generał Sapora, który z innemi kilka tysięcy dukatów u Teperów stracił, wściekły był szczególnie na przyspieszoną katastrofę, bo pieniądze te miał za tydzień przyręczone i byłby je wyrwał. Wpadł do pani Dobkowej, u której już po kilkakroć się zapożyczał, lamentując i prosząc, aby go poratowała. Wdowie jakoś się naprzykrzyło bez widoku żadnego na przyszłość, dać się powoli obdzierać...

— Wiesz co, generale, rzekła, pieniędzy jeszcze trochę mam, ale gdy mi ich zabraknie, ani ty, ani nikt dla mnie nic nie zechce zrobić, przyspiesz wyrobienie mi administracji czy co tam sobie chcesz bylem Borowce miała, a zapłacę. Inaczej, grosza nie dam.

— A ja bez grosza na kredyt interesu nie zrobię.

Stanęli tedy naprzeciw siebie z temi dwoma ultimatami milczący, mierząc swe siły, kto tu się przy swoim utrzyma.

Generał włożył ręce w kieszenie, stanął w postawie kolossu rodyjskiego i milczał. Wdowa rumieńcem tylko zdradzała gniew, który ją zaczynał opanowywać. Odezwanie się jednej ze stron wojujących miało być znakiem ustępstw do jakich była skłonna. Oboje też milczeli długo.

— No cóż będzie? przerwała w końcu Dobkowa.

— Bez pieniędzy — nic. I to cośmy dali przepadło, rzekł generał. Jak wola wasza. Życzę pójść do szkatułki i nie zwlekać... a sprawa się załatwi.

— Kiedy?

— Nie wiem, ale prędko... mówił Sapora... te łajdaki Tepery zbankrutowali, wszyscy na nich potracili bez wyjątku, każdy dziś grosza żądny, trzeba z chwili korzystać.

Dobkowa wahała się, srożyła, w końcu — uległa... Generał poczuwszy grosz w kieszeni, jak mógł najprędzej się wynieść. Prawdę rzekłszy sprawy jeszcze nie zaczepiał, nie pomyślał nawet jakby ją załatwić i przez kogo; w końcu miał ten środek wywikłania się, że go ważniejsze okoliczności do wyjazdu zmuszały... i kogoś innego podstawić chciał starościnie.

Jakkolwiek z dosyć dobrym zapasem przybyła ona do stolicy, ten już się był znacznie nadwęgrył, jeszcze parę miesięcy podobnego życia i wydatków, a mógł się wyczerpnąć zupełnie... Rotmistrz, który tu podrzędną grał rolę, mimo przyjemności, których mu winiarnie dostarczały, coraz też smutniej w przyszłość patrząc, radził wracać do Borowiec i Smołochowa a trzymać się na gruncie...

Tak dzień za dniem uchodził, gdy generał znowu się jednego ranka zjawił, z pochmurną twarzą. Żądał jeszcze raz pieniędzy, powiadał, iż interesu już dobija... ale dodał zarazem, iż szedł bardzo ciężko i wątpił, czy się bez procesu da co otrzymać. Zawsze, rzekł, trzeba próbować, a za próby się płaci u nas...

Dobkowa strwożyła się, a trwoga zmusiła ją do nowej ofiary.

Nazajutrz rano, jeszcze w łóżku była, gdy jej przyniesiono list, na którym jenerała rękę poznała. Wniosła, że musiał zawierać coś dobrego, gdy się Sapora tak z nim pośpieszył, lecz — jakież było jej zdziwienie, wyczytawszy w nim, że z rozkazu króla zmuszony był wyjeżdżać natychmiast... i z boleścią serca oznajmuje jej, iż najmniejszej nie powinna mieć nadziei, aby się przy Borowcach utrzymać mogła.

„Wczoraj, pisał Sapora, gdym za sprawą waszą obiegał wszystkich, dowiedziałem się o fatalnym dla was wypadku, który ostatecznie rozstrzygnie o losie majątku. Córka nieboszczyka znalazła tu dziada, to jest brata babki swej w osobie pana wojewody... a ten gorąco wzięwszy w ręce sprawę wnuczki, poszedł z przedłożeniem do króla, do ministrów i wyjaśniwszy jaką się sierocie, według niego, krzywda działa, wyrobił, iż kassując decyzję komisji, tymczasowo majątek opiekunowi naturalnemu to jest wojewodzie oddać kaza-no, zwłaszcza, że ten swoją majątnością ręczył na wszelki wypadek. Miarkujesz pani, jak z takim przeciwnikiem dla nas walka była trudna, a raczej niemożliwa. Jednakże pozostaje pani rozwinąć proces *ex re* ubytków poniesionych i wdowich praw do fortuny, który niezawodnie jej prawa wyświeci i uznanie ich formalne użyjsze.“

„Niezmiernie mi żal, kończył pan generał, iż sam dla bardzo ważnych powierzonych mi spraw, nie mogąc służyć czem innym oprócz dobrą radą, życzę wziąć adwokata niezwłocznie i proces natychmiast rozwinąć. W najgorszym razie, choćby przyszło ugodnie kończyć, coś zapłacić muszą.“

List odczytawszy pani Dobkowa, wpadła w furję przeciwko generałowi, który wzięszy u niej wcale znaczną summę, w końcu ją tak pośród drogi rzucał. Nie było jednak sposobu poszukiwania na nim tej straty, ani wiedziała wdowa gdzie go szukać. Zapóźno spostrzegła, że się w pole wyprowadzić dała... Płacz i zgrzytanie zębów, okrutne spazmy nawet, nic nie pomogły... Cały dwór, który się zbiegł na ratunek, posłyszawszy krzyki, stał niemy, nie odgadując co mogło taką rozpacz sprowadzić. Pierwszy rotmistrz, niecierpiący generała (nazywał go zawsze *szlifierzem*) odgadł, że on być musiał przyczyną nieszczęścia, i począł go kląć zaciskając pięście...

— Jejmość, bo go słuchałaś... dałaś się bałamucić, gdy ja mówiłem zawsze, że on w końcu oszuka... i pewien jestem, że nabrawszy pieniędzy, dmuchnął.

Trafnie odgadł rotmistrz, i to go w oczach wdowy podniosło, posłała natychmiast po prawnika, spuszczać się na jego wybór już, byle najbieglejszego sprowadził. Rotmistrz wszystkie swe znajomości czerpiąc z winiarni, niejednego tam spotkał i łatwo mu było wybrać takiego, który mu się z gęby najteższym zdawał...

Tegoż dnia mecenas w okularach siedział głową trzęsąc nad szklanką wina i papierami u pani Dobkowej. Cała sprawa wydawała mu się fatalnie zawikłaną i niepewną.

— Pani starościno dobrodziejko, rzekł w końcu papiery ściągając i składając okulary, to tylko powiedzieć mogę, że gdybyśmy się piętnaście lat procesować mieli i wodzić po sądach, ja nie ustąpię, nie puszczę, na żadną zgodę nie przystanę... Ja jestem taki człowiek, mnie tu znają, żelazny — powiem pani starościnie kamienny... nie ustapiemy, a skutkiem tego być musi, iż nam zapłacą co zechcemy, byle raz mieć święty pokój. Wbijemy się im do boku pijawką, kleszczem, mościa dobrodziejko, będziemy ich ssali, nudzili, męczyli, nie damy im tchnąć. Na upartych upór to jedyny sposób, a ja jestem taki człowiek, starościno dobrodziejko, ja jestem taki człowiek, mnie tu znają, proszę popytać. Kto ze mną do czynienia miał, zawsze musiał w końcu zapłacić. Nie wchodzę w to jaka jest sprawa... nie moja to rzecz... ale jestem taki człowiek, że piłuję a piłuję, dopóki nie wypiluję...

Tak pocieszywszy Dobkową, która trochę wolniej odetchnęła, odszedł prawnik, przeprowadzony przez rotmistrza aż na schody. Poręba miał dla niego najwyższy szacunek, bo się ani przepić, ani przegadać nigdy nie dozwolił.

Pani Dobkowa, mimo wielkiego zaufania; jakie jej natchnął opowiadaniem swem Poręba, chciała jednak być sama ciągle w stolicy, aby wiedzieć o toku sprawy... Wysłała więc jedynego już przyjaciela jakiego miała, wiernego Porębę do Borowiec i Smołochowa po pieniądze, a że się trafiał ktoś co resztę lat dzierżawy gotów był od niej wziąć i za sub-arendę zapłacić, kazała o to traktować.

Tymczasem dosyć smutne pędziła życie... Parę razy na myśl przyszła jej siostra, lecz po ostatnim widzeniu się, mało było nadziei, aby się już zbliżyć mogły...

Jeden mecenas, zawsze opowiadający jakim on był człowiekiem i obiecujący złote góry, nudy swojemi odwiedzinami przerywał. Nie zawsze one wytlómaczyć się dawały sprawą samą, zdawało się Rózi nawet, iż przynoszone na przyjęcie wino, wchodziło w rachubę. Mecenas nawykł był tu przy gawędce z miłą wdówką wychylać swą lampeczkę i codzień po nią przychodził, wykładając co już uczynił, a co *proxime* miał zrobić.

Jednego dnia zdziwioną została pani Dobkowa widząc go, o zwykłej godzinie przybywającego w towarzystwie drugiego opasłego i słusznego mężczyzny, który także na jurystę zakrawał. Mecenas przedstawił go też jako kolegę...

— Acani dobrodziejka, zdziwisz się może, odezwał się z doborem słów, niezręcznym a wyszukany, który go odznaczył, usłyszawszy o pobudkach jakie skłoniły szanownego kolegę mego, czcigodnego Szaławitę, iż tu ze mną złożyć swoją attencją przybywa. Rzecz się zwiastuje, którą do namysłu wziąć należy, nie powiadam, by pożądaną była, ani się jej na stół przyniesieniu sprzeciwiam... Pani starościna zawyrokujesz... oto.. strona przeciwna, opiekun wybrany przez Imci pannę Dobkową, wojewoda, wnosi, czując, iż go procesem nękać będziemy, abyś pani swe żądania objawiła, ofiarując się, jeśli umiarkowane będą — przyjąć i zaspokoić.

Dobkowa dosyć zdziwiona spojrziała na obu prawników.

— Za pozwoleniem, czcigodnego kolegi — rzekł mecenas Szaławita, ono to tak jest i nieco inaczej. Pan wojewoda brzydzi się w ogóle pieniactwem, jego pupilla ma na względzie imię jakie nosi pani Dobkowa, chcieliby dla skandalu uniknąć procesu, który może na świat wyprowadzić rzeczy o jakich lepiejby on nie wiedział. Zatem, jeśli wola i łaska... mówić możemy.

Mecenas pani Dobkowej patrzył jej w oczy dając do zrozumienia, aby się nadto do zgody nie okazywała pochopną. Wdowa sama dobrze nie wiedziała co począć, wzdychała i ocierała łzy, których nie było.

— Nie jest to tak łatwo, rzekł mecenas określić żądania nasze, ubytki, straty, prawa... koszta...

— Ale wszystko na świecie obrachować się daje, odparł Szaławita.

— Zatem o czas do namysłu prosimy, rzekł spojrzawszy na Dobkową jej umocowany...

Na tem skończono, Szaławita odszedł. Nastąpiła narada, w której prawnik był za procesem, jejmość za zgodą. Ułożono się więc podać żądania tak wysokie, by ich przeciwna strona przyjąć nie mogła... Mecenas podnosił je, obliczał, potęgował i doszedł do znakomitej summy, oświadczając, że z niej ani grosza ustąpić nie życzy, a jeśli wdowa mimo jego rady pokój zawrze, sama sobie winę przypisze... i t. d.

Szaławita zjawił się po warunki. Wymownie motywując je... przełożył mecenas, pewien będąc z góry, iż przyjętemi nie będą. Wysłuchawszy całej mowy, adwokat strony przeciwnej zażądał spisania punktów, wrzekomo dla okazania ich wojewodzie...

Urosły jeszcze żądania przelewając się na papier. Szaławita nic nie mówił, wdowa także, w tak dobre ręce zdawszy sprawę — milczała.

Znowu dzień upłynął... Jakież było zadziwienie i mecenasa i Dobkowej, gdy wcale się nie targując, nie układając, nie zbijając, Szaławita oświadczył, że wojewoda nie chcąc brukać się takim procesem, układ przyjmuje, pokwitowania żąda, pieniądze płaci i ten jeden warunek ze swej strony stawia, aby pani Dobkowa nigdy ani osobiście, ani listownie, ani przez trzecich, do rodziny nieboszczyka męża, w żadnym razie zbliżyć się nie ważyła...

Mecenas przeciwko tak obelżystemu warunkowi wystąpił strasznie gorąco, lecz na to Szaławita mu odpowiedział, iż jak jego warunki nie roztrząsając przyjął, tak też swoich poddawać dyskusji nie dopuści. Należy go odrzucić albo przyjąć.

Pani Dobkowa po namyśle zgodziła się na wszystko... Mecenas protestował ale pod nosem.

W ten sposób dokonano zgody całę niespodzianie, i mecenas otrzymał piękne honorarium prędzej daleko niż rachował. Summę umówioną pani Dobkowej zapłacono gotówką przed sądem przy urządowem pokwitowaniu.

Prawie o tymże czasie powrócił rotmistrz ze Smołochowa, szczęśliwie obrobiwszy z nowym dzierżawcą interes, tak, iż pani starościna znalazła się w posiadaniu znacznego kapitału... z którym nie wiedziała jeszcze co ma uczynić. Była mowa o kupnie dóbr, o nabyciu kamienicy w Warszawie... a tymczasem życie się wlokło trybem zwyczajnym... Mają to do siebie pieniądze, iż nigdy prawie ukryć się przed oczyma ludzkimi nie mogą, a ludzi ku sobie istnie magnetyczną siłą ciągną. Więc choć nie zbywało na oszczędności, którzy głośno mówili o tem, iż w otruciu nieboszczyka Dobka, jejmość pewien udział miała, choć dawniejsze jeszcze wspomnienia z żywota panińskiego wielce były różnobarwne, jak tylko dowiedziano się o ciepłej wdówce, rotmistrz opędnąć się nie mógł proszącym go o wprowadzenie. Poręba właściwie sam się matrymonialnie chciał tam wprowadzić, lecz jednego dnia dostał tak stanowczego odkosza, iż nie chcąc całkowicie zrywać stosunków, postanowił ograniczyć się skromnie marszałkostwem tylko. Sam też przypatrzwszy się sobie potem w zwierciadle musiał przyznać, iż bardzo powabnym nie był... Rzucił okiem na Rózię, też nie powabną, starając się, by jej jaki taki posażek starościna dała... i ofiarując jej serce i rękę, ale i błada Różia — odrzuciła ofiarę. Po tych dwóch wkrótce po sobie następujących próbach, zaklął się Poręba iż tego głupstwa nie zrobi nigdy, by się miał ożenić.

Znajomości, przyjaciele, przyjaciółki, pretendenci płynęli do domu pani Dobkowej; na wzdychających nie zbywało, na obiadowych i przybyłych na wieczerzę także, ci jednak co się o rękę zgłaszali, przyjęci być nie mogli, a ci, których sobie życzyła jejmość, nie oświadczyli się... Życie wyczerpywało zwolna nietylko procenta, ale zarywało z kapitałów...

Kupna majątku obawiała się wdowa, kamienicę jej odradzano i ona sama jej sobie nie życzyła; po bankructwie Tepera oddać pieniędzy bankierowi wahała się... trzymała więc kapitał w domu i po troszę się szczybił...

Pewien rodzaj niecierpliwości ogarnął piękną wdowę, gdy po dość długim czasie przeciągu nie znalazła sobie partji stosownej. Przypisując to zbytnej oszczędności swej, postawiła dom na pokazniejszej stopie, — kosztowało też życie coraz więcej...

Nieznacznie do domu, w którym było już wszystko co najwykwintniejszym było, weszła gra naówczas cechująca życie pańskie. Wieczorami grywano codziennie, pani Dobkowa zaczęła grać sama. W początkach z takim szczęściem się jej wiodło, iż uzuchwalona brnęła coraz dalej, śmielej coraz, i — przegrywać zaczęła. Pierwsze przegrane zdziwiły ją niezmiernie i rozbudziły namiętność... W krótkim przeciągu czasu żyć już bez gry nie mogła... Dom stał się prawdziwą szulernią, dnie i noce otwarty, pełny ludzi nieznanomych, oszustów, rycerzy błędnych i ulicznej zgrai. Z różnemszczęściem ciągnęło się to dalej a dalej... a pani Dobkowa widząc ubywające kapitały... niewiele się frasowała nawet, mając nadzieję, że się łatwo w dobrą odegra godzinę.

W chwili, gdy na najświetniejszym stopniu dom starościny się znajdował i zyskiwał coraz rozgłośniejszą sławę, zaszedł wypadek, który był jakby ruiny zwiastunem... i końca przepowiednią.

Od śmierci pana Dobka, nie miała starościna żadnej wiadomości o starej swej znajomej pani Lassy, która szczęśliwie dokonawszy doświadczenia z arsenikiem znikła zupełnie z warszawskiego horyzontu, i zdawać się mogło, że więcej na nim się już nie ukaże.

Jednego dnia, przy fryzowaniu właśnie gdy starościna była w wybornym humorze, gdyż i gra wczoraj bardzo się jej szczęściła i pewien młody człowiek, pułkownik, cudzoziemiec, okazywał się nią mocno zajęty, tak, że wносиła, iż to może być — na serio; przyniesiono jej list z poczty pomazany mnóstwem stempli i charakterów... Poznała na nim z raportów odbieranych w Borowcach rękę Lassy i zmieszała się tak, iż położywszy go na tualecie nie prędzej wzięła się do rozpieczętowania aż ciekawy fryzjer był za progiem.

List ten datowany z Paryża, zawierał mnóstwo czułych wyrażeń i ubolewań nad losem, jakiego doświadczała nieszczęśliwa ofiara, poświęcenia dla przyjaciółki! Donosiła w nim znudzona życiem Lassy, iż jeżeliby był się jej nie poprawił, woli wrócić — *coute que coute* do Warszawy i odbyć spowiedź powszechną... a mizerne życie zakończyć. Poprawa zaś bytu niewiele wymagającej przyjaciółki zawisła była od tysiąca dukatów, które prosiła, ażeby jej zaraz nadesłano i nic więcej nad trzysta czerwonych złotych dożywotniej pensji: Donosiła zarazem, że znalazła, po długiej a nadaremnej peregrynacji wśród zepsutego świata, człowieka znakomitego, z sercem czułym, z duszą szlachetną, któryby się nie wahał jej ofiarować swą rękę, gdyby tylko skromny chleba kawałek mieli zapewniony...

Pani Dobkowej korespondencja ta struła dzień cały, dostała bólu głowy i spazmów, chciała się grą rozerwać i przegrała dosyć grubo... List został spalony, starościna postanowiła wcale nań nie odpowiadać, co było najwłaściwszem. Lassy zaś nie mając żadnej wiadomości co się z jej pismem stało, wyprawiła drugie, a po niem trzecie naglące o stanowczą odpowiedź. Groziła potem przybyciem, które nieprzyjemne następstwa pociągnąć za sobą mogło.

Dobkowa nie wiedząc co począć, przez wskazanego jej bankiera wysłała sumkę małą, uważając ją za dostateczną. Lassy, szczególnie ze względu na blizkie wesele z człowiekiem czułego serca i wzniosłego umysłu (który zajmował się hodowlą i strzyżeniem pudłów przy Pont-Neuf), poczęła być coraz niecierpliwszą i nieznośniejszą. Ostatnie listy, na wypadek gdyby je na poczcie otworzono, jużby panią Dobkową w podejrzenie podać mogły, położenie stawało się groźnem. Poszły więc pieniądze z listem do Paryża i wymówkami, iż starościna sama wiele straciła i pomagać nie jest w stanie.

Nie pomogło to, gdyż Lassy zawsze jeszcze nie wyszedłszy za mąż, domagała się owych tysiąca dukatów. Ale jakąż pewnością mieć było można, iż otrzymawszy je, nie zażąda drugich i trzecich... Do rozpacz przywodziło to starościnę, która i w grze nie mając szczęścia, postanowiła ważyć się już na wszystko i więcej niegodziwej Lassy nie odpisywać. Rachowała, iż rodzina Dobków, unikając rozgłosu dla imienia ich niemiłego, w ostatecznym razie, bronićby ją musiała. Pięć po sobie następujących listów przyjaciółki, rzuciła w ogień nie czytając, chociaż strach ją ogarniał okrutny... Po nocach sypiać nie mogąc, grywała do rana, a zdrzemnąwszy się na chwilę, zrywała się z krzykiem śniąc, że ją dusi przyjaciółka...

Stan ten wpłynął na zdrowie i owe resztki piękności, które jeszcze zwabiały czcicieli, szybko bardzo niknąc i uchodząc zaczęły. Rotmistrz pierwszy zauważał, iż Dobkowa mocno się zmieniała, i wychodziła na starą babę. Nie chciała za mnie iść za mąż, o toż to kara Boża, rzekł do Rózi, bo ja mężczyzna, będę takim jakim byłem, choćby za lat dziesięć, a ona zupełnie zbabieje? Widzisz, jakie już ma gęsie łapy przy oczach? Broda się jej puszcza... zęby czernieją, aż mi jej żal... Gdyby za mnie była poszła za mąż, nigdyby tego nie było. Róż, ani bielidło, ani liczne kosmetyki cudowne, brane u najsłynniejszych doktorów, nie pomagały... twarz istotnie straszna się stawała z pięknej. Oczy świeciły złowrogimi jakimiś gorączkowymi blaski...

Apetyt straciwszy, za radą rotmistrza, który przed obiadem życzył naparsteczek likworu, poczęła pani Dobkowa pić trochę wódki, przy jedzeniu zaś po kilka kieliszków wina. A że małe dozy nie skutkowały, doktor rotmistrz, który sam na sobie doświadczył doskonałych skutków tego leku, ordynował powiększenie ich i doszło do dobrego kielicha wódki a pary szklanek mocnego wina. W istocie, medycyna ta o tyle okazała się czynną, że twarz poczęła rumieniec okrywać, który już całe nie schodził, a humor polepszył się znacznie. Pani Dobkowa wstawszy nawet na czczo, piła trochę likworu przed polewką winną, a do poduszki lekki ponczyk. Polepszenie było widoczne.

Właśnie się odbywała kuracja, gdy raz Rózia, jakby przełęczniona przybiegła do starościny, oznajmując (było to pod wieczór), że jakiś jegomość chciał się z panią koniecznie widzieć na osobności, bo miał coś pilnego do pomówienia. Zdziwiona tem tajemniczym wezwaniem, pani Dobkowa weszła do gabinetu oświetconego, jak zwykle, jedną lampą alabastrową — i spostrzegła w nim... dziwaczne widmo, na które spojrzawszy od krzyku przeraźliwego powstrzymać się nie mogła.

Był to mężczyzna niezgrabny, brzydki, postawy osobliwszej, na krótkich bardzo nogach... z twarzy tak podobny do Lassy, jakby był djabeł albo rodzonym jej bratem.

Nie chcąc czytelnika trzymać w niepewności, dodać musimy zaraz, iż pani Lassy brata nie miała, a djabeł zbyt ma wiele do czynienia, aby tak brzydtko się przebierał. Ona to była sama w tym nowym stroju, którego pomysł zaczerpnęła z przypomnień o Laurze. Zdało się jej, że co tamta mogła zrobić, to i jej też się uda... Przebrała się po mężku przed granicą i tak zamaskowana stanęła przed panią Dobkową.

W miarę, jak ta domyślała się i poznawała Lassy, coraz większy strach ją ogarniał, drżała nie mogąc przemówić słowa... ścisnęła ręce, nakoniec padła na najbliższe krzesło.

Widmo zbliżyło się ku niej i zawołało schrypłym głosem:

— Cóż to? czy pani mnie *teraz* nie poznajesz? Widzisz, byłam zmuszoną przybyć sama, mamy przecie z sobą rachunki?

Starościnie słów brakło...

— Ale czegoż jeszcze chcesz odemnie, przekłeta! zawołała zrywając się w końcu, czego? za co? Litując się nad tobą posyłałam co mogłam... nie mogę więcej, ja sama nie mam...

— Ty musisz mieć, przystępując bliżej z gniewem poczęła Lassy. Jak ty mi śmiesz mówić, żeś się litowała nademną, żeś mi dawała może z łaski? Ja się poświęciłam dla ciebie... ja mam prawo do wszystkiego co wzięłaś po nim... Jakto? zapomniałas więc tego wieczoru? Nie wiesz o niczem? niewinna istoto? A któż to mnie pchnął w tę przepaść? dla kogo ja to zrobiłam? przez kogo cierpię? Ty teraz nic, nic nie wiesz?

— Jam cię nie posyłała ani namawiała do tego? zawołała Dobkowa...

— A któż-to powtarzał mi ciągle, dałabym coby kto chciał, byle mnie od tego człowieka uwolniono! Cóż to znaczyć miało?.. Wszak mówiłam ci, że to zrobię! wszak widziałas, gdym szła i z czem tam poszłam?

— Cicho! na Boga! cicho! przerwała Dobkowa, czego chcesz!

— Pieniądzy! pieniędzy! złota twego! najęłaś mnie, płac! Ja się nie pytam, masz czy nie, pieniądze lub życie...

Dobkowa padła powtórnie na krzesło, łamiąc ręce, oczyma obłąkanemi wodziła po pokoju, nie widząc jak się od tego straszdyła odkupić. Za każdym jej ruchem, Lassy podbiegała, nacierała, bojąc się, by jej nie uszła.

— Słuchaj! przekłeta kobieto, odezwała się po namyśle: słuchaj, dam ci ten raz, dam co chcesz, lecz jedź, precz, precz, i nie pokazuj mi się na oczy. Mnie ty nie zgubisz... nie masz świadków, jam się gotowa wyprzysiądz, mnie familia której imię noszę, obroni... a ty poniesiesz głowę na rusztowanie... ja cię wydam sama! Rozumiesz!

Lassy na chwilę się powściągnęła, jakby rozważała każde słowo powiedziane przez Dobkową... lecz wkrótce poczęła się śmiać dziko...

— Już to ci ręczę, że jeśli mi ginąć przyszło, zginiemy obie, bo ja cię nie puszcę... Ja mam w rękę dowody... żeś tego chciała, żeś mi to poddała...

— Czegoż chcesz! ile! mów! skończmy to, nie zamęczaj mnie! krzyknęła starościna.

— Ale czekaj! ty się odemnie nie uwolnisz tak łatwo! Naprzód ja nie myślę ztąd krokiem pójść... boby mnie gotowi poznać. Tu mi bezpiecznie, zostaną... Rób sobie co chcesz... Śpieszyć się nie mam czego, spocznę po drodze, a rachunek nasz długi i niełatwy! Dołożymy drogę, fatygę i na powrót podróż... nie głupiam się teraz dać wyprawić z biczykiem...

Poczęła starościna rozpaczliwemi krokami chodzić po gabinecie, a że godzina gry się zbliżała i goście zaczęli się schodzić, dwa razy zajrzał rotmistrz ciekawy, wywołując ją do stolika.

— Więc czego chcesz! mów... powtórzyła starościna.

Lassy usiadła na kanapce...

— Cóż? pod noc mnie wygnasz!
— Ty tu zostać nie możesz!
— Ja muszę! a gdzie! po gospodach będę się tułała? po nocy mam uciekać? Nie pójdę...

Jakby namyślając się Dobkowa stanęła... Czekaj tu na mnie, ja zaraz powrócę.

Na te słowa Lassy się zerwała i pochwyciła ją za suknię.

— Ani kroku! rzekła, nie puszczę!

— Ja mam gości! ja muszę wyjść!

— Nie pójdiesz... sama tu nie zostanę.

W tej chwili rotmistrza głowa ukazała się we drzwiach, Lassy się zmieszała nieco, a Dobkowa skorzystała z tego, by się wymknąć i drzwi za sobą zatrzaskać...

— Rotmistrzu! zawołała starościna jakby obłąkana... chciałeś mojej ręki, odmówiłam ci, będę twoją... a uwolnij mnie od tego — djabła. Tu jest Lassy! Lassy, która struła Dobka... chce mnie zgubić, chce mnie odrzeć... chce mnie obwinić... ja o niczem nie wiedziałam! jam niewinna! Rotmistrzu! ratuj! zlituj się!

Poręba stanął jak wryty... Ale cóż ja z nią zrobię! Chyba łajdaczkę uduszę; A to śliczna historia... Czegoż ona chce?

— Pieniędzy! nieustannie pieniędzy!

— Jakto? już jej dawałaś?

— Przez litość.

Rotmistrz zamyślił się mocno, parę razy za klamkę pochwycił i powstrzymał się. Ile ona chce? spytał.

— Ja nie wiem...

— No, to ja się z nią rozmówię, rzekł Poręba, i znowu za klamkę ujął i — wstrzymał się, zadumał, głowę spuściwszy...

— Was dwie... mruknął, a tu jeszcze i mnie trzeciego chcecie wpędzić w matnię... żebym głową nalożył?

— Rotmistrzu! jam niewinna! zawołała Dobkowa. Za całą odpowiedź Poręba spojrzał, uśmiechnął się i ramionami zżymnął.

— Idź! dam jej co chce, zabieraj ją i wywieź precz... jak najdalej, za granicę, za świat...

— A co ręczy, że pieniądze straciwszy, nie wróci? zapytał Poręba, jabym to paskustwo zdeptał... ale plugawa rzecz...

Do drzwi z drugiej strony zaczęła się dobijać Lassy, rotmistrz i Dobkowa weszli razem.

— Cóżże to asani z siebie za monstrum zrobiła? począł rotmistrz zobaczywszy ją, a to istny djabeł!

Lassy spojrzała groźnie...

— Mów, czego chcesz? ile? przerwała starościna, nie ma czasu do stracenia. Rotmistrz waćpanią do granicy odstawi.

— A no, dobrze, choć w takim towarzystwie niebardzo miłą odbędę przejażdżkę, ale to asani muszę powiedzieć, że gdybyś tu jeszcze raz powróciła to, słowo daję, zduszę...

Lassy krzyknęła odskakując od niego.

— Mów, czego chcesz? powtarzała Dobkowa.

— Nie powiem nic! nie ruszę się! dopóki ten człowiek nie odejdzie, odparła Lassy.

Stali wszyscy, przybyła odsuwała się z obawą od rotmistrza coraz dalej, a w Porębie rosła złość niema widocznie, żyły mu nabrzmiwały na czole i oczy czerwieniały... Starościna powtarzała: mów czego chcesz...

— Ja od tysiąca dukatów nie ruszę i na drogę musicie dać... ja się dla was poświęcę...

— Milcz... jędo! tupiąc nogą rzekł Poręba... ale milcz...

Starościna usłyszawszy sumnę zakrzyknęła...

— Dać jej i niech jedzie, odezwał się Poręba, ja ją odprowadzę. Niech pani idzie po pieniądze, ja zostanę, potem na pocztę i będę służył jejmości za granicę.

— Obłąkanym wzrokiem patrzyła stara po przytomnych. Po co mi towarzystwo, ja nie potrzebuję przeprowadzania, rzekła, obejść się bez waszej łaski, mam z sobą mego... narzeczonego.

Rotmistrz parsknął i splunął.

— Ja dla tego muszę asindzkę wywieźć, choćby się narzeczony miał gniewać, bo mogłabyś zostać i jutro przyjąć znów wołać pieniędzy, a tego już dosyć...

Dobkowa wyszła, Lassy widząc, że przychodziło do rozwiązania, udobruchała się...

— Ja przecie nic tak wielkiego nie wymagam... poświęciłam się dla niej... poczęła do rotmistrza.

— A kto was o to prosił? zawołał Poręba... at! milczałabyś, dość tego...

Chodził tedy po gabinecie, a Lassy padła na kanapkę...

— Kto innyby asanią sam do sądu oddał i już przez toby z siebie podejrzenie zrzucił... Jabyłm wołał tak zrobić niż wam zapłacić. Za co? za to, że wasby powiesić warto...

— A ją? a ją? krzyknęła Lassy.

— Milczec, przerwał rotmistrz, drugi raz ja na siebie wezmę i odstawię cię za kołnierza do kordygardy...

W krótkim przeciągu czasu starościna wróciła zadyszana, na pół nieprzytomna... i rzucała na kanapkę, na której Lassy siedziała, rulony złota przyniesione... Chciwie poczęła je zagarniać przybyła... licząc oczyma i ważąc na rękę, opychała niemi kieszenie, potem wiązała w chustkę, niepewna jak najlepiej je schować. Rotmistrz patrzył z zaciętymi ustami, obejrzał się szukając kapelusza i wyszedł po niego... Dobkowa stała drżąca... Lassy chciała się do niej zbliżyć z pożegnaniem, lecz nastawiła obie ręce przeciwko niej, aby nie dopuścić.

— Otóż-to taka wdzięczność!... syknęła stara...

— Precz! precz! wołała wdowa, nie chcę cię znać... idź!...

Rotmistrz wszedł w płaszczu i kapeluszu... Koło drzwi leżało porzucone okrycie, które prędko narzucił na ramiona kobiety, podał jej kapelusz i pchnął w boczne drzwi. Marsz.

Lassy się chciała obrócić.

— Marsz! a żywo... dodał Poręba, i za obojgiem zamknęły się drzwiczki, a Dobkowa jak wryta stała jeszcze ciągle przysłuchując się stapaniu rozlegającemu się w korytarzu. Nie prędko potem wyszła blada do swoich gości skarżąc się na ból głowy, a dopiero w parę godzin, gdy Poręba nie powrócił, zaczęła grać, napiwszy się nieco wina dla orzeźwienia. Całą noc tak spędziła z różnym szczęściem za stołem... a nad ranem, gdy się porozchodzili towarzysze, spróbowała udać się na spoczynek. Sen nie brał... Cały dzień następny przebyła zamknięta chodząc tylko i patrząc przez okna czy Poręby nie zobaczy. Nie było go jeszcze i następnego, aż trzeciego około południa zjawił się czerwony, zmęczony... i widocznie napiły. Wszedł już do domu jak do swego, dysponując głośno, aby mu jeść dawano. Ton zupełnie zmienił.

— A cóż? zapytała wdowa nieśmiało.

— Wywiozłem to paskustwo, krótko odezwał się Poręba, i rękę, że się jej nie zechce tu drugi raz przyjechać...

— Dobkowa nieśmiała pytać więcej.

— Teraz, moja królowo, trzeba też z nami skończyć... a dać na zapowiedzi, nie ma powodu zwlekać...

Wdowa spuściła oczy... Cóż miała zrobić... Dwa tygodnie potrzebowały formalności, po czym państwo nie młodzi, pojechali cicho i bez parady do kościoła, a wieczorem dowiedzieli się słudzy i znajomi, iż ślub się odbył. Nie zmieniły sięcale obyczaje domu, lecz rola gospodyni zgasła przy tonach, jakie sobie Poręba dawać zaczął. Mimo to, że zajmować się niczem porządnie nie umiał, mieszał się do wszystkiego, szumiał, rozkazywał, a panna Różia przed przyjaciółkami swemi w kilka miesięcy potem opowiadała po cichu: iż, bywały przypadki, w których rotmistrz podchmielony laską z najukochańszą małżonką spory kończył. Ludzie także mówili, iż krzyki słyszeli... ale się to spazmami tłómaczyło...

W dalszym ciągu zdaje się, iż państwo Porębowie kilką laty później założyli restaurację, a że się na tej nie wiodło, mieli potem szynk na Krakowskim, upodobany woźnicom wielkich panów, którzy jejmość nazywali starościna, i utrzymywali, że tam wódka była najlepsza. Poręba kosztując tego czem handlował, poprzedził bodaj na cmentarz szanowną połowicę, którą ostatecznie z litości przyjęła siostra biedna utrzymująca magazyn przy ulicy Senatorskiej, odepchnięta niegdyś przez panią Dobkową... Ale bodaj czy ztąd nie dostała się do szpitala, bo ją powracającą w zbyt wesołym humorze wieczorami i walającą się po ryszotkach, ciężko było utrzymać...

X

Wojewoda kazawszy być cierpliwą Laurze... o skutku swoich zabiegów nic nie mówił... Jeździł, posyłał i dosiedziało w Warszawie, póki oddania Borowiec wnuczce nie wyrobił czarno na białem. Użyła go tylko panna Laura zręcznie bardzo, żeby trochę za długo już siedzącego Honorego, do domu wyprawić. Czy się pan wojewoda domyślił czego czy nie, ale bardzo stanowczo powiedział do niego: — Asindziej sobie już możesz jechać, ja to biorę na siebie, że jej krzywdy uczynić nie dam...

Na pożegnanie wyszła Laura z Basią razem, podała mu rękę drżącą i odezwała się cicho:

— Jedź, kochany bracie, tam tak na was czekają, jak mybyśmy cię radzi mieć z nami, a nam się nie godzi zatrzymywać... Pozwólcie tylko, bym Zosi i chorążemu przesłała małe pamiątki...

Łzy się kręciły w oczach Laurze, ze stolika chwyciła kilka przygotowanych pudełek i oddała je Honoremu.

— Bądź zdrów rzekła: Za jaki rok, dwa... gdy dom w Borowcach odbuduję... zapraszam was z Zosią, z całą rodziną. Koniecznie. Niestety! prędeż nie mogę, ani pomyśleć, chyba, gdy się tam chata jaka sklei...

— Na wesele wasze! szepnął wzdychając Honory.

Laura smutno się uśmiechnęła — i głową potrząsała. O! nie, rzekła, nie spodziewam się, abym tak prędko skończyła moją żałobę, po tem wszystkim com straciła... Zostanę sobie starą panną, grymaśnicą, będę hodować kanarki, sadzić kwiatki i dumać na ruinach... Możesz być poetyczniejsze życie?

Honory już nie śmiał się odezwać, wyczekiwał z razu innego pożegnania, sądząc, że się Basia Tyszkówna oddali, lecz ta pozostała do końca i chorążyc ucałowawszy podaną mu rękę, wyszedł...

Laura skinęła nań jeszcze z okna śląc mu ostatnie pożegnanie, odwrócił się, stanął jakby chciał wrócić, ręką dała mu znak, że jechać powinien i odeszła...

Honory tegoż dnia odjechał.

W tydzień potem przybył wojewoda z nieodstępnyimi hajdukami, stękając na pedogre.

— No, rzekł do Laury, przywożę ja asińdźce zwrót Borowiec... oddano ci je, a ja opiekunem jestem z panem Tyszką. Teraz, rozmówmy się, co począć myślisz?

Laura chciała przerwać, wojewoda ręką dał znak, że chce mówić dalej.

— Powiedziałbym asińdźce siedź w mieście, gdyby dla kogokolwiek miasto zdrowem było, tembardziej dla was, coście do ciszy wiejskiej przywykli. W tych Borowcach się zamknąć znowu — niepodobna, zasuszysz się i zestarzejesz z nudy...

Laura chciała jeszcze raz mówić, wojewoda nie dopuścił. Ale czekaj-że, powiesz co chcesz tylko ja po starszeństwie, pierwszy mam głos...

— Prosiłbym asińdźki do mnie, a no, Jadwisia nie, dalipan za mąż nie wyjdzie, boś i ładniejsza i bogatsza od niej... Widzisz, egoista jestem... ale dla dziecka. Cóż tu począć kogo tu wam wyszukać za towarzyszkę?...

Milczała już Laura, wojewoda skończył.

— Teraz, mów, odezwał się.

— Kochany dziadku, będę z tobą tak poufale mówić jak z ojcem. Za mąż nie pójdę.

— Wnuczko kochana, sama nie wiesz co pleciesz! zawołał wojewoda, jakto może być żeby kobieta młoda za mąż iść nie chciała. Musi.

— Nikt mnie nie może przymusić, kochany dziadku, jestem strasznie uparta.

— Cóż to to? czy jaka nieszczęśliwa miłość! E! pfe! rzekł wojewoda, to się odzegnaj od niej. Szkodaby cię było...

Laura oczy spuściła.

— Największą mi łaskę dziadek zrobi, jeśli mi kogo da: pocziwego, dobrego, stategicznego, jaką jejmość, coby zemną pojechała i za matkę mi służyć mogła... Oprócz tego, Basia obiecuje mi, że na dłuższy czas do mnie przyjedzie z ojcem, bo ja się tam bez niego nie obejdę... Dopóki dom nie stanie w Borowcach przemieszkamy choćby w gospodzie u Arona. U nas drewniany dom buduje się piorunem. Skleczę mi go w parę miesięcy, a mając dach będę o lepszym myśleć mogła... Jadę do Borowiec...

— A cóż myślisz z pieniędzmi robić? spytał wojewoda. ..

— Dziadek mi kupi co za nie...
— Cóż ja ci mam kupić?...
— A no, ziemi kawałek... odparła Laura...

Pokiwał głową stary.

— Jaka ty jesteś rozumna! rzekł, anim się spodziewał, choć wiedziałem, że ci nie zbywa na oleju... Ziemia to grunt. Kto ją ma pod nogami, bezpieczny... ale sobie zostawić trzeba coś zawsze, żeby ten chleb solić czem było... Tylko, moja panno, jak ty tam wysiedzisz w tej dziurze?

Laura aż krzyknęła z oburzenia.

— A! proszę mi tak Borowiec nie nazywać... jaby mi ich za żadne w świecie inne dobra nie dała. Żyłam tam z ojcem, byliśmy szczęśliwi... wszystkie tam wspomnienia moje... tam mi najlepiej, tam czuję się w domu... Na cóż mi szukać cudzych Bogów?

— Ale, bo ja ciebie wydać za mąż muszę, moja panno — przerwał wojewoda... tak nie może być! Sznat ziemi będziesz miała i cóż nam potem? Jak to się człowiekowi uczciwemu dostanie... skorzysta i kraj...

— Wolałabym się, kochany dziaduniu, ziemi wyrzec niż ślubować bez serca i iść za mąż z obowiązku... przerwała Laura.

Dziad na nią popatrzał i czmychnął.

— Prawdę asińdzka mówisz, że jesteś uparta. No! ale to ci przejdzie! Musiał ci jakiś drab nieszczęsny wpaść w oko i serce, i zdaje ci się, że takiego drugiego na świecie nie ma... A! zobaczysz!

— Zgoda więc — kochany dziadku, tylko mi takiego draba dajcie, żebym go przyjęła mogła... z dobrą i nieprzymuszoną wolą...

— Znajdzie się! rzekł wojewoda, tylko nie trzeba się w kącie chować...

— Niech-że on mnie szuka, nie ja jego! dodała Laura...

Wojewoda ruszył się jakby chciał wstawać. Czekał dziaduniu i siedź, zawołała Laura, mam prośbę do was. Chcę z wami razem pojechać, Jadwisię poznać i odwiedzić... a potem na gospodarstwo moje do Borowiec, pan Tyszko, Basia, mój pocziwy Eliasz...

— Wdzięczny ci jestem, że ze mną chcesz jechać... nie śmiałem cię prosić, toś mi mnie odgadła... A miałem w tem swoje powody, dla których mi cię zapraszać nie wypadało... Za tem pannę Barbarę uprosiwszy, gdy ja jutro dam sygnał do wyjazdu... ruszymy. Waruję tylko jedno, że popasy i noclegi ja reguluję i w drodze despotycznie rządę... bom despota!

Gdy tak stanęła umowa o podróż a wojewoda dla przygotowań do niej pojechał do domu... niespodzianych gości miała Laura przed wieczorem... Wieść o jej losach, bogactwach, o pokrewieństwie z panem wojewodą, rozeszła się po mieście od dni kilku. Zmieniało to zupełnie usposobienia dawnych znajomych dla panny Laury. Co dziwnem, nieprzebaczonem, płochem zdawało się w ubogiej dziewczynie, to w dziedzicze owych summ neapolitańskich, o których rozpowiadano, wydało się dziwnie ekscentrycznie szlachetnem, romantycznym... nieledwie heroicznem... Pierwsza kasztelanowa Wiska poczęła utrzymywać, iż Francuz nie zrozumiał jej, odprawił odedrzwia tę śliczną czarodziejską Laurę, i że ona tej omyłki odżalować nie może; że musi sama ją przeprosić i t. d... Hrabia Artur chciał jechać z nią także.

Hetman wybierał się z Kowal. Georges... a nie wiem już ile osób prosiło i zaklinało, aby mogły być zaprezentowane tej bohaterce...

Jakoż tego dnia kasztelanowa najprzód przybyła... i nie meldując się, przebojem weszła do dworku, na głos wołając: Gdzież ta moja czarodziejka?

Laura wyszła zaraz, ale poważna, chłodna, i na pierwsze wejście okazująca, że się uśmiechem spóźnionym ująć nie da. Przyjęła panią Wiską niezmiernie grzecznie, ale tak zimno i zdala się trzymając, że znająca ludzi i świat pani, zrozumiała, iż zbliżyć się już będzie bardzo trudno. Ton rozmowy zaczętej poufale, żartobliwie, przeszedł zaraz w niezmiernie poważny, a wspomnienia pierwszej bytności Laura przyjęła milczeniem... Kasztelanowa nie chcąc okazać się urażoną, bawiła dosyć długo. Przy niej nadjechał hr. Artur, którego Laura przyjęła ciepło, uprzejmie, ale zawsze tak, ażeby mu próżnej nie dawać nadziei, że stosunki przedłużać się mogą. Oświadczyła obojgu, iż wyjeżdża z dziadem dla odwiedzenia go i poznania rodziny, a potem wraca na wieś i tam stale zamieszkać zamierza.

Thściuchna pani gorąco przeciwko temu protestowała; podziękowała Laura, dodając, iż jej postanowienie było niewzruszonym...

Zaledwie ci państwo żegnając ją bardzo czule, odjechali, gdy pompatyczny ekwipaż pana hetmana zajeżdżał przed dworek, a on sam wystrojony jak laleczka, uśmiechnięty, z gracją stawiając nogi po niepewnych tarciczkach, które przechodzić było potrzeba, wsunął się do pokoju... Za nim szedł Georges, smutny, wdychający i przewracający oczyma... Obu Laura witała wesoło, i rozmowa świetnie się rozpoczęła... Cóż, gdy dla hetmana ten dworek, sufit, ta podłoga, kanapa okryta perkalem, wytarte krzesła... były czemś tak niezwykłym, iż patrząc na nie tracił dowcip... plątał się w słowach... Chciał przez grzeczność pańską coś pochwalić koniecznie w ubożuchnym domu, wybrał więc popiersie Sokratesa... a — po bliższym rozpatrzeniu okazało się, że to był bardzo nędzny odlew gipsowy... Georges mówił więcej oczyma, niż ustami...

Laura wspomniała mówiąc o Emilopolu, o zachwycającej grze hetmana na flecie, co mu nader musiało być przyjemnym, bo się błogo rozjaśnił i chwycił jej rączkę do pocałowania.

— Wiesz pani, odezwał się przypatrując się jej, ta ręka pierwsza panią zdradziła, po jej kształtach godnych dłuta Praksytela poznałem, iż anioł zwinąwszy skrzydła... zstąpił na Emilopolską ziemię...

— Kawalerze Georges — odezwała się po chwili Laura, dobrze, żeś mi się pan zjawił, mam prośbę do pana... Pan hetman łaskawie ją poprzeć raczy. Odstąp mi pan Munię...

— Nie mogę pani, rzekł kłaniając się Georges z wyrazem żalu — wczoraj już...

— A! cóżeś pan zrobił na Boga! Komu! gdzie?

— Wczoraj, mój mastalerz, rzekł hetman... z uszanowaniem i największą pieczołowitością odprowadził ją do Borowiec...

Laura zerwała się z rumieńcem wielkim dziękować obu.

— Jakże potrafię odwdziżyć!...

— Dobrem o nas wspomnieniem, dodał hetman uśmiechając się, i pozwoleniem, by Georges przyjechał się tam dowiedzieć, jak doszła do domu...

Zarumieniona Laura podziękowała raz jeszcze i cicho szepnęła zaproszenie, które Georges'a uszczęśliwiło.

— Mam tylko warunek, żeby przybywszy do mnieinnego konia sobie wybrał p. Georges... dodała, i od tego nie odstąpię...

Z żalem dowiedział się hetman, iż Laura miała wyjechać wkrótce, rozstali się tedy wszyscy w najlepszej harmonii, a hetmańska strona z różowemi nadziejami przyszłości...

Rezydencja wojewody odznaczała się bardziej rozległością, ogromem budowli w równoległobok ustawionych, niż architekturą, która różnych wieków i smaków nosiła cechy. Pałac budowany, przebudowywany, zachował tylko główne linje pierwotne. Dbano o wygodę i trwałość nie o piękność... Liczna rodzina i dwór wymagały tych gmachów, które nigdy pustkami nie stały. Utrzymane było wszystko w wielkim porządku i znać było starą zamożność. Nowych sprzętów ani fraszek nie widać było nigdzie, zabytki dawne, zdobyczne, spadkowe pamiątki tylko... Część główną zajmowało kilka sal od dni uroczystych, ubranych w weneckie zwierciadła robione umyślnie i herbami znaczone, w kredensa sreber pełne i obrazy niegdyś z Włoch i Flandry przywiezione przez dziadów... Przepychu nie było nigdzie, ale wspaniałość wielka i oblicze dworu poważne... W jednej z tych sal marmurowa tablica z napisem łacińskim, świadczyła o pobycie na zamku Jana Kazimierza..

Mimo tak pańskiego pałacu, życie u pana wojewody nie było wystawne, stół prosty bardzo, chleb prawie czarny, przyjęcie dostatnie lecz skromne. Największego z gości przyjmowano tem co na codzień było dla wszystkich. Obficie tylko obchodziły się dni świąteczne i uroczyste, rocznice domowe, wesela... Naówczas często po dwieście osób siadało do stołu... i dla miłych panów braci wytaczano beczkę z lochu... a beczki pana wojewody co roku stawiane uporządkowane były latami i młodsze wina nie dawano nad dziesięcioletnie.

Jadwisia i najmłodszy syn gospodarza listem wcześniej zawiadomieni byli o powrocie ojca, o Laurze i o jej przyjeździe. Z ostatniego popasu przodem jeszcze pobiegł konny dworzanin; to też znalazło się na przyjęcie wszystko w takiej gotowości, jakby sam wojewoda czekał w domu. Jadwisia miłe dziewczę jasnowłose przybiegło do rąk ojcowskich

i w objęcia kuzynki z serdecznością jaką daje wychowanie domowe, które uczucia rozwija i miłość czyni życia warunkiem.

Syn pana wojewody niepiękny wcale, ale silnej budowy i snadź zahartowany męczyzna, wyglądał trochę na Nemroda, bardzo na szlachcica hreczkosieja, a jak najmniej na senatorskie dziecko, bo pan wojewoda pieścić się chłopcom swym nie dawał i ostro ich trzymał...

Na wieczerzę, gdy cały dwór przyszedł do stołu i szeregiem stanął, Laura z podziwienia wyjść nie mogła... Trzydzieści osób domowych zasiadło wedle starszeństwa, po błogosławieństwie księdza kapelana... ale na szarym końcu tak było dostatnio, jak na karmazynowym.

Nazajutrz, panna Jadwiga wzięła Laurę w opiekę pokazując jej pałac, szklarnie, ogród, pomarańczarnię, zwierzyniec... swoje własne gospodarstwo... i tysiące różnych rzeczy, które jej się bardzo szczególnymi i osobliwymi wydawały. Wesoło zeszło dni parę, bo i wojewoda w dobrym był humorze. Na uboczu trochę trzymał się pan wojewodzie, chociaż znać było, iż mu Laura wielce się podobała. Z obejścia się jego domyśleć było łatwo, iż jakiś ojcowski rozkaz wstrzymywał młodzieńca od zbytniego nadskakiwania kuzynce...

Nie chciał wojewoda zapewne, aby przypuścić nawet było można, iż bogatą dziewczką zaopiekował się, aby domowi swemu i jednemu ze swych synów ją pozyskać. Sama myśl go oburzała... Nie pozwoliłbym nigdy na takie małżeństwo, powiedział synowi, zatem i myśleć o tem się nie godzi... Laura wszystkim się swą prostotą, otwartością, śmiałością umiała podobać, choć z razu Jadwisia przestraszona tem była, nawykłszy do mowy ostrożnej i bojaźliwego będąc charakteru. I ona wszakże trochę się przy śmielszej rozruszała kuzynce, a śmiezek jej wesoły rozlegał się po pokojach z wielką ojca pociechą.

Gdy po tygodniu tych odwiedzin, Laura zaczęła mówić o wyjeździe, wojewoda kazał się jej zatrzymać.

— A wszakżeś mi asinidzka, moja śliczna wnuczko, kazała sobie szukać mentora i towarzyski, posłałem więc po krewną naszą, po panią Abrahamową Surynową, która bawi u siostry, jest wdową, dzieci nie ma i znam ją z najlepszej strony. Chcę ją asinidzce zarekomendować... Jeśli się sobie wzajem podobacie, pojedzie z wami razem.

W parę dni potem nadjechała pani Surynowa, statecznych lat osoba, milej choć smutnej twarzy, łagodnego charakteru, przytem pięknie wykształcona, bo się z pannami Ogińskimi wychowywała. Z razu, i ona i Laura ciekawemi się badały oczyma, lecz trzeciego dnia bliżej poznawszy, przystały do siebie. Surynowa sama się zaofiarowała sierocie.

— Ale jakżeś pani wyżyjesz z nami na tej pustyni? spytała ją Laura...

— A! moja droga — odpowiedziała wdowa, jam do ciszy przywykła... ludzi wielu ani gwaru nie potrzebuję... a jeśli ci będę znośną, będę szczęśliwą. Dotąd zawsze mi się zdawało, że komuś jestem ciężarem...

Wybór więc wojewody okazał się bardzo trafnym i Laura zabrawszy kuzynkę, która jej troszkę ciotkę Henau przypominała, czule żegnana przez wszystkich, uściskana przez wojewodę... wyruszyła napowrót do Warszawy, aby zabrać starego Tyszkę i z całym swym dworem wrócić na smutne pogorzelska Borowiec...

Cała ta droga przypominała jej boleśnie ucieczkę z rodzicielskiego domu, którą prawie wyrzucała teraz sobie pojmując za późno, że dla ojca powinna była pozostać przy nim i z nim...

Przybywszy do miasteczka, Laura wysiadła błada i szła piechotą ku ruinom. Widok ich był tak dla nich strasznym obrazem, iż się od płaczu wstrzymać nie mogli... Stały gdzieś tam ściany murów zczerniałe i kominy potrząskane... przetrwały ogień w części dolne izby sklepione, spinały się jeszcze schody ku piętrze, z którego tylko zostały szczątki... na każdym kroku była zniszczona pamiątka. Wewnątrz, gdzie był ogródek Lorki, suche sterczały krzewy, a gdzieś tam w środku ich dobywał się chwast dziki. Lochy w wielu miejscach pozapadały się i wewnątrz ich widać było zsypane gruzy! nieforemne bryły... W grobach zakradłszy się, ogień pożarł niemal wszystkie trumny, z których szczątki w zwęglanych leżały kupach. Kamiennie grobowce przegorzałe porozpadały się i w proch poszły. Gdzieś tam na tych świeżych rumowiskach już zieleniało nowe życie i rośliny czepiały się po czarnej skorupie. Przejście nawet ku staremu zamkowi było trudne, tak ogień wielkie poczynił zniszczenia w podziemiach...

W tej smutnej wieczornej przechadzce towarzyszyli Laurze wszyscy dawni słudzy, rozpierzchli w ostatnich chwilach, uradowani powrotem swej panienki, cisnąwszy się, by ją zobaczyć, przywitać... choć słówko przemówić do niej. Przybył i stary Aron, któremu się na lzy też zbierało...

— Nie smućcie sobie serca, odezwał się do Laury, a podziękujcie Bogu, że wam choć na gruzy powrócić dozwolił... Będziemy budowali i naprawiali co zniszczone. Dla ludzi zarobek, dla was będzie zajęcie... a Bóg da, że się wszystko naprawi. Co dziś lzy pomogą?..

Już wychodzącym z zamku ksiądz Żagiel zastąpił drogę, witając nową dziedziczkę. Chmurno i on poglądał na to co się stało, a może i na przyszłość.

— Nie ma na świecie nic wiecznego, rzekł, upaść musiał i wasz dom, a podnieście go tylko w imię Boże, pamiętając razem i o tym przybytku jego, który waszej pomocy wygląda...

Wskazał na swój kościółek. — Mój ojciec, odpowiedziała Laura, będziemy razem pracowali nad obiema ruinami... Pomówiwszy z panią Surynową, kanonik zaprosił na probostwo wszystkich. Tu rozmowa toczyła się trochę o przeszłości, trochę o tem co najpilniejszym było do wykonania; wszyscy poszli razem do przygotowanej gospody. Rozpoczęło się tedy życie dla Laury nowe, czynne i niedające jej poczuć smutku jaki tu panował, bo zapełnione ciągłą pracą, stanowiącą razem rozrywkę. Tyszek wziął się do interesówpilnie, Basia i pani Suryn pomagały w gospodarstwie, zaczęto natychmiast zwozić drzewo na dotychczasowe domostwo. Laura zaś chciała mieć dawny dwór o ile możliwości w pierwotnej jego formie (którą mury wskazywały), odnowiony... Sprowadzić musiano budowniczego, mularzy i mnóstwo robotników, których na miejscu brakło. Borowce temi przybyszami ożywiły się i nowej nabrały fizynomji; stosunki *ostrowa* tego z krajem stały się częstsze, a ludzie mniej dzicy...

Sam dwór bytnością Tyszków i pani Surynowej pomnożony lepiej sobie wystarczał, nie mogąc wcale na sąsiedztwo rachować. Roboty jednak około starego domu, pomimo zachęty Laury i jej własnego zajęcia się niemi, nie mogły pójść tak prędko jak sobie życzyła. Stanął drewniany tymczasowy dosyć wygodny, a na zimę ledwie część murów pod dach podnieść było można. Późną już jesienią z listem bardzo grzecznym od hetmana przybył Georges wyekwipowany starannie i po pańsku na te odwiedziny. Laura przyjęła go grzecznie, urządzić kazała parę polowań, bawiła go jak umiała i mogła, lecz była tak chłodną i widocznie ceremonialną (co ją samo kosztowało), iż kawaler wyjechał straciwszy ostatnią nadzieję, nie obiecując nawet powrotu. Ustaliło się wówczas w otaczających ją przekonanie, iż w istocie za mąż iść ani chce, ani myśli. Czytanie, przechadzka, ogródek, fabryka domowa, ubogie dzieci z miasteczka zajmowały jej dzień cały. Czas schodził niespostrzeżenie i szybko.

W kilka miesięcy po powrocie, odebrała listy z Konopnicy od chorążego i od Zosi z przypiskiem Honorego, dające jej znać o przybyciu na świat panny Dobek, której da-no Laury imię. Od wojewody też przychodziły częste pisma półzartobliwe, półpoważne, dopytujące ciągle kiedy ma przyjeżdżać na wesele.

Laura odpowiadała, że sama go zaprosi i przyjedzie, i ruszyła ramionami. Drugiego roku stary dom z wielką pociechą Eliasza, który zawsze około swej pani służbę sprawiał, stanął choć w nieco odmiennej formie, lecz dosyć wierną będąc kopią spalonego. Rozporządzenie izb zostało też same, a ojcowskie na dole, Laura starała się ubrać tak, aby jej biednego pana Salomona przypominały. Tak samo na górze swoje pokoiki chciała mieć podobnymi do tych, w których najmiłsze życia lata spędziła. Aron sprowadził jej z Gdańska sprzęt taki sam; a Laurze siedząc tu znowu nad starą Biblią, mogło się zdawać, że sen młodości trwa nieprzerwany. Wróciły na dawnych miejscach ogródki i puściły kwiaty, ale z niemi razem swoboda i wesolość dawna już nie rozkwitła na nowo. Laura spokojna, nieskarżąca się, wiodła to życie sieroce... poważnie zamyślona, jakby dźwigała ciężar i karę... Twarz jej nawet nie tracąc dawnego wdzięku nowego nabrała charakteru...

Tak przeszło lat kilka, bez żadnych prawie wypadków, oprócz starania około upiększenia Borowiec.

W przeciągu tego czasu, kraj też powoli się wewnątrz lepiej urządzać poczynął, i owe dawniej zapadłe kąty, do których trudno było dojechać, poprzerywały nowe trakty i drogi. Przez Smołochów i Borowce wybito wielki gościniec, który handlowi otworzył ujście nowe. Wpłynęło nim w ten zakąt życie, miasteczko się podnosić zaczęło, majątki sąsied-

nie pozasiedlały się dzierżawcami mniejszymi. Sąsiedztwo więc, które parafjalny kościół sprowadzał tu co niedziela, pomnożyło się nowymi ludźmi. Laura przez pana Tyszkę wprowadziła ten zwyczaj u siebie, iż z nabożeństwa i księdza i z dalszych okolic przybyłych sąsiadów, zapraszano do dworu. Dowiadywano się przez nich czasem o czemś co się na świecie działo, i Borowce nie stały już tak odosobnionym ostrowem jak przed laty.

Jednej majowej niedzieli, gdy się jakoś więcej osób zebrało do kościoła, a Tyszko je sprowadził na obiad do zamku, znalazł się szlachcic, który tylko co był właśnie objął dzierżawę Smołochowa. Po raz pierwszy był w kościele i we dworze. Pochodził z dalszych stron, a zabiegły gospodarz i spekulator, z innych dóbr Sapieżyńskich przeszedł na te, spodziewając się tu na handlu smołą i drzewem zarobku.

Szlachcic był w średnim wieku, opalony jak murzyn, zdrow jak wół, ubrany niewykwintnie, ruchawy i gaduła. Znał cały świat, próbował szczęścia po różnych kątach; śmiały, wygadany, wesół, nigdzie się i w obec nikogo nie zakłopotał. Wszedłszy na górę, gdy go pannie Laurze Tyszko przedstawiał, po ucałowaniu ręki odezwał się do niej starodawnym obyczajem:

— Bardzom szczęśliwy, iż się pani dobrodziejce submittować mogę, bom *ni fallor*, znał jej szanowną rodzinę, bywając często w Konopnicy, a nie dalej jak cztery tygodnie temu, jeschcem tam ostatni raz smutnej dopełniał powinności.

Westchnął i urwał pomiarkowawszy się snadź, bo na twarzy Laury zdziwienie i pomięszanie wielkie zobaczył.

Zbliżyła się do niego żywo.

— Cóż to było? ja nic nie wiem...

Uderzył się szlachcic po czole, że się tak nietrafnie znalazł.

— A! przebaczy mi pani, żem się niepotrzebnie wygadał, gdyż widzę, że wiadomość o tem, do niej nie doszła. Wolałbym być milczeć.

— Jednakże raz już poczynszy, chciej mnie pan wywieść z niepewności. Nie pisano mi nic... Cóż się stało w Konopnicy?

— A! to te, proszę pani, biedactwo, ta pocziwa Zośka Bułhakówna... Bóg wie co to było, szkarlatyny dostała, snadź zaziębili czy coś... i umarła, osierociwszy biedaka męża z małym dzieciątkiem.

Laura zbladła i załamała ręce.

— A! mój Boże! zawołała drżąca. Kiedyż się to stało?

— Z miesiąc pewnie będzie temu... Odprowadziliśmy ją na wieczny spoczynek, tę miłą mrówkę naszą, bo to było skromne, dobre, łagodne, ale Pan Bóg takich istot długo na ziemi nie chowa.

Wszyscy przytomni zauważyli, iż Laura przejęta mocno tą wiadomością, wymówiła się od obiadu, poszła do swoich pokojów, przeprosiła gości i Tyszce zwierzyła gospodarstwo. Szlachcic sobie długiego języka darować nie mógł. Był najpewniejszy, że tu już wiadomość ta od dawna przed nim doszła. Dopiero w kilka dni potem przyjechał od chorążego posłaniec z listem, potwierdzający powieść dzierżawcy. Chorąży zapisał cały arkusz o tej swej drogiej Zosi i o Honorym, o którego się obawiał.

Od samego Honorego nie otrzymała Laura ani słowa. Odpisała też staremu ojcu ze współczuciem serdecznym, dodając, iż bardzoby była szczęśliwą, gdybydziecie Zosi jej powierzyć chciano. Sama jedna, nie zajęta niczem, przyjęłaby je jako dar Boży i pociechę w samotności. Na ten list nie było żadnej odpowiedzi z Konopnicy przez czas tak długi, iż Laura już jej się nie spodziewała, a wypadek ten znacznie się przyczynił do zwiększenia jeszcze jej smutku. Przeszedł rok cały, gdy w maju znowu Laura wstawszy niezbyt rano, bo w nocy usnąć nie mogła, a Basia jej do białego dnia czytała, spojrzawszy przez okno w ogródki swe na zamkowym dziedzińcu.

Oko jej zwróciło się machinalnie ku nim i uwięzło jak przykute. Ktoby był patrzył na nią, mógł dojrzeć jak rumieniec zwolna dobywał się z pod bladej twarzy, oczy zwilżały, i usta dziwnie drżeć zaczęły. Chwyciła za ramę otwartego okna i stanęła jak wryta.

W istocie widok, który się jej przedstawił był w Borowcach nowym i niespodziewanym. W pośrodku kwiatów na murawie siedziała kilkoletnia dziewczeczka w białej sukience, trzymając w ręku pęk narwanych kwiatków. Przed nią schylony mężczyzna bladej, posępnej twarzy, z przymuszonym uśmiechem coś się jej zdawał tłumaczyć, a dziecię z uwagą wielkimi ciemnymi oczyma nań patrzyło... Na ustach jego zawisł uśmiezek przerywany

niby i mający się kiedyś dokończyć. Rączki tymczasem cisnęły pęczek kwiatów, jakby go bronić chciały... W tym czarno ubranym po podróznemu mężczyźnie Laura poznała Honorego. Snadź przybywszy rano nie chciał jej snu przerywać i zszedł z dziedzińca do znajomego ogródka.

Laura przypatrując się temu obrazkowi nie śmiała zejść, choć pragnęła dziecię zobaczyć... W tej chwili Honory ją postrzegł, porwał małą Lorkę na ręce i podniósł ją ku niej milcząco. Przez złocistą jej główkę powitali się po długim niewidzeniu ze łzami.

Lorka wcale nie zmieszana, bo jej tam już wiele o tej cioci mówiono, trzepocząc się na rękę ojca, puściła kwiatki i wyciągnęła ku niej dłoń.

W tem Eljasz uradowany, promienisty, otworzył drzwi wołając:

— Pani wie! pan Honory z Konopnicy przyjechał.

Biegli tedy naprzeciw siebie, a Laura podążyła jeszcze schwycić ich wychodzących z ogródka i nim przywitała Honorego, wzięła na ręce Lorkę śmiejącą się i już jakby starą, a dobrą znajomą.

Radość to była pomieszana ze łzami, lecz wielka radość w Borowcach... radość poważna, nie młodzieńcza, nie marząca — lecz pomna losów tej ziemi, na której wszystko jest chwilą, mgnieniem... błyskiem tylko.

Honory został na tydzień, na dwa, bo go dziecię nie chciało puścić od siebie, a Laura nie oddawała dziecka, i tak je potrafiła przywiązać, popsuć i zbałamucić, że do starego nawet dziada powracać nie chciało, ale nakazywało, by dziad tu do Borowiec do niej przybył.

W jakiej postaci dawna miłość wróciła tym dwom sercom po latach wielu, czy tak świeżą, gorącą, szaloną jak była pierwsza, czy silniejszą choć mniej głośnie i jawną? Któż to wyważyć i obliczyć potrafi?... Bywały chwile, w których oboje zdawali się odżywać młodością, — i godziny smutku jakiegoś, jakby trwogi.

Ani Honory nie śmiał się o rękę jej upomnieć, ani ona najmniejszym wspomnieniem przeszłości możliwość zbliżenia się wywołać. Jak brat i siostra byli z sobą. Dobek w końcu z jakimś niepokojem począł się do drogi gotować, nie chciał dłużej ojca starego tak zostawiać. Laura prosiła, aby jej Lorkę powierzył.

— Weź mnie i ją, rzekł Dobek cicho; ale czy zechcesz nas teraz?...

— A! mój Honory, odpowiedziała Laura: tę rękę biedną dawnobym ci była wyciągnęła sama, gdyby nie jedna myśl, nie jedno słowo... które mnie przeraża... Jabym więc miała zostać naszej milej, ślicznej Lorce... *macochą!* Nie mogę!

— Bądźże jej matką, odezwał się Honory.

— Na samo tego imienia wspomnienie drzę i blednieję. Jabym być miała macochą, ja com tego wyrazu okrucieństwa doznała i przeklełam go? Czyż nie dziwny traf albo kara boża czyni mnie właśnie — mnie samą... macochą tej dziecinie?!

Zaczęła Lorkę ścisnąć i płakać.

— Nieubłagane *fatum*, rzekła, pomściło się w ten sposób na mnie... Nie jestże to dziwne zrządzenie?...

Honory zostawiwszy Lorkę, pojechał sam do chorążego. Na progu już spotkała go bura sążnista.

— Ale bo też miłosierdzia nie masz! zawołał stary: ja o kuli, sam jeden w tej pustce, gospodarstwo wiosenne djabli biorą... a ty jak pojechałeś tam do tych nieszczęsnych Borowiec, takeś ugrzązł. A Lorka?

— Została u ciotki.

— Jakto? a pocóżes ty ją tam porzucił? a co ja tu bez tej szczebiotki pocznę? Ja bez niej nie wyżyję.

— Mój ojczu, całując go w rękę odezwał się Honory, pojedziemy po nią razem...

— Żartuj zdrów... mnie droga inna na myśli ku mogiłkom, a ty mnie wyprawiasz w świat jak lekkiego panicza.

— Jużciż choćby w lektyce nieść przyszło, ojciec będziesz na mojem weselu...

Chorąży się aż cofnął.

— Jezu miły! Wesele ci już w głowie! Wesele! małoś pierwsze oplakał? Ano mi zaraz powiesz: trzeba matki dziecku! Parobczak gdy się chce żenić, nigdy dla czego innego, tylko że mu niema komu bielizny uprać, a wdowiec nie dla siebie ino dla małych dzieci! Co ci to w głowie?

— Ale ojciec kochany...
— Pewnieś jakiego szurgota napytał z fraucymeru panny Laury, bo to ty — ja cię znam, umizgus jesteś...

Honory pocałował go w rękę znowu.

— Mój drogi ojciec, żenię się z Laurą.

— Hę? to nie może być! złożywszy ręce krzyknął stary. A chyba że tak to co innego. Na prawdę?

— Nie kłamałbym w rzeczy tak poważnej.

— Spodziewam się... a zkadże to znowu przyszło? rzekł jakby do siebie. Prawda, żeście się to znali dawniej i podobali sobie... prawda... Jednak myślałem, że Laura większych splendorów szukać sobie będzie.

Chorąży pociągnął do pokoju syna, aby mu opowiadał, i milczący już rozważał tylko, cieszył się i popłakiwał.

Laura napisała do wojewody, prosząc go o błogosławieństwo, a jeśliby to być mogło, zapraszając jego, Jadwisię i kuzynów na wesele, które pierwszych dni sierpnia odbyć się miało. Zaprosiny te tylko wojewoda z córką przyjął, gdyż syn i reszta rodziny rozproszoną była i różnymi pilnymi sprawami zajęta.

Pierwszy tedy raz może od założenia Borowiec tak liczny zastęp gości znalazł się w ich murach. Chorąży, wojewoda ze dworem znacznym, sąsiedztwo całe. Odbyły się ślubowiny i wesele samo w towarzystwie mnogim ale bez żadnego występu i wspaniałości, cicho nawet i skromnie. Idąc do ślubu, Laura przybraną w białą sukieneczkę Lorkę zabrała, i może przeciwko zwyczajowi, postawiła ją pomiędzy Honorym a sobą, jakby przyjmując za własną dziecinę, jakby przyznając za swoją, ażeby nienawistnego imienia *macochy* nie nosić, aby jej być prawdziwą *matką*.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/macocha-tom-trzeci>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Macocha*. Z podań XVIII wieku, tom trzeci, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1873.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0448-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).